



ADRIAN
KWIATKOWSKI

Przykazania grzeszników


OFICYNKA
WYDAWNICTWO

ADRIAN
KWIATKOWSKI

Przykazania grzeszników




OFICYNKA
WYDAWNICTWO

Oskarowi i Oliwii – byście zawsze
uśmiechem zwalczali niepogodę

Vita brevis, ars longa

Rozdział I

Zatrzymał się, ciężko oddychając. Wejście do tunelu skutecznie pokrywał bluszcz. Mężczyzna nabrał powietrza w płuca i wkroczył w ciemność. Zgarnął z twarzy pajęczę nici i dostrzegł mnóstwo maleńkich płomyków. Jaskrawoczerwone źrenice szczurów migąły na tle krzywych ścian oraz z płytkich sadzawek, powstałych wskutek panującej wewnątrz wilgoci. Zaciekawione gryzonie zastanawiały się, któż zakłóca im południowy żer. Ponad jego głową wzdłuż całego korytarza wędrowały krople błotnistej mazi. Jedna z nich wpadła mu za kołnierz, przyprawiając go o dreszcze na całym ciele.

Mężczyzna ostrożnie stawiał kroki. Nie chciał nadepnąć żadnego zwierzęcia ani wpaść w pełne odchodów kałuże. Miał na sobie nowe szaty. Niestety ogrom dziur sprawiał, iż nierzadko z wyrazem obrzydzenia na twarzy lądował stopami w gęstej brei. Wystające skalne bryły oraz nagłe wyrobiska nie ułatwiały wędrówki. Powietrze trąciło stęchlizną i guanem nietoperzy. Pochodnia, trzymana w dłoni i uderzana podmuchami wiatru, kreśliła na ścianach upiorne cienie przypominające smoliste postacie oplatające zniecka jego tułów i szyję, by po chwili tej przedziwnej udręki ulotnić się za zakrętem.

Do kościoła prowadziło kilka dróg: brama główna, z której nie mógł skorzystać, oraz ten podziemny korytarz. Połączony był z piwnicami ratusza i ukrytym wejściem znajdującym się w leśnych zaroślach nieopodal granic Aiglun. Niewielu mieszkańców wiedziało o niskich tunelach, wykopanych na wypadek nieprzewidzianych ataków nieznanych najeźdźców. Umożliwiały one schronienie się w przybytku wiary bądź ucieczkę poza teren miasta, gdzie dzięki łasce bożej można było uniknąć śmierci z rąk barbarzyńców.

Po nodze przebiegł mu szczur, którego ogon dorównywał wielkością zmijom, jakie miał okazję widywać na Wschodzie. Wzdrygnął się, choć podobnych sytuacji doświadczał znacznie częściej, niżby chciał w swoim

bogatym w przygody życia. Nie pałał miłością do tych małych, brudnych i roznoszących choroby gryzoni. Zresztą był przekonany, że te szare stwory prędzej bądź później doprowadzą do upadku ludzkości, o ile ta nie wykończy się wcześniej sama.

Damienowi nie pozostało wiele czasu, toteż przestał zwracać uwagę na wszędobylskie szczury i nietoperze i przyspieszył kroku. Po kilkunastu metrach tunel się rozwidła. Mężczyzna skręcił w prawo i wspiął się stromymi, krętymi schodami do małego pomieszczenia pogrążonego w zupełnej ciemności. Odłożył łuczywo na twardą posadzkę, po czym nacisnął wielką mosiężną klamkę. I tak w ułamku sekundy znalazł się w ciasnym pokoiku. Spod czarnego wełnianego płaszcza wyjął samodzielnie skonstruowany wytrych i – mocno skupiony – zajął się zasuwą. Zamek okazał się zabezpieczeniem starego typu, więc drzwi zostały odblokowane bez żadnych trudności. Damien odchylił połę płaszcza, odpiął od pasa jednoręczną kuszę, załadował do niej bełt i bez pośpiechu otworzył drewniane wrota. Po prawej stronie ujrzał jednego z inkwizytorów ubranego w płaszc z kapturem, do złudzenia przypominającego ten, który miał na sobie. Opuszczone ręce mężczyzny były ukryte w szerokich rękawach. Nie dostrzegał jego twarzy. Postura oraz sposób, w jaki niecierpliwie przebierał nogami, kazały mu sądzić, iż ma przed sobą Henriego, najwierniejszego sługę Casimira.

Marcusa schwytano z powodu domniemanych pogańskich rytuałów. Część mieszkańców bez zająknięcia potwierdziła jego bluźnierstwa przeciwko wierze. Jeden z wieśniaków widział, jak w lesie przy ognisku odprawiał obłąkańcze modły do księżyca. Takie wydarzenie nie mogło zostać zignorowane przez świętą inkwizycję. Poza konfabulacjami donosicieli nie znaleziono dowodów na jego konszachty z diabłem. Ale Kościół potrzebuje męczenników. Kontroluje i ujarzma swój wierny lud poprzez dawanie jasnych sygnałów, że ten, kto staje w opozycji do Boga, do jedynej słusznej wiary, musi liczyć się ze stosowną karą. Taką karą, jedyną sprawiedliwą wedle wysłanników Kościoła, jest spalenie na stosie lub powieszenie ku uciesze tłumu.

Damien odwiedził żonę Marcusa dzień po aresztowaniu, zaraz gdy tylko inkwizytorzy przeszukali chatę i zostawili przy tym bałagan jak po trzęsieniu ziemi.

– Dzień dobry – rzekł do niej donośnym tonem, przekraczając próg.

Kobieta siedziała na stołku pośród porozrzucanych sztucców, glinianych naczyń i ubrań, których jak na wieśniaków posiadali aż nadto. Miała na sobie długą, zieloną suknię bez ramiączek, która zapewne za sprawą wczorajszej szamotaniny ze strażą została rozdarta wzdłuż tułowia. Zastanawiał się, czy kobieta nie zdążyła, czy nie chciała się przebrać. Była niewysoką, młodą i pełną powabu istotą o szczupłej sylwetce. Jej blada cera stanowiła dość rzadko spotykany widok u wieśniaczki, jaką niewątpliwie była. Nieoczekiwana wizyta ją zaskoczyła.

– Czego chcesz?! – wykrzyknęła z wściekłością. Wystrzeliła przy tym ślinę, która pofrunęła niczym pocisk, lądując na jego piersi.

Udał, że tego nie widział. Zwilżone od łez policzki kobiety oraz jej przetłuszczone włosy budziły w nim współczucie pomieszane z troską.

– Pomogę pani mężowi – oznajmił. – Nie mam zamiaru pani skrzywdzić.

Kiedy odwiedził żonę Marcusa, miał ten sam co zawsze czarny płaszcz z kapturem, niewiele różniący się od okryć noszonych przez inkwizytorów. Dodatkowo obwiązał twarz chustą, tak by kobieta nie mogła zapamiętać jego wyglądu. Widać było tylko jego czarne jak węgiel oczy.

– Inkwizytorzy też tak mówili – odparła, przesywając go wzrokiem na wskroś. – Wynoś się stąd!

– Och, proszę wybaczyć, miła pani, lecz nie należę do tego plugawego towarzystwa. Jestem człowiekiem wielkiej wiary, wiary w człowieka, nie bożki zezwalające ludziom na łatanie dziur niewiedzy. Upraszam więc o należny szacunek.

– Kim pan właściwie jest? – zapytała smutnym tonem. – Dlaczego miałbym panu uwierzyć, panie...?

– Damien. Mów mi Damien – powiedział, po czym dodał z przekąsem: – Pytanie raczej brzmi, dlaczego miałabyś mi nie wierzyć. I co masz do stracenia, prócz głowy męża, rzecz jasna?

Patrzyła na niego swoimi niebieskimi oczami w zupełnej ciszy.

– Mogę spocząć obok pani? – zapytał.

– Proszę – zaprosiła go, zrezygnowana. – Zaparzyć ziół?

– Jęczmień to napitek, jakiego potrzebuję. Oczywiście jeśli to nie problem.

– Och, nie! – Machnęła ręką. – To żaden kłopot. Raptem kilka miesięcy temu otwarliśmy z mężem oberżę. Wie pan, powodzi nam się. To znaczy, powodziło się do czasu, kiedy nasi sąsiedzi nie sprowadzili do miasteczka tej kościelnej hołoty.

– Droga pani Babette – rzekł, rozglądając się na boki. – Ściany mają uszy. Zapewniam panią, że mamy podobny stosunek do poczynań panujących nam papieży i wspierającej ich świty, wszakże zachowałbym rozwagę, wypowiadając na głos słowa, które mogą ściągnąć na panią wiele cierpienia, ale i mnie wyrządzić wiele szkód... Co prawda nie czuję strachu przed... yhm – odchrząknął i przełknął ślinę, przytykając zaciśniętą dłoń do ust – hołota, jak to pani śmiało ujęła, jednak doradzam powściągliwość w emocjach. Zwłaszcza ze względu na pani córkę, której na pewno przyda się choć jeden opiekun, nieprawdaż? A właśnie – rozejrzał się wokół – gdzie ona jest?

– Skąd pan wie, jak mam na imię i że mam dziecko?! – Kobieta nagle dopadła noża leżącego na kuchennym kredensie.

– Gdybym chciał pozbawić panią życia, już dawno bym to uczynił – odparł bez emocji. – Inkwizytor, który aresztował Marcusa, nie jest mi obcy, dlatego jestem przekonany o niewinności pani męża. Obserwuję Casimira od dłuższego czasu i znam go na wskroś. W Awinion, gdzie od wielu wiosen dręczył niewinnych ludzi, nie zdołałem dobrać mu się do skóry. Przeszłość jest naszym łącznikiem i to idealne miejsce do zamknięcia raz na zawsze wszystkich różniących nas spraw. Proszę – ciągnął cierpliwie – usiądź, porozmawiaj ze mną, a być może będę w stanie zaradzić twoim nieszczęściom. Nożem można zamieszać piwo, to, którym miała mnie pani uraczyć.

Widział, że Babette bije się z myślami, że zastanawia się, czy może zawierzyć nowo poznanemu mężczyźnie. Szybko doszła do wniosku, że jedyna szansa na uratowanie najbliższych stała właśnie przed nią. Wyciągnęła więc z kredensu ogromny drewniany kufel, wypełniła go gęstym, kryształowym trunkiem i podała Damienowi.

Kwaśny smak i brak choćby iskry goryczy sprawiły, że zastanowił się, czy wiodło im się aż tak dobrze, jak zapewniała. Krótko warzony napój smakował bardziej jak skisłe mleko, aniżeli złocisty nektar Bogów, w których – jak warto zaznaczyć – nie wierzył. Jednakże rynek nie znosi próżni, a prosty, biedny chłop preferuje tańsze szczyony kosztem dobrej jakości jęczmiennego wywaru. Im tańszy trunek, tym mniej czucia w kubach smakowych pospółstwa. Ciekawa zależność.

Dom Marcusa i Babette był całkiem sporych rozmiarów. Kuchnię przyozdabiało kilka tandetnych malowideł z polnymi kwiatami, teraz opartych o ścianę. Widać, że Babette próbowała uprzątnąć bałagan

pozostawiony przez straż. Błat zaśmiecały gliniane kubki, które w panującym zmroku przypominały nory dla zalęknionych karaluchów. W izbie stał prostokątny stół, tak duży, że można było przyjmować kilkoro gości jednego wieczoru. Na stole umieszczono lichtarz z trzema do połowy wypalonymi świecami z łożu świńskiego oraz półmisek dojrzałych owoców z przydomowego sadu. W rogu obok paleniska piętrzył się kredens z drzwiczkami trzymającymi się na jednym zawiasie. Dom miał dwie izdebki sypialniane, co jak na tę klasę społeczną stanowiło osiągnięcie godne pozazdroszczenia. Damien wciąż nie dostrzegął córki Babette.

– Śpi w pokoju – rzekła, jakby czytając mu w myślach. Zasiadła ponownie na krześle, z którego wcześniej tak gwałtownie wstała.

Damien pokiwał głową, rozsiadł się wygodnie i dłonią zachęcił Babette do mówienia.

– Cała ta sprawa ma swój początek kilkanaście niedziel temu – powiedziała wreszcie. – Prowadziliśmy swoje gospodarstwo, urabialiśmy się po łokcie dzień i noc, by polepszyć swój byt. Mąż pracował w pocie czoła, nie jadał nic prócz kolacji i prędkich śniadań. Mamy sporo ziemi i zwierzęta, które chcieliśmy sprzedać, jak tylko uzbieramy na otwarcie karczmy. Takie powzięliśmy postanowienie. Wiedzieliśmy, że trzeba będzie użerać się z pijakami, jednak to zawsze łatwiejszy pieniądz niż orka od świtu do zmierzchu i dojenie krów od bladego ranka. Ja opiekowałam się córką, domem oraz sadem. Cieszyliśmy się z mężem dobrą opinią wśród sąsiadów, aż pojawił się tu możny Bastian Gauthier. Szlachcic ten odwiedził nasz dom kilka dni po swoim przybyciu do Aiglun. Z początku wydawał się miły. Witął nas dobrym słowem, a wieczory przesiadywaliśmy, śmiejąc się i rozmawiając do późnych godzin. Okazał się też przemiły dla naszej córki – zabawiał ją, kiedy my byliśmy wykończeni pracą, zabierał na spacer. Oliwia była nim zauroczona. Dziwiliśmy się z mężem, co taki człowiek robi w domu jak ten, z ludźmi takimi jak my. Ta chata – pokręciła głową – jeszcze parę miesięcy temu była ruderą. Udało nam się dobudować pokoik dla córki, kupić nowe garnki czy choćby słabej jakości obrazy, w których jestem zakochana. Wie pan, uwielbiam naturę, w zasadzie wszystko, co z nią związane. Ale nie o tym miałam gadać. Im więcej czasu spędzaliśmy z Gauthierem, tym rzadziej chcieli widywać nas sąsiedzi. Byliśmy przekonani o ich zazdrości, więc niespecjalnie nas to bolało. Przybył do nas szlachcic z prośbą o poradę, na co zwrócić uwagę przy zakupie ziemi, a na niej znamy się jak mało kto, zawsze dobrze na niej

zarabialiśmy. To musiało denerwować ludzi. Człowiek z wyższych sfer, szlachcic, z nami? Rozumie pan? – spytała bardziej siebie niż jego. – Dni mijały, a nam powodziło się coraz lepiej. Od dłuższego czasu było na tyle dobrze, że mój mąż mógł w końcu zainwestować w starą, ale dużych rozmiarów chatę. Stworzyliśmy tam całkiem przyjemną oberżę, oczywiście jak na warunki panujące w mieście. W zasadzie z dnia na dzień przybywało gości. Nie musieliśmy sprzedawać ziemi, po prostu daliśmy pracę kilku ludziom ze wsi. I nagle, jak za dotknięciem magicznej różdżki, Gauthier przestał się odzywać. Nie odwiedzał już nas, nie witał się z nami na niedzielnej sumie. Wie pan, chodzimy do kościoła, mimo że nie jesteśmy wierzący. Jak sobie nie zapracuję, to i nie wymodłę. Ale nie chcemy być na językach. Mieszkańców kłuł w oczy nasz dostatek. Zaczęli nas obrażać, nazywali mnie dziwką, męża złodziejem. Jakbyśmy wyciągnęli pieniądze z ich sakwy. Raz nawet Marcus pobił się z jednym z sąsiadów, Babinem, tym, który powiedział proboszczowi o ciemnych praktykach mojego męża odprawianych w lesie przy łunie księżyca.

– A odprawia je? – przerwał jej z uśmiechem skrytym pod ciemną chustą.

– Odprawia – stwierdziła drwiąco. – I tańczy, ja razem z nim, a diabeł przygrywa nam na harfie. Panie Damien – wstała – Marcus chodzi po lesie, kto wie, może nawet pali ogniska, śpiewa i buja się na wietrze, ale klnę się na moje dziecko, że nie jest opętany. Doszły nas słuchy, że do miasteczka przybędzie wielki inkwizytor z Awinionu. Tak też się stało i wspólnie z księdzem odstawili ten swój cyrk, gdzie co odważniejszy mógł wyznać swoje grzechy, wydając przy tym heretyków. Nie muszę mówić, kogo wskazano. Babin i dwóch żebraków oskarżyło Marcusa.

– Przekonujące grono – rzucił z ironią. – A co z Gauthierem? On również oskarżył waszego męża?

– Nie, o dziwo, nie. Zaskoczyło mnie to. Odwiedziłam go wczoraj, prosząc o wstawiennictwo za Marcusem. Niestety, odrzekł, że zrobiłby wiele, aby go uwolnić, lecz nie może stawiać się wielkiej inkwizycji.

– Twierdzi, że się boi?

– Na to wygląda. Rozumiem, że opanowała go trwoga. Zresztą, któż nie lęka się czarnych płaszczy, podobnych do twojego? Tylko kuzyn mojego męża Stanislas miał odwagę powiedzieć, że to bzdury. Ale kto uwierzy rodzinie, gdy skazują sąsiedzi? I dlaczego ja ci to mówię?

– To już ustaliliśmy. Dziękuję ci za rozmowę i poczęstunek, zaproponowany, mimo warunków, w jakich przyszło ci mnie gościć.

Zaręczam ci, że Bastian nie boi się inkwizycji. Postaram się uwolnić twojego męża i zwrócić go w jednym kawałku. Ciebie natomiast proszę, byś spakowała siebie, jego i córkę. Będziecie musieli uciekać z Aiglun. Idź do oberży, zabierz całe wasze oszczędności, przygotuj konie oraz jedzenie, najlepiej na parę dni. Nie jestem w stanie pomóc wam w ucieczce i znalezieniu schronienia. To należy do was. – Rozejrzył się wokół i rzucił: – Przynajmniej nie musisz sprzątać chaty.

Spytał jeszcze o miejsce zamieszkania Stanisłasa i pokrótce wyjaśnił, co będzie musiała zrobić, po czym skierował się do drzwi. Chciała o coś jeszcze spytać, jednakże uciszył ją, podnosząc rękę. Zniknął tak szybko, jak się pojawił, w ciepłe gorące sierpniowe powietrze.

Zerknął ponownie na Henriego, a następnie na kuszę z lekkiego i giętkiego drewna. Wykonano ją w odległych krainach wschodniego świata, za którym tak bardzo tęsknił. Wiele się tam nauczył – od tworzenia bełtów przez sztukę walki wręcz czy posługiwania się orężem aż po tworzenie magicznego dla ludów zachodnich czarnego prochu. Kultura wschodnia, a ja wraz z nią, pomyślał, prześcigamy Europę o setki lat. Spędził tam kilka wiosen i marzył o powrocie do tej cudownej kultury, krainy barw niespotykanych nigdzie indziej, nie tak szarych jak ulice i budowle, jakie spotyka się w miastach zachodniego świata. Marzył o powrocie do miast nie tak śmierdzących i zniszczonych jak centra wielkich francuskich aglomeracji.

Wziął głęboki wdech, wycelował w Henriego i spokojnie wypuszczając powietrze z ust, nacisnął spust. Bełt z ogromną energią wystrzelił prosto w czaszkę nieszczęśnika. Z kilku metrów słychać było trzask pękających kości skroniowych. Siła, z jaką mężczyzna został uderzony, pchnęła go na zimną, wilgotną ścianę, po której osunął się, wydając z siebie ostatni chrapliwy odgłos. Ponadto jakiś zewnętrzny żywioł zwrócił jego głowę w kierunku, z którego otrzymał śmiertelny cios. Niezmiażdżonym okiem spoglądał na swojego oprawcę, ukrytego w cieniu uchylonych drzwi.

Damien rozwarł wrota szerzej i od razu zrozumiał, jakich szkód narobił. Żuchwa Henriego zwisała na poszarpanym kawałku skóry, a on sam przypominał truposza rozkładającego się od kilku księżyców. Damien podszedł wolnym krokiem do ciała, z głowy – jeszcze przed momentem pełnej myśli, marzeń i planów – mocnym szarpnięciem wyciągnął zakończony metalowym grotem bełt. Wytarł go dokładnie o płaszcz nieboszczyka, po czym ponownie nabił nim broń. Za ścianą słyszał głosy

drwiących i śmiejących się do rozpuku mężczyzn. Nie miał pewności, jak wielu ich było.

Casimir, ksiądz tego miasteczka, kronikarz i kat – wyliczał w myślach. Czterech na pewno. I Bastian. Do tego momentu plan był prosty. Dostać się do lochów, co mu się udało. Od teraz musiał improwizować. Nie chciał pukać, tylko ruszyć z całym impetem na drzwi, roztrzaskać je na co najmniej cztery części, wpaść do środka i zaskoczyć spiskujących. Nim zdecydował się na rozbieg, nacisnął niezauważalnie klamkę. Ucieszył się niezmiernie, gdy okazało się, że nie będzie zmuszony atakować swoim ciałem drewnianej zapory.

Otworzywszy drzwi na oścież, zlustrował błyskawicznie całe pomieszczenie. Pierwsze, co przykuło jego uwagę, to widok nienaturalnie wygiętego Marcusa ze związanymi za plecami nadgarstkami, wiszącego na wbitym w strop haku. Linę napręzał tłusty kat, podnosząc ciało cierpiącego mężczyzny. Klasyczna tortura umożliwiająca niewielkim nakładem sił wyłamanie biedakowi ramion ze stawów, na zawsze pozbawiając go pełnej sprawności. Na szczęście lina ściągająca jego łopatki ku górze nie była jeszcze wystarczająco naciągnięta. Zdążył.

Przesłuchanie dopiero się zaczęło i oprócz kilku siniaków oraz rozciętej wargi, z której na posadzkę kapłała krew, Marcusowi nic straszego się nie stało.

Za starym dębowym stołem tkwili niezdający sobie sprawy z obecności nowego przybysza ksiądz wraz z kronikarzem. W prawym rogu rozpoznał grubą, tęgą sylwetkę Casimira z Awinionu. Nie potrafił tylko określić położenia Bastiana. Czy to możliwe, że nie brał w tym udziału? – pomyślał.

Nikt nawet nie zdążył zareagować, a kat leżał już na ziemi – strzał z kuszy prosto w serce. Następnie Damien podszedł do oszołomionego inkwizytora, lewą dłonią sięgnął do własnoręcznie przyszytej kieszeni, wyciągnął kolejny bełt i załadował go do łoża. Prostując się, wypowiedział głośno:

– Deus vult! – I wystrzelił pocisk prosto w rozdziawione usta Casimira. Część zębów posypała się na ziemię. Za plecami usłyszał szmer. Gdy obejrzał się przez ramię, dojrzał, jak szara postać znika w pośpiechu za drzwiami.

– Panowie pozwolą na moment – rzucił w kierunku stołu okupowanego przez dwóch jegomości, którzy z niedowierzaniem ukazywali niepełne uzębienie, podobne do śpiącego już na zawsze Casimira. – Ani ze mnie

diabeł, ani duch święty. Choć jak spojrzeć na to, kogo obwieszczacie świętymi, to wcale nie jestem na przegranej pozycji. Proszę jednak, byście zamknęli usta i uwolnili mojego przyjaciela. Aha – podniósł palec – i nigdzie się nie ruszać. Chyba że chcecie wyglądać jak wasz papieski wysłannik.

Wystarczyło spojrzeć na ich przerażone miny, by mieć pewność, że nigdzie się nie ruszą. Damien uśmiechnął się szeroko, po czym zniknął za drzwiami. Wybiegłszy z sali tortur, ujrzał lekki ruch w małym przedsionku, z którego tutaj trafił. Stało się to, czego najbardziej się obawiał – zauważono jego obecność. Nie mógł podążyć za Bastianem, uciekającym wprost do rady miejskiej. Chcąc uniknąć żołnierzy, musiał błyskawicznie zniknąć. Wrócił więc do komnaty przesłuchań, gdzie ujrzał zdjętego z haka Marcusa. Stał swobodnie, pocierając na przemian obrzmiałe nadgarstki.

– Czy ci dwaj brali w tym udział? Wiedzieli, że jesteś tu niesłusznie? – zapytał Damien Marcusa. Ten tylko skinął głową.

Damien, nie zwlekając, podskoczył do jednego i drugiego, zatapiając im ostrze w gardłach.

– Ten, który uciekł, zwał się Bastian Gauthier – odezwał się przerażonym głosem Marcus. – Szlachcic. On...

– Chciał przejąć cały twój majątek, o czym zapewne zdążyli cię właśnie poinformować. Nie mamy chwili do stracenia.

– Ale jak... – dziwił się poturbowany Marcus. – Skąd?

– Biegnij za mną. Czekają na ciebie żona z córką. Jeśli chcesz je jeszcze zobaczyć, to się pośpiesz.

Biegli w dół ciemnym korytarzem, wpadając co rusz na siebie. Obijali się, głośno przy tym klnąc. Zamiast udać się tunelem prosto w kierunku ratusza, skręcili w przeciwną stronę, schodząc do niższej kondygnacji kościoła. Przekop był wąski. Mimo wystających korzeni i ociosów gnali szybciej od spłoszonej zwierzyny. Gdy już myśleli, że nigdy nie odnajdą wyjścia, w oddali ujrzeni migające białe światło. Za zaroślami czekała Babette z córką. Siedziała na koniu, trzymając za lejce dwa inne, z których jeden należał do Damiena.

– Bastian uciekł, mógł poinformować strażę. – Damien dosiadł wierzchowca. Już miał ruszyć, gdy doszedł go melodyjny głos Babette:

– Poczekaj! To dla ciebie. – Rzuciła w jego kierunku antracytowy worek pełen brzęczących monet. – To podziękowanie.

– O nic nie prosiłem.

Nigdy nie prosił. Przywłaszczał sobie sakwy umarłaków, a ci, którym pomagał, sami okazywali swoją wdzięczność.

– Uciekajcie i żyjcie w ukryciu – dodał. – Inkwizycja, kościół, oni nie odpuszczą. Będą was szukać.

– Dlaczego nam pomogłeś? – spytał Marcus.

– Niestety dane mi było poznać Casimira. Obaj mieszkaliśmy w Awinionie, długo czekałem, aż opuści swój przytułek. Tam nie mogłem działać, za dużo straży i ciekawskich oczu. Dowiedziałem się, że zmierza do tego miasteczka, lecz nie wiedziałem, w jakim celu. – Uśmiechnął się w ich kierunku. – Teraz już wiemy, że wezwał go tutaj nasz szanowny przyjaciel. Pod przykrywką przesłuchania, mającego odbyć się zgodnie z prawem, zamierzał przejąć waszą ziemię, karczmę i ich Bóg wie, co jeszcze. Najwidoczniej w Awinion rozkradli już wszystko, co było do zrabowania, szukali łupów poza miastem. Koniec końców, udało im się. Dzisiaj miałeś zginąć, Marcusie. – Do Babette zaś powiedział: – Ciebie również by się pozbyli. Ale los się do was uśmiechnął. Zaczynjcie od nowa, jak najdalej stąd.

Damien odjechał w stronę brzozowego gaju, nie odwracając się za siebie. Galopując, rozmyślał o tym, co go tu spotkało. Wiedział, że to dopiero początek jego drogi.

Rozdział II

Zbliżał się wieczór. Pomarańczowa poświata słońca przebijała się między gałęziami porośniętymi soczystą zielenią liści, atakując zniechęca wysuszone policzki Jacques'a. Sierpień tego roku był wyjątkowo chłodny i obfity w deszcze, toteż skwarne popołudnie pozwalało odetchnąć od ciągłego suszenia garderoby i mrużenia oczu z powodu zacinających wściekle kropel. Nie znosił deszczu. Nie przepadał za nieuchronnie zbliżającym się chłodem jesieni ani tym bardziej za mroźną zimą. Tym razem również przymknął powieki, jednak w tej chwili chciał delektować się ostatnimi promieniami. Północno-wschodnie lasy przylegające do tłoczego Montpellier stanowiły kojącą paletę barw, źródło odprężających dźwięków i upajających zapachów dla zmęczonego ciała. Nozdrza wypełniły się delikatną wonią wilgotnych jeszcze gałęzi. Wyczuwał również lekko surowy, relaksujący aromat sosny, wymieszany z balsamiczną, orzeźwiającą nutką żywicy. Mógł przysiąc, że mimo dzielącej go odległości i swoistego muru, jakim były gęsto występujące dęby, czuł na skroniach bryzę Morza Iberyjskiego. W gęstwinie traw i powalonych wiatrem martwych pni tętniło życie chrząszczy, mrówek i ślimaków. Gdzieś z oddali dochodził stukot uderzanych w korę dziobów dzięciołów. Słyszał wszystkie małe gryzonie, pisk leśnych myszy czy charakterystyczne gardłowe chrząknięcia budzących się ze snu popielic. Kochał wędrówki. Podczas podróży od miasta do miasta, gdzie czekała go nieprzerwana walka z herezją i pogańskimi praktykami, odpoczywał na wydeptanych przez kramarzy ścieżkach. Jednak dzisiaj pierwszy raz od wielu tygodni zmierzał do okolic Montpellier nie po to, by nawracać, lecz na przyjacielskie odwiedziny opactwa, mieszczącego się dokładnie w Maguelone. Urokliwe położenie biskupstwa przy samym brzegu morza niewątpliwie miało swoje zalety. Jedną z nich był rozpościerający się z ostatnich kondygnacji kościoła widok na lazurówoblękitny horyzont, inną stanowił klimat. Zimy tu okazywały się znacznie łagodniejsze, dlatego tak

chętnie opuszczał Awinion. I nawet niestraszne było mu widmo walk, jakie co dzień groziło Maguelone. Ta lokalizacja to łakomy kąsek dla piratów, nierzadko rabujących przybrzeżne tereny. Jacques tak ukochał sobie Maguelone, że mógłby oddać swoje życie w obronie miasteczka. Był też jednym z nielicznych, którzy odradzali przeniesienie opactwa w głąb Montpellier, a mówiło się o tym planie coraz głośniej. Uważał, że miejsce to jest umiłowane i naznaczone przez Boga, i mieszkańcy winni walczyć u boku straży, dbając przy tym o swój dobytek. Zdawał sobie jednak sprawę, że mimo władzy, jaką posiadał, i żądy pozostawienia biskupstwa w spokoju, prędzej bądź później wizja przeniesienia murów klasztornych się ziści. Głęboko wierzył, że nie stanie się to za jego życia. Głęboko wierzył też, że podczas odwiedzin będzie mu dane spędzić czas w odosobnieniu. Nie miał najmniejszej ochoty na wspólne posiłki okraszone udęcącą dysputą na tematy nijakie. Bo choć szanował zakonników, doceniał ich obyczaje, wiedzę o ziołarstwie czy umiejętność dalekosiężnych dywagacji teologicznych, to najzwyczajniej w świecie zmęczyła go podróż i marzył, by zanurzyć się w modlitwie. Porozmawiać z jedynym, który zawsze wie, kiedy i co powiedzieć. Niestety, klasztor ukazał się jego oczom dokładnie w czasie nieszporów. Gdy dotarł do krużganka, przywitał go Samuel z Hierro, trzymając w dłoni zniszczony, wiekowy psalterz.

– Poczciwy Jacques Begreon – rzucił z przymilającym się, acz nieco nerwowym uśmiechem śniady mężczyzna.

Jacques cieszył się szacunkiem braci zakonnych nie tylko w Maguelone, ale wszędzie tam, gdzie się pojawiał. Nie było to jednak uznanie, jakie inkwizytor zdobywał życzliwością. O, nie! To raczej bezwzględność i pogarda, z jakimi traktował wszystkich wokół siebie, powodowały w ludziach napięcie i chęć wkupienia się w jego łaski. Dlatego sam uśmiechnął się na słowa o poczciwym Jacques’u.

– Cóż cię do nas sprowadza? – dodał Samuel. – Do zimy jeszcze daleko.

– Jeśli pominąć piękno dzisiejszego popołudnia, sierpień zwiastuje nam rychłe nadejście śniegów. Wierzę jednak, bracie, że nie przeszkadzam.

– Ależ skąd! – rzucił zbyt szybko, wręcz przepraszająco. – Wiesz, panie, że u nas miejsca dostatek, szczególnie dla gorliwych sług Pana. Jak długo zamierzasz gościć w naszych skromnych progach?

– Tego jeszcze nie wiem – odparł. – Ile Bóg pozwoli, nim ponownie wezwie mnie do działań.

– Niezbadane są prośby naszego Ojca.

Jacques kiwnął tylko głową, bo chciał jak najszybciej udać się do swojej celi. Samuel nie dawał za wygraną. Wyciągnął przed siebie psalterz, otworzył go zwilżonym palcem mniej więcej na środku i dodał:

– Czy przed posiłkiem wybierzesz się z nami na wspólne modlitwy?

– Takie działania niszczą pracę naszych skrybów – rzucił, wskazując mokry palec zakonnika.

– Och, przepraszam – mówiąc to, wytarł opuszek o wierzch habitu. – Nim się inkwizytor pojawił, miałem otwarty śpiewnik, niestety zamknąłem go, gdy uradowałem się na twój widok. Niemniej uwaga słuszna i godna zastosowania.

– Czy moja cela jest dostępna? – Jacques zmienił temat.

– Oczywiście. Jeszcze wczoraj braciszek Cyprien zadbał o czystość w pokoju. Jakby wiedział, że inkwizytor przybędzie.

– Czy zatem pozwolisz, że nie skorzystam z zaproszenia i udam się na zasłużony wypoczynek?

Mimo – wydawałoby się – delikatnego i przepraszającego tonu, zdanie brzmiało niczym rozkaz, z którym Samuel nijak nie mógł się nie zgodzić.

– Naturalnie! – Pokiwał energicznie głową. – Czego tylko sobie życzysz. Poinformować opata o wizycie inkwizytora?

– W jakim celu?

Samuel nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie. Z jednej strony rzeczą naturalną było powiadomić przełożonego o nowym gościu. Z drugiej zdawał sobie sprawę, iż żadna odpowiedź nie zadowoli Jacques'a. Z nerwowych rozważań wydobył go sam inkwizytor.

– Nie ma takiej potrzeby. Jestem przekonany, że opat Guillaume ma dużo ważnych rzeczy na głowie, a my nie chcielibyśmy dokładać mu kolejnych obowiązków. Zgadza się, Samuelu?

– Święte słowa. Święte słowa...

– Czy sprawię wiele kłopotów, przyjacielu, jeśli poproszę cię o dostarczenie posiłku pod celę?

– Żadnego – zapewnił. – Sam dopilnuję, by jeszcze gorący trafił do inkwizytora.

– Zostaw go pod drzwiami. Chcę zająć się modlitwą. To znacznie ważniejsze niżli temperatura dania.

Nie czekał na odpowiedź Samuela. Pozostawił przy nim swojego wierzchowca i sam udał się do celi. Na szczęście nie spotkał już nikogo na

swojej drodze. Zamknął pomieszczenie od wewnątrz i usadowił się na łożu. Z początku szukał dogodnej pozycji, co zajęło mu nieco więcej czasu, niżby chciał. Po chwili był już gotowy. Oparł kciuki na żuchwie i oburącz rozpoczął delikatny masaż skroni. Następnie przetarł oczy i policzki, podrapał się po głowie, by w końcu złożyć dłonie i zatopić się w długiej, odprężającej modlitwie. Kontemplował zażarcie i prawdziwie. Nikt nie był w stanie wyciągnąć go z transu, w jakim się teraz znajdował. Nie dochodziły go żadne dźwięki z zewnątrz. Dryfował pośród nicości, w pełnym przejęciu dyskutując ze Stwórcą. Było błogo, idealnie. Dokładnie tak, jak być powinno. I tylko gdzieś z tyłu, gdzieś głęboko w czaszce dochodziło go stłumione brzmienie. Nie wiedział jeszcze, co ono oznacza. Wiedział natomiast, że jest to głos samego Boga, który już niedługo przyniesie mu odpowiedzi na wszystkie dręczące go pytania. I tylko dziwne przeczucie kazało mu sądzić, że stoi przed nim coś większego, jakieś zadanie, które zbliża się nieuchronnie. I wiedział, że jak zawsze będzie na nie gotowy...

Rozdział III

Damien pędził na północny-zachód. Wąskie górskie przesmyki kilkakrotnie zmusiły go do zejścia z Cezara. Poili się razem przy napotkanych strumykach.

Wierzchowca podarował mu lata temu jego najbliższy i jedyny przyjaciel Jacob – człowiek, który nigdy go nie zawiódł, któremu ufał bezgranicznie. Poznali się podczas suto zakrapianego wieczoru w jednej z mniej obokarnych oberży, podczas którego motywem przewodnim były gra w kości i dziwki. Niekoniecznie w tej kolejności. Damien opróżnił niechcący kielich swój i Jacoba, co stało się bezpośrednią przyczyną konfliktu. Stanęli naprzeciw siebie niczym dwa wygłodniałe psy. Damien po alkoholu balansował na giętkich jak guma nogach, podczas gdy Jacob stał wyprostowany i czujny. Preferował miód pitny, który prócz stabilnych nóg zapewnia zachowanie większej ilości rozumu. Jacob chwycił kamizelkę Damiena, przyciągnął do siebie i otwartą dłonią chlasnął go w czerwony od picia policzek. Na tym nie poprzestał. Bez trudu podstawił nogę przeciwnikowi, resztę energii skupiając na piersi. Położył go na posadzce jak dziecko do snu. Następnie raz jeszcze go spoliczkował i przytrzymał wierzgającego pijaka, aż się uspokoi. Gdy w końcu się poddał, Jacob odprowadził go do izby. Po drodze poznali się trochę. Nazajutrz, gdy tylko wytrzeźwiał, Damien przeprosił za swoją butę i od słowa do słowa zrodziła się przyjaźń.

I tak Damien dowiedział się, że Jacob należy do gildii rzemieślników i był mistrzem w swoim fachu. Przez lata mozolnie wzbogacał się na handlu skórami, a garbarzem – jak sam mawiał – był wybitnym. Nikt jak on nie potrafił czyścić skór. Dodając specjalne olejki do polerowania, sprawiał, że powłoka nabierała nie tylko nadzwyczajnego połysku, ale wyzbywała się przy tym zapachu padliny. Wyroby sprzedawał lub wymieniał na sukna, futra i srebrzyste cuda jak kolczugi, hełmy czy pierwszorzędnie zdobione miecze. Handlował głównie w Troyes, gdzie dwa

razy do roku odbywały się targi, znane nie tylko ludności miast francuskich, ale też mediolańczykom, londyńczykom czy nawet muzułmanom przybywających z czarnego lądu. Zawód nie przeszkodził mu w nauce pisania i czytania. Obyty w świecie, jeździł ze swoimi wyrobami poza granice państwa i dorobił się zacnego kapitału.

Po jakimś czasie zaczął prowadzić interesy w Awinionie. Z sukcesem pożyczal pieniądze niezbyt majątnym mieszkańcom, którzy zdecydowanie chętniej oddawali długi, aniżeli lekkomyślni majątni inwestorzy. Gdyby zaś nie udało im się spłacić wierzytelności, Jacob niewiele na takich transakcjach tracił. Może jego nazwisko nie było zbyt popularne u wysoko postawionych patrycjuszy, ale gwarantowało mu względny spokój połączony z godziwym zyskiem. Nie wymagało to również od niego podróży po niebezpiecznych szlakach, gdzie zewsząd czaił się ktoś gotowy przejąć z trudem uzyskane przez lata pracy dobra. Nie tylko stronił od alkoholu, ale jako jedyny miał odwagę na trzeźwo debatować o polityce, książkach czy cudownych krainach, jakie poznał.

Damien spędził noc na kocu, owinięty płaszczem. Następnego dnia dotarł do niewielkiej miejsciny zwanej Crest, przez której środek przepływał rwący strumień rzeki, okalający imponującej wielkości granitowe kamienie. Z doliny rozpościerał się zapierający dech w piersiach widok na górskie szczyty oprószone białą mgiełką.

– To jest dobre miejsce na odpoczynek – zwrócił się do konia, poklepując go po pysku. – Rozrywka dobrze nam robi – dodał, spoglądając na sztyl nieodległej karczmy, na którym pięknie prezentował się pełen piany kufel z podpisem zarezerwowanym tylko dla czytającej elity: „Zajazd u Bogdana”. Z oddali słychać było toasty i dźwięki uderzanych o siebie naczyń.

W środku panował zaduch, powietrze trwało w bezruchu. Przysięgłby, że on pierwszy otworzył tę jaskinię i wpuścił tlen, czym przywrócił śpiących do życia. Przy stolikach siedziało mrowie śmiejących się i klepiących po tłustych brzuchach wieśniaków. Odziani w obskurne, wdzierające się między fałdy tłuszczu łachy, co rusz wycierali brudne usta w porozdzierane od pracy rękawy. Koszul starczało tylko do zakrycia połowy pleców. I nie byłby to problem, gdyby nie zsuwające się wszystkim spodnie, ukazujące mu doliny, jakich nie chciał widywać nawet w najgorszym koszmarze. Poprosił karczmarza o odprowadzenie wierzchowca do stajni, po czym zarezerwował izbę mieszczącą się na pierwszym piętrze, mniej więcej

pośrodku długiego, nieoświetlonego korytarza. Poprosił też o przyniesienie do pokoju potrawki z kurczaka, chleba z fasolą i butelki dobrej jakości wina.

Zbliżał się wieczór, gdy do drzwi zapukał właściciel gospody z zamówieniem. Bez zbędnych uprzejmości przekazał Damienowi półmisek. Wygłodniały, nabrał na drewnianą łyżkę fasoli i załadował ją prosto do gardła. Jadło smakowało nie najgorzej, choć miał okazję raczyć się lepszymi posiłkami. Po dwudniowej tułaczce, gdy miał do jedzenia tylko ser i kiełbasę, nie zamierzał składać zażaleń.

– Czy mogę jeszcze jakoś pomóc paniczowi? – spytał opasły oberżysta o szerokim wąsisku, z głową tęskniącą za podobnym owłosieniem. Nosił białą, niezachęcającą do korzystania z dalszych usług spoconą koszulę wciśniętą głęboko w brązowe spodnie. Zza ich pasa wystawała mokra szmata, śmierdząca od ciągłego wycierania kufla. Oberżysta spoglądał na niego z głupim, wołającym o rozum uśmiechem. W dłoni trzymał tasak, jakby dopiero skończył trybowanie zająca lub leżącego przed nim na półmisku kurczaka. Albo, co gorsza, szykował się na odcięcie paru kończyn nowemu gościowi.

– Nie zauważyłem u pana pięknych kobiet – powiedział Damien, przeciągając się na łóżku. – Prawdę mówiąc, nie dostrzegłem żadnej.

– Pozwoliłby panicz przebywać swojej kobiecie w tym okropnym, cuchnącym od gorzały miejscu, pełnym napalonych prostaków?

– Na szczęście nie muszę głowić się nad organizowaniem szaleństw komukolwiek. Aczkolwiek ma pan słuszność, tam na dół nie zaprosiłbym świni, nawet takiej do ubicia. Ale knurów wam nie brak. Panienki potrzebuję. Tylko błagam, człowieku, przyprowadź taką, której usługi są zbyt drogie dla chłopstwa, jakie gościsz piętro niżej. Swąd to ostatnie, czego mi trzeba.

– O dziwkę pan prosisz?

– Masz rację, sprowadź dwie. – Klepnął się w czoło. – Jestem po długiej podróży, ale tracić życia na spanie nie znoszę. Człowiek czynu jestem.

– Rozumiem – odparł łysy karczmarz.

Damien w to wątpił.

– Wcześniej przygotuj, proszę, wodę do kąpieli dla mnie i moich nowych towarzyszek. Niech to będzie wrzątek!

Karczmarz, podrapawszy się po brodzie i nie dodawszy nic więcej, wyszedł. Po godzinie wrócił z dwoma niewysokimi panienkami, do tego

z ogromnym cebrem, który wypełnił po brzegi parującą wodą. Tylko krótkowłosa panna z bujnym cymem i talią klepsydry odpowiadała wymaganiom Damiena. Druga zaś, no cóż, na pewno się przyda, pomyślał. Wody popilnuje lub podrapie po wszystkim. Krępa, z lekko uciekającym okiem nie odwzorowywała ucieleśnień jego snów. Nie licząc koszmarów, rzecz jasna. Skorzystali z gorącej kąpieli, a że serce miał miękkie, to i Krępą wymyśl dokładnie, po czym ruszyli w wir miłosnych uniesień. O brzasku, jako że zapłacone, ponownie zlali skórę potem rozkoszy. Jak to zwykle w życiu bywa, Krępa, aby zrekompensować straty swej prezencji, starała się za dwie. Można rzec zatem, że otrzymał trzy dziwki w cenie dwóch. Nad ranem gestem godnym szlachcica wyprosił podfruwajki z izby, dodatkowo je przy tym opłacając. I choć palące słońce nieprzyjemnie drażniło jego czułe policzki, zdrzemnął się w samotności. W południe wpadł karczmarz, witając go od progu uśmiechem identycznym jak poprzedniego dnia.

– Ursula, jak sądzę, panicza nie zawiodła? – rzekł podniecony nie mniej niż Damien nad ranem. Przypominał młokosa oczekującego pochwały rodzica zaraz po tym, jak samodzielnie wykonał pierwsze kroki.

– Ursula? – odparł, podpierając się na łóżku.

– To ta przy kości – nakierował. – Z tłuszczkiem, jakiego matka natura jej nie poszczędziła.

– Nie poszczędziła? – powtórzył, ziewając i przecierając oczy z przemęczenia. – Krępa. Jak ją ujrzałem, to chciałem panu łeb odciąć. A jednak dar, jaki ma w sobie ta urocza panna, zostanie w mej pamięci jeszcze długo podczas samotnych podróży.

– Ha, ha! – zaśmiał się donośnie karczmarz, aż cała oberża zazatrzęsa się w posadach. – Jak mogę się jeszcze przysłużyć? Czegoś panu brak, coś trzeba przynieść, załatwić? Mamy tu wszystko.

– Wszystko?

– Wszyściuteńko – zapewnił karczmarz.

– Potrzebuję nadać wiadomość do przyjaciela. – Podniósł się z łóżka i dodał: – Do Awinionu.

– Zaraz przyniosę, co trzeba! – Mężczyzna odwrócił się na pięcie i już miał wyjść, gdy zatrzymał go Damien.

– Nie ma takiej potrzeby – zawołał. – Mam wszystko.

– Proszę zatem sporządzić dokument, a ja odbiorę go wieczorem i przekażę gońcowi.

– Za godzinę będzie gotów. Osiodłaj mego konia, niedługo wyruszam. – Rzucił dwie monety i wyprosił mężczyznę z pokoju.

W liście, nie wdając się w szczegóły, powiadomił Jacoba o swojej wizycie w Aiglun. Na swój powrót do Awinionu, choć nieprędko, prosił o przygotowanie wolnej, czarującej panienki, tak kremowej i zmysłowej jednocześnie, jakiej miał okazję zasmakować tutaj. Przysięgł w liście obdarować ją swym niestety niewiecznym uczuciem, ale żarliwym i temperamentnym sekretem rozkoszy. Opisał miasteczko Crest wraz z przygodą, jakiej miał przyjemność zaznać za sprawą tęgiej niewiasty. I wspomniał o kolejnym przystanku, do jakiego zmierzał – Lyonie. Na koniec, zارعząc o dozgonnej przyjaźni, życzył przyjacielowi udanych lichwiarskich kontraktów i miłosnych podbojów. Wręczył korespondencję grubemu oberżyscie i zaczął się szykować do wyjazdu.

Zbliżał się wieczór, słońce z wolna chowało się za iglastym lasem. Temperatura spadała z minuty na minutę. Nie chcąc tracić cennego ciepła, otulił się ciasniej swoją szarą tuniką. Dotarłszy do niewielkiej polany, ujrzał w oddali kłęby ciemnego dymu. Popędził więc w kierunku smolistych obłoków. Las skończył się bez uprzedzenia, a oczom jeźdźca ukazał się rząd małych, drewnianych chatek wraz z niewielkim placem, pośrodku którego płonął nieudolnie przygotowany stos. W centrum paleniska stała kobieta przywiązana do wielkiego pala i choć płomienie nie dotykały jeszcze jej stóp, krzyczała, wijąc się niczym chwycona za pysk żmija. Nie wyczekując zaproszenia, Damien zeskoczył z Cezara i rzucił do wrzeszczącego tłumu:

– Co się tutaj wyprawia, do jasnej cholery?! – Przybrał najgroźniejszy wyraz twarzy, na jaki było go stać. – Samosąd czynicie na panience, wieśniaki?!

– A kimże ty jesteś – odkrzyknął chudzielec z ogromnym nosem – by przerywać rytuał odkupienia tej diablicy?!

– Rytuał? Nawet nie wiesz, co to znaczy – odparł kpiąco. – Jestem inkwizytorem. Casimir z Awinionu we własnej osobie. Przybywam z łaski najświętszego papieża i żądam, abyście natychmiast uwolnili damę.

Nic innego nie przyszło mu do głowy, a że efektów oczekiwał natychmiastowych, toteż przybrał imię człowieka, którego słów zakwestionować nie wolno.

– Inaczej będziecie sądzeni zgodnie z boskim prawem – dodał.

Tłum niechętnie począł wątpić w słuszność swoich działań. Zerkali spode łba po sobie, patrząc, kto zdobędzie się na odwagę. Nikt nie odważył się odezwać. Nikt prócz chudzielca.

– Kiedy ona zabiła małego Francisa. To czarownica i takie cholerstwa musim spalić na chruście. – Wytarł w nadgarstek swój brudny nos. – Spalić ją!

Gawiedź, choć z początku bez przekonania, dołączyła do cherlawego chłopka i zaraz cała wieś trąbiła jedno hasło.

– Spalić! – wydarł się głośniej niż inni mężczyzna o kasztanowych włosach, odziany w granatową koszulę i bawełniane spodnie tego samego koloru. – Ona zabiła moje dziecko! Spalić! Spalić czarownicę!

Wieśniacy zrywali gardła niczym zapędzone między skały wilki, a echa żarliwych żądań wracały do jego uszu z siłą wojskowych bębnow. Powyginane drzewa zdawały się buczeć razem z otepiałym tłumem, jakby samym nawoływaniem żądali unicestwienia stosu wraz z ofiarą.

Wiedział, że jeśli zaraz czegoś nie wymyśli, to albo kobieta spali się na stosie, albo rozjuszony tłum rozszarpie ją własnymi rękoma. Dobył spod płaszcza pięknie zdobioną broń palną, której lufa osadzona była na jasnym kłocu drewna z wyrytymi na niej wschodnimi znakami: „Ten, który dostrzega prawdę”. Lufę przyozdabiał ręcznie malowany smok z otwartą paszczą, przez co podczas wystrzału wyglądała jak wściekle ziejąca ogniem bestia. Do otworu wsypał czarny proch, a w ślad za nim podążyła ołowiana, nieregularnych kształtów kulka. Przy boku komory prochowej zwisał krótki lont. Damien skoczył pospiesznie w stronę stosu, uchwycił niewielki leżący w ogniu i żarzący się kijek i przyłożył do zapalnika. Uniósł broń ku górze i już po chwili pocisk wystrzelił.

Po ogłuszającej eksplozji nastąpiła długo wyczekiwana cisza. Tłum zamarł i tylko las jak gdyby nic sobie nie robił z ostrzeżeń rzucanych przez Damiena. Ten raz jeszcze powtórzył głuchy wystrzał.

– Uwolnić ją – rzekł tonem nieuznającym sprzeciwu.

Ściągnawszy kobiecie więzy z nóg i dłoni, pogroził mieszkańcom, że jeśli spadnie jej choćby jeden włos z głowy bądź jakiś wieśniak będzie próbował zabawiać się z nią wieczorową porą, zgodnie z papieską wolą zostanie poddany torturom, by finalnie odziedziczyć przygasający jeszcze ogień.

Wioska nie posiada żadnej celi, o czym doniósł mu brodaty wieśniak o imieniu, którego nie zdołał spamiętać. Nie omieszkał też wspomnieć o oddalanej raptem o kilka minut większej osadzie mającej dostęp do

podziemnych lochów dla podobnych wiedźm. Urzędował w niej dobroduszny ksiądz, toteż Damien postanowił nie narażać się na zdemaskowanie, oznajmiając zebrany, iż przesłuchanie odbędzie się na miejscu.

Podejrzaną umieszczono w jednej z chat, do której pilnowania na ochotnika zgłosił się – jak wywnioskował – ojciec nieżyjącego już Francisa. Uznał to za doskonały pomysł. Rodzic zmarłego dziecka dopilnuje domniemanej morderczyni, a w razie próby ucieczki bez wahania położy trupem. Nakazał przyjąć się pod dach sołtysa, którym okazał się, a jakże, chudzielec z monstualnym nosem zwany Sigismundem. Mimo sprzeciwu zebranych rozporządził pójście do chat i zebranie się ponownie na placu po upływie trzech kwadransów. Na wszelki wypadek nie rozsiodłał Cezara, chciał być gotowy zbiec w każdym możliwym momencie.

Pulchna żona Sigismunda podała półmisek marynowanych grzybów z czerstwym chlebem pozostałym po obiedzie. Wraz z potrawką na płycie wylądowało niezłej jakości wino. Choć porcja nie była zbyt wielka, to burczenie żołądka ustało. Sigismund nie wykazywał specjalnej rozmowności przy kolacji, zerkał co rusz podejrzliwie na swojego gościa. Damien nie miał odwagi odwzajemnić spojrzenia. Bynajmniej nie z powodu pietra przed panem domu – smarki ciągnące się z nosa gospodarza domu nie pozwoliłyby mu przełknąć jadła. Nierzadko rozmyślał, co kierowało ludźmi zgadzającymi się na rządy takiego człowieka. Jak w miarę rozsądne społeczeństwo – plebejskie, bo plebejskie, ale jednak – aprobowało fakt, by ktoś taki reprezentował ich wioskę? Wypiwszy z Sigismundem dzban wina, przyodział swój płaszcz i, włączając nogami, wyszedł na mroźne powietrze.

Liczył dokładnie. Szesnastu mężczyzn wyposażonych w siekiery oraz widły, czternaście plotkujących szeptem kobiet i niemalże dwa tuziny niedorostków, z których większość zalegała na rękach starszych sióstr lub matek. Pozostałe dzieciaki biegały samopas od chałupy do chałupy, grając mu na nerwach.

Spojrzał w górę. Niebo przybrało purpurowy kolor, a gwiazdy z rzadka wynurzały się spomiędzy chmur. Nie widzieliby nic, gdyby nie garstka skromnych pochodni oraz oświetlany księżycową poświatą obłok.

– Czy ktoś może mi wyjaśnić, co się tutaj wydarzyło? Powoli i skrupulatnie.

– Jak? – spytał ktoś z tłumu.

– Z wolna i dokładnie – objaśnił.

Po tych słowach trzy rozpalone gniewem wieśniaczki zaczęły wykład z wyuczonych, acz niebiblijnych epitetów. I tak usłyszał opowieści o ladacznicy będącej morderczynią zmieniającą się w czarownicę, mogącej bez skrupułów przybić gwóźdź samemu Chrystusowi.

– Dosyć! – rzekł podniesionym, acz opanowanym tonem. Na moment pospółstwo ucichło. – Jest tu kto na tyle rozsądny, by mi chociaż powiedzieć, jak się zwie ta dziura?

– Montoison – bąknął ktoś.

– Zatem – mówił Damien – drodzy mieszkańcy tej jakże uroczej krainy zwanej...

– Montoison – powtórzył głos.

– Właśnie! Montoison. Zgromadziliśmy się tu, chcąc bez pośpiechu, w dobrej wierze zrozumieć, co zaszło w waszej wiosce. Nie po to, by naprędce spalić kogokolwiek, lecz po to, byście dzięki metodom znanym inkwizycji nie musieli dokonywać podobnych czynów w przyszłości. Założmy, że dama będąca obiektem waszej nienawiści jest niewinna.

– Ha, niewinna! – prychnęła arogancko kobieta w czerwonej sukni. W ramionach trzymała płaczące niemowlę, które delikatnie klepała po plecach, energicznie nim potrząsając. – Nie znasz jej, inkwizytorze, to czarownica! – dodała z pełnym przekonaniem.

– Dokładnie! – wtórował jej sołtys. – Ta wiedźma już dawno powinna spłonąć!

Nie zwracając uwagi na Sigismunda, Damien swój wzrok zatrzymał na kobiecie z dzieckiem.

– Jak ci na imię?

– Sophie – odparła już mniej śmiało. – Sophie Blanchard, panie.

– Piękne imię – pochwalił szczerze. – Zakładam, że twoje obawy są podyktowane niepewnością o przyszłość dziecka.

– Mam ich trójkę. – Pokiwała głową. – Starsze biegają z resztą maluchów. – Wskazała wolną ręką rozszalałą grupę.

– Cudowne – skłamał. – Jednakże, droga pani, przypuśćmy, że macie rację co do tego, że we wsi jest wiedźma łasa na wasze pacholeta. Jak mniemam, rzuca klątwy i gotuje czarodziejskie napary w zamian za uciechy z samym diabłem.

Gawiedź westchnęła, patrząc po sobie nerwowo.

– Cóż uczynicie, jeśli sekutnicą jest nie ta, którą chcecie pozbawić życia za pomocą ognia? Gdyby to ktoś zupełnie inny rzucał urokami w wasze niewinne pociechy? – Ujrzał na twarzach powątpiewanie. – Zabilibyście niewinną kobietę, a szatan dalej knułby pośród was. Czy naprawdę macie odwagę zaryzykować zdrowiem waszych potomków?

– Inkwizytor ma rację – powiedział ktoś z tyłu, po czym zwrócił się do zebranych: – Pozwólmy mu działać, niech odgadnie, kto lub co jest przyczyną naszych nieszczęść. Usłuchamy rad i zaakceptujemy metody, ale co, jeśli ta kobieta okaże się tym, za kogo ją mamy?

– Jeśli wasza teoria się potwierdzi, to przysięgam wam, samodzielnie zbiorę chrust tak suchy, jak czerwcowy dzień przed zachodem słońca, i dopilnuję, by spłonęła w językach czerwonego ognia, a wraz z nią demon skryty w jej trzewiach. – Nie spodziewał się gwizdów i wiwatów na swoją cześć, tak więc nie zaskoczył go ich brak. – Sophie – zwrócił się do kobiety – opowiedz, proszę, co tu się wydarzyło.

Dziewczyna rozejrzała się wokół. Szukała aprobaty, zgody, najmniejszego przyzwolenia. W końcu ktoś szturchnięciem zachęcił Sophie do mówienia.

– Dwa dni temu mały Francis, syn Marie i Andre, źle się poczuł. Uskarżał się na bóle głowy oraz pleców. Myśmy wszyscy myśleli, że wie panicz, jak to dzieci, biegał gdzieś, wygłupiał się, upadł, kto wie? Całe dni latają po lasach, skaczą. Wszystkiego można się spodziewać. Ale potem przestał jeść, a po kilku godzinach nie wstawał już z łóżka. Pojawiły się wymioty, dreszcze. Żeśmy zachodzili w głowę, co się z nim dzieje. Byliśmy przerażeni. Wie pan, jesteśmy sami, żywimy się tym, co zbierzemy. Nikt wcześniej nie chorował u nas, no przynajmniej nie tak.

– Kontynuuj – zachęcił do dalszej wypowiedzi.

– Poleciałam Marie zimne okłady, sama zaparzałam zioła z ogrodu. Na nic się to zdało. I potem zjawiała się Patricia. Ta blond włosy wiedźma. Wasza świętość widziała, jaka ona piękna. Na pewno spółkuje z diabłem.

– Nie słyszałem w świecie, by uroda brała swój początek z mocy piekielnych. Panience też niczego nie brakuje, a jednak nikt z widłami za panią nie gania, żaden chłop o praktyki magiczne nie posądza.

– No... może i tak – zgodziła się zawstydzona. – Ale ta jej chata. Pełna jakichś buteleczek, pazorów, futer i wielkich ksiąg postawianych na półkach. Te półki, panie, to aż pękają pod ich ciężarem.

– Pazurów – poprawił ją Damien.

– Toć mówię przecież.
– Nieistotne, kontynuuj.
– Mnóstwo ma tych eliksirów, panie. Mogę pokazać. Chata znajduje się pod lasem, tam o – wskazała palcem – na lewo.
– Dobrze. Zanim jednak tam pójdziemy, mów, co jeszcze wiesz.
– Wiem tyle, że zabrała dzieciaka do siebie. Marie powie panu więcej.
Albo Andre.

– Jest z nami Marie? – Przewyższał wszystkich co najmniej o głowę, jednak nie chcąc, by cokolwiek mu umknęło, wspiął się na palce.

– Nie – wtrącił się Sigismund. – Jest w domu, opłakuje syna.

– Kiedy zmarł?

– Dzisiaj nad ranem. Marie leży z ciałem Francisa w domu, od czasu jak Andre zabrał go od wiedzy. Nie opuszcza go na krok. Nie radzi sobie ze stratą.

– Gdzie zmarł Francis? Przy matce czy w chacie Patricii?

– Podobno w domu z matką. Ale lepiej porozmawiać z nią, ona powie, jak było.

Damien nakazał mieszkańcom schować się do domów, oznajmiając, że w razie potrzeby zajrzy do każdego i przesłucha zgodnie z wolą Kościoła. Potem skierował się do domu Marie. Zbliżając się, usłyszał stłumiony szloch. Pchnął niezaryglowane drzwi i stanął w progu. Natychmiast przeszył go panujący w izbie chłód. Przeszedł pochylony przez skromną kuchnię, pośrodku której stało coś na kształt stołu z czterema pieńkami wokół. Z lewej strony, na piecyku, dostrzegł kilka ubrudzonych naczyń. Z każdym postawionym krokiem strop opadał, a że mężczyzna liczył metr osiemdziesiąt wzrostu, w chacie zrobiło mu się niezmiernie ciasno, niewygodnie. Kuchnia złączona była z równie niską sypialnią, gdzie ledwo tliła się jedna świeca. Dojrzał Marie przytuloną do ciała drobnego Francisa.

Nic na świecie nie boli jak utrata dziecka, pomyślał. Wziął głęboki wdech i najprzyjemniejszym tonem, na jaki było go stać, wyszeptał do Marie:

– Ogromnie ubolewam nad pani stratą. Wiem, co pani czuje, i rozumiem cierpienie, jakiego pani doświadcza. Pojmuję, iż ostatnie, czego pani potrzebuje, to rozdrapywanie niezagojonych ran, ale próbuję znaleźć sprawcę. Proszę o pomoc w schwytaniu winnego pani łez.

Kobieta nawet nie drgnęła.

– Przysięgam – nie przestawał – że z pani pomocą odnajdę zabójcę pani synka.

Odwróciła się do niego. W oczach panował obłęd, jaki można ujrzeć tylko u matki pogrążonej w świeżej żałobie.

– Miałaś ją – wycodziła przez zęby. – Mogła teraz płonąć. Słyszałabym jej skowyt. Taki sam jak mojego kochanego Francisa. – Spojrzała ponownie na syna, po policzku pociekła jej łza.

– Rozumiem twoje cierpienie. Jednak Patricia zasługuje, jak każdy z nas, na sprawiedliwy osąd. Proszę mi wierzyć, że jeśli twoje przypuszczenia okażą się prawdą, sama zdecydujesz, co z nią zrobić.

– Drogi panie – syknęła – to nie są przypuszczenia, podejrzenia czy jak je sobie, do cholery, nazwiesz. Ta wiedźma zabiła moje dziecko. Zapłaci za to, z twoją pomocą lub bez! Jestem matką. A matka wie takie rzeczy, wie, kto zabił jej dziecko. Niech diabeł ma ją w swojej opiece, gdyż uduszę ją własnymi rękami!

Marie straciła rozum, rozpaczła. Damien doszedł do wniosku, że nic więcej tutaj nie wskóra. Człowiek zachowujący więcej rozsądku pilnował właśnie Patricii i to wpierw do niego powinien się udać. Opuszczając mroźną izbę, pożegnał matkę skinieniem.

Na zewnątrz zastał go deszcz. Wysokie drzewa kołyszące się na wietrze w dzikim tańcu spotęgowały uczucie chłodu. Gdzieś w oddali złowrogo zaskrzeczała wrona. Cała ta sytuacja coraz mniej mu się podobała. Może należało pozwolić im spalić kobietę, zastanawiał się. Albo chociaż pozwolić jej odejść? Trzeba było pozostać na polanie, nie przyjeżdżać w to paskudne miejsce i nie pakować się, jak zawsze, w kolejne zwady. Położyć się, wyspać, wstać rano i popędzić do Lyonu.

Niestety, było już za późno. Znalazł się w centrum zdarzeń, których nie rozumiał. Potrzebował odpowiedzi na pojawiające się pytania. Rozwiązanie zawsze jest proste, pomyślał.

Sigismund odprowadził go pod chatę wiedźmy. Damien chciał zamienić parę zdań z ojcem ojcem Francisa na osobności, toteż rozkazał sołtysowi przejęcie warty i wraz z nim oddalili się na krótki spacer.

Andre był mężczyzną prawie tak wysokim jak Damien, wszakże lepiej zbudowanym, przystojniejszym. Ciągła praca w pocie czoła wraz z umiarkowanym jedzeniem umożliwiły zachowanie idealnej sylwetki. Niebieskie oczy, w których dało się wyczytać spokój, nie musiały prosić o szacunek. Andre zerkał gdzieś w dal, jakby wyglądając syna, mającego zaraz wybiec zza sosnowych drzew i wtulić się w barczyste ramiona ojca. Zaczesane na bok włosy i kilkudniowy zarost oznaczały, że jest

człowiekiem zadbanym. Rzecz jasna na tyle, na ile pozwalały warunki, w jakich przyszło mu egzystować.

– Co chcesz wiedzieć? – zapytał bezceremonialnie Andre.

– Wpierw potrzebowałbym obejrzeć twojego syna.

– W czym problem?

– Z twoją połowicą – westchnął. – Nie chce rozmawiać, nie dopuści mnie do Francisa.

– To nasze jedyne dziecko – wyjaśnił. – Tylko my w tej małej, zawszonej wsi mamy jedno dziecko. Inni mają po trzy lub cztery bachory. Rodzina Subercaseuxów sześcioro! Do licha. Próbowaliśmy z żoną spółdzić kolejne. I nawet się udawało. Jednak nigdy nie donosiła kolejnej ciąży. To był jej jedyny, ukochany syn. Miał raptem sześć lat. Dlaczego akurat on?

– Nie znam odpowiedzi na to pytanie.

– Ty, Sługa Boży, nie wiesz? Jaki Bóg tak czyni? Na pewno nie mój.

– Nie bluźnij – pozostawał w roli inkwizytora. – Nie chcesz chyba, bym i ciebie musiał postawić przed sądem.

– Wszystko mi jedno. – Wypuścił powietrze nosem. – Co mi możesz zrobić? Jak chciałbyś mnie zranić? – Wyprostował się. – Myślisz, że jeszcze na czymś mi zależy?

– Masz żonę, wspaniałą żonę. Nie chciałbyś zostawiać jej z tym samej. Nie masz pojęcia, jaką Bóg szykuje ci przyszłość. – Czuł, że właśnie tego potrzebuje teraz Andre. Otuchy i zapewnienia o bożej miłości. – Pomóż mi. Pomóż sobie. Proszę.

– Czego konkretnie ode mnie oczekujesz?

Damien w skrócie przedstawił mu to, czego dowiedział się od Sophie. Interesowały go wydarzenia po przybyciu do nich Patricii i o to spytał w pierwszej kolejności.

– Zjawiała się u nas wczoraj nad ranem, oferując swoją pomoc – oznajmił.

– Marie wahała się, lecz stan Francisa pogarszał się z minuty na minutę. Gorączka wywoływała halucynacje i drgawki. Nie wiedzieliśmy, jak... Nie byliśmy w stanie mu już pomóc. Patricia powiedziała nam, że skoro gorączkuje, to dobra wróżba. Że zaczyna walczyć i jeśli zacznie zbijać gorączkę, żeby nie przegrzać organizmu, to jest duża szansa na przeżycie.

– Miała rację.

– Co z tego, skoro Francis nie żyje? – Odwrócił twarz. – Gównie wiedziała.

– Zostawiałeś ją sam na sam ze swoim synem? – spytał.

– Nie, raczej nie. – Spojrzał na gwiazdy, szukając w nich potwierdzenia.
– Może raz lub dwa wyszedłem z chaty.

– Co robiła wtedy Marie?

– Marie? Siedziała w domu. Nie umiała patrzeć, jak Francis cierpi. Jak rzuca się po łóżku zlany zimnym potem. Jak nie może nic przełknąć, a mimo to wymiotuje.

– Czym wymiotował?

– Na początku wszystkim, co jadł. Później zólcia.

– Zauważyłeś coś dziwnego? Czy Patricia podawała małemu jakieś zioła?

– Widziałem, jak mieszała jakieś napary. Nie znam się jednak i nie umiem wskazać, czym go karmiła. Nie jestem medykiem, tym bardziej szarlatanem. Wczorajszej nocy krew trysnęła Francisowi z nosa. Zaraz potem zaczął nią pluć. Kiedy to się stało, dłużej nie mogłem wytrzymać. Ona na pewno podała mu truciznę. Zabrałem go do nas, do domu. Ułożyłem w naszym łóżku i... – Zatrzymał się, by nabrać powietrza. Był bliski płaczu. – I mogliśmy tylko patrzeć. Krew popłynęła mu z oczu. Po chwili wydał z siebie ostatnie tchnienie, było po wszystkim.

– Współczuje wam – rzekł ciepłym głosem Damien. – Nie potrafię ukoić waszego bólu. Ale muszę prosić cię o coś, co ci się nie spodoba.

Ciało. Chciał obejrzeć Francisa. W ciszy powrócili do domu, gdzie czekała Marie. Andre prośbami starał się odciągnąć żonę od dziecka. Bezskutecznie. Podszedł do niej, chwycił ją w pasie, silnym szarpnięciem oderwał od wiotkiego, zimnego ciała Francisa. Nie szczędziła mężowi najgorszych epitetów, kopała na oślep. Odepchnęła się od lichej ściany, upadli razem na ziemię. Andre wściekł się, zerwał na równe nogi, bez większego wysiłku podniósł Marie i posadził ją na najgrubszym pniu.

– Możesz wyc tu całymi dniami albo zrobić coś dobrego i pomóc swojemu synowi – powiedział, dociskając ją do stołka. – Lepiej stąd idź. Niech Sophie cię przenocuje. – Nie był rad z tego, co musiał zrobić żonie. Nie pozostawiła mu jednak wyboru.

Nie ustając w krzyku, Marie podźwignęła się i wyszła na zewnątrz. Rozgniewana, trzasnęła drzwiami z taką mocą, że jedna z desek opadła z hukiem na podłogę.

Damien dawno nie widział podobnej furii. Nie tracąc czasu, uprosił pospiesznie Andre:

– Potrzebuję więcej świec. Musimy rozjaśnić pokój, żeby niczego nie przeoczył.

Andre wyciągnął ze skrzyni do połowy wypalone świece, podał Damienowi, po czym wybiegł z izby w sobie tylko znanej potrzebie.

W Montoison zaczęło niemiłosiernie lać.

W tym czasie Damien, rozebrawszy chłopca do naga, ułożył ciało na stole. Andre wrócił po chwili z owiniętymi w szmatę świeżymi łożówkami. Odpalili blisko tuzin świec, rozkładając je w pobliżu zwłok. Damien wziął do ręki największą z nich i z bliska, z największą starannością zaczął przypatrywać się chłopcu. Oględziny zajęły mu dobrą godzinę. Ciało było zimne, blade, jakby ktoś oprószył je mąką. Sprawdził nawet najmniej oczywiste miejsca. Szukał cięć lub malutkich kropeczek po igłach, którymi mogła zostać wstrzyknięta trucizna. Zajrzał za uszy, pod pachy. Rozsuwał palce u dłoni oraz stóp. Niczego podobnego nie znalazł. Chłopiec miał wiele sińców na kolanach i ramionach spowodowanych upadkiem lub uderzeniem najprawdopodobniej podczas zabawy. Białka oczu zasłyły posoką, co nadało dziecku upiornego wyglądu. Damien zajrzał do uszu. I tam odnalazł zaschniętą krew. Przycisnął twardy brzuch, potem klatkę piersiową malca. Francis wydał z siebie syczącą wiązkę powietrza. Obita o struny głosowe wydała ostatni jęk. Andre, odskakując z przerażenia, potknął się o pień i upadł na tyłek.

– Co się dzieje? – wykrzyknął przerażony. – Czy on żyje?!

– Niestety nie, to normalna reakcja. W jego organizmie, konkretnie w płucach, zostało jeszcze trochę powietrza. Stąd ten syk. Wybacz, że cię nie uprzedziłem.

Damien nie zaprzestał szukać wskazówek. Na plecach pojawiały się małe plamy. To wskazywałyby, że dziecko faktycznie zmarło nad ranem. Nie był w stanie określić przyczyny zgonu, jednak zapewnienia ojca trzymały się kupy.

– Na moje – zaczął Damien – to jakaś odmiana cholery gorączki. Podobne przypadki krążą po świecie. Spotkałem się z pokrewnymi oznakami na Wschodzie. Nic więcej na razie nie jestem w stanie powiedzieć.

– Twierdzisz, że Patricia jest niewinna?

– Tego nie powiedziałem – odparł oficjalnie. – Przewalimy jej dom do góry nogami, będziemy szukać czegokolwiek, co może wskazywać na truciznę. Jednakże nieznanne nam zioła czy eliksiry stworzone przez Patricję nie muszą mieć znamion trucizny.

– Jak to? – Ojciec chłopca wściekł się. Nerwowo kręcił głową, jego policzki poczerwieniały. – Chcesz mi powiedzieć, że znajdziesz truciznę, ale to niewystarczający powód do spalenia wiedźmy?

– Trucizna może oznaczać lekarstwo.

– Co za bzdury! – wykrzyczał. – Większych bredni nie słyszałem!

– Zwiedziłem pół świata – tłumaczył cierpliwie Damien. – Widziałem rzeczy, w które sam do tej pory nie mogę uwierzyć, a jednak trucizny stawały się lekami. Ludzie na skraju wyczerpania wstawali, by cieszyć się zdrowiem. Są zwierzęta, których jad może uzdrowić. Trzeba tylko wiedzieć, jak go zastosować.

– Przecież to kolejne szarłataństwo!

– Albo nauka – oznajmił chłodno. – Przeszukajmy jej chatę.

Wyprowadzili podejrzaną do przemoczonego już do suchej nitki sołtysa. Deszcz wspomagany silnym wiatrem kładł wysokie trawy, tworząc z nich swoisty dywan. Targał liśćmi i zrywał niewielkie gałązki, po czym rzucał nimi po całym Montoisson. Przed chatą formowały się kałuże wielkości stawów, których nie dawało się ominąć.

Damien wpadł do pomieszczenia w obłoconych butach. Ucieszył się niezmiernie z ciepła, jakie dawała niewielka izdebka. Jedna sypialnia z dwoma poślaniami tkwiącymi w półmroku kryła swoje tajemnice. To tam udał się najpierw, zostawiając za sobą brązową breję. Przetrzęsnał każdy centymetr pokoiku. Skromne jesionowe półki oblegało kilkadziesiąt ksiąg. Od literatury pięknej przez opowiadania aż do zakazanych tytułów. Dwie z nich przykuły jego uwagę: Diabolus de tenebris, a także Lupus est sanguis. Sam czytał podobne księgi, co nie znaczyło, że kroi żaby, odcina dzioby i odprawia gusła. Otumaniony lud potrafił zawierzyć w magiczną moc zmieszanych ze sobą części gadów i ptaków, a tak naprawdę jedyną magią były tezy głoszone przez Kościół o tym, że określone niezrozumiałe wypowiedzi przywołają rogatego pana pełnego złości, z niszczycielskimi zamiarami. Bywali tacy, co dawali wiarę spisanej inskrypcjom i głoszonym przez księży czy pogan teoriom, toteż napotkany właśnie tomik nakazywał ostrożność.

Pod biblioteczką w przezroczystych fiolkach tkwiły rozmaite płynne i sypkie specyfiki. Czerwone proszki, zielone i żółte zioła, fioletowoniebieskie roztwory. Marzeniem ściętej głowy było odnalezienie opisów do piętrzących się substancji. Otwierał flakoniki, wąchał, a następnie skraplał ich zawartość na palce. Sprawdzał wonie, konsystencje

oraz reakcje skórne. Część rozpoznawał, inne pozostawały zagadką. Zmielone grzyby, ogrodowe zioła, kawałki skóry czy soki z dzikich owoców... Nasiona, liście, kwiaty oraz kory odległych drzew – preparatów można było użyć zarówno w charakterze lekarstwa, jak i zabójczego środka. Wystarczyło wiedzieć, kiedy, z czym i jak podać. Każdy z surowców – w zależności od kolejności, w jakiej by je zażył – mógłby skutkować wyznięciem ducha lub poprawieniem sobie nastroju i samopoczucia.

Czuł ogromne zmęczenie. Wyczerpały go podróż, przesłuchanie i całe to cholerne śledztwo prowadzące donikąd. Marzył o dobrym winie. Podobnym do tego, jakim przyszło mu raczyć się u Sigismunda.

Przejrzał szafki pełne garów, warzyw i owoców. Został mu jeszcze mały pokoik. Wystarczyły dwa kroki, by się w nim znaleźć. Oprócz łóżek stykających się z dużą szafą nic więcej nie dostrzegł. Otworzył stare, skrzypiące drzwiczki. Para pantofli, tuniki, sukienki oraz ubrania dla dziecka. Pod łóżkiem znalazł ich więcej. Koniec na dziś, stwierdził, wychodząc z izby.

Do deszczu dołączyły błyskawice, rozdzielane potężnymi gromami. Ledwie dostrzegł stojące pod strzechą postacie. Zakomunikował im, że przesłuchanie kobiety odbędzie się jutro. Sigismund przyprowadził dwóch starszych chłopów mających spędzić noc na pilnowaniu Patricii. Zaakceptował propozycję i pędem schronili się w chacie. Nim jednak to zrobili, Damien przywiązał konia pod słomianą wiatą chaty Sigismunda. Wszedł do domu i rozwiesił na krzesłach przemoczone ubrania. Wypiwszy dwie butelki wina, po których nawet Sigismund stał się znośny, chwiejnym krokiem udał się na zasłużony odpoczynek.

Damienu zbudziło słońce – dobrotliwe i kojące zszargane nerwy, jakby na przekór temu, co miało się dzisiaj wydarzyć. Wstając z łoża, przytrzymał się oburącz chwiejnego jak on krzesła. W obu skroniach przeszył go ból. W cebrzyku wypełnionym lodowatą wodą ujrzał swe zmęczone odbicie. Przypominał tułającego się po świecie bezpańskiego psa. Kruczoczarne włosy sterczały we wszelkich kierunkach. Z czoła strzepał kawałki igieł i liści. Śniada cera z głębokimi od siana bruzdami wzbudzała w nim powątpiewanie, czy faktycznie spał tej nocy, czy może pojedykował się z kimś na szable. Mięsisty nos przybrał purpurową barwę. Wysuszone, zaciśnięte pełne usta błagały o wodę bądź trunek z wczorajszego wieczora. W stojącym na nierównym pniaku cebrzyku falowała woda. Odbijająca się

w niej twarz Damiena wykrzywiła się pokracznie. Mężczyzna ochlapał się – w pierw delikatnie wzorem francuskich książąt, następnie nabrał cieczy na dłonie, wtarł w policzki i przetrął oczy. Nie poprzestając na tym, pochwycił wiadro po obu stronach i zanurkował we wnętrzu na dobre pół minuty.

Rozmyślał o przesłuchaniu, o kobiecie, jej białych jak śnieg włosach i nieskazitelnej cerze. Analizował wszystko, czego do tej pory udało mu się wywiedzieć i co jeszcze należy ustalić. Rozsądzał w myślach o winie lub jej braku. Pomyślał o śmierci. O chłopcu z twardym jak skała brzuchem, oczach przesiąkniętych krwią.

Wtem na plecach poczuł masywną dłoń. Zląkł się nie na żarty, dynamicznie wynurzając głowę. Gdy tylko woda spłynęła z powiek, jego mętnym oczom ukazała się pani domu.

– Proszę ją dokładnie wypytać, inkwizytorze – powiedziała, pocierając nerwowo palcami.

– Taki mam zamiar – odparł, wycierając szyję czymś na kształt ściereczki. – A jakie pani ma zdanie?

– Na moje oko to ona jest niewinna. A ci ludzie, ech... Uwzięli się na nią. Ładna panienka, to chłopom odbija. Bredzą, że czaruje, że pakt z diabłem zawarła. Durni.

– Ma pani jakieś przypuszczenia?

– Dupy im nie dała, to chcą ją zabić! – wywrzeszczała. – Taka moja opinia, inkwizytorze. Wszystkim tu języki wychodzą na jej widok.

– Myśli pani, że Andre mogło coś z nią łączyć?

– A zgadłby kto? – rozłożyła dłonie. – Wygląda na porządnego, ale kto go tam wie. To pana rola, by się dowiedzieć. Prawda?

– Ano prawda – odrzekł z lekkim uśmiechem.

– No to niech pan weźmie pod uwagę jej urodę. Ona chłopom czerepy wykręca.

– Dziękuję za radę.

– Mąż czeka na inkwizytora u Patricii.

Najbardziej sprzyjającym miejscem do przesłuchania okazała się chata podejrzaney. Miejscowi zebrali się pod budynkiem, czekając w skupieniu na wieści. Damien, Sigismund oraz Andre zasiedli naprzeciw związanej kobiety, noszącej na sobie tę samą szarą sukienkę, która niemal w całości ukazywała jej jędrne piersi. Spadające w nieładzie włosy, skóra delikatna jak pergamin, drobne subtelne usta – kobieta mogła oczarować niejednego

młodzieńca. Mimo wczorajszych oskarżeń i zapewne nieprzespanej nocy wyglądała wręcz kusząco. Nie sprawiała wrażenia zmęczonej ani tym bardziej przerażonej. Siedziała, życzliwie się uśmiechając.

– Nazywam się Casimir, pochodzę z Awinionu. Przybywam z łaski papieża, by ocalić twą duszę lub wydrzeć z ciebie diabła wszelkimi znanymi mi sposobami, tak mi dopomóż Bóg – zaczął znany monolog, jaki miał okazję zasłyszeć tu i ówdzie. – Zadam ci proste pytania. Jeśli będziesz odpowiadać zgodnie z prawdą, to nie obiecuję ci, że zachowasz ciało, ale będziesz w stanie ocalić duszę. Rozumiesz, co do ciebie mówię?

– Jestem niewinna – rzekła przekonująco. – Nie zrobiłam nic, co jest karane stosem.

– Jeśli jest tak, jak mówisz, możesz być spokojna.

– Jakim torturom ją poddamy? – przerwał Sigismund z niekrytym podnieceniem na twarzy.

– Nie będzie tortur.

Uśmiech Sigismunda zniknął z jego purpurowej twarzy. Damien widział wiele tortur, ale żadnej skutecznej. Kiedy łamiesz kości na kole czy wkładasz rozgrzany pręt między nogi, zawsze usłyszysz to, co chcesz usłyszeć. Granie bratniej duszy przynosiło znacznie szybsze i dużo lepsze rezultaty.

– Ale... – sprzeciwił się Sigismund.

Damien nie pozwolił mu dokończyć wypowiedzi.

– Zamknij się. Będzie, jak mówię, albo zamienisz się miejscami z Patricią. Wtedy z miłą chęcią zastosuję na tobie wszystkie znane mi praktyki. Zacznę od jęzora, by nie słuchać już nigdy twoich niemądrych wypowiedzi. – Ponownie zwrócił się do Patricii: – Odpowiedz mi, dlaczego tutaj siedzimy.

– Nie rozumiem.

– Co zarzuca ci wieś? Jak pomagałaś Francisowi i dlaczego to zrobiłaś? Mów wszystko, ratuj się lub giń.

– On miał gorączkę, a ja próbowałam pomóc. Znam Andre bardzo dobrze. Znam każdego we wsi. Wielokrotnie im pomogłam. Ale...

– Mów – nakazał zimno.

– Boję się.

– Czego? – zdziwił się Damien. – Nie masz się czego lękać. Jeśli nie przekonasz mnie, że jesteś niewinna, spalą cię na stosie, a ja im w tym pomogę.

– Święta inkwizycja nie pochwała tego, co robię. – Obróciła smutną twarz.

– Dalej nie masz wyboru.

– Znam się na zielarstwie. – Poddała się, zwracając się do Sigismunda. – Kiedy twoją żonę natrętnie bolała głowa, wyleczyłam ją, bóle ustały.

Sigismund nie odezwał się, rozglądając się nerwowo po pokoju.

– To prawda? – spytał Damien.

– Ale, ale...

– O d p o w i e d z! – warknął.

– Tak. Lata temu. Poza tym wcale nie jest potwierdzone, że pomogły jej twoje ziele. Może bóle po prostu ustały.

– Nazajutrz po wizycie u mnie. Od kiedy pije napar z kory białej brzozy i rumianku, po bólach ani śladu. Kiedy inne dziecko dostało wysypki, ukoilałm swędzenie, a na złamane nogi robiłam opatrunki. Staralam się uratować Francisa, lecz nie dałam rady. Andre, Sigismund, przecież zawsze układało się między nami dobrze...

– Do czasu – syknął Sigismund. Odwrócił się na pniu i skrzyżował nogi.

– Do czasu? – zaciekał się Damien. – Co chcesz przez to powiedzieć?

– Nieważne – burknął sołtys.

– Bardzo ważne. Mów, kmiecie, zanim przerobię cię na karmę dla świń. O ile będą chciały przełknąć kogoś tak niestrawnego!

– Do czasu śmierci mojego syna – wtrąciła Patricia. – Od tego momentu stałam się dla nich czarownicą.

– Bo ci odbiło – krzyknął Sigismund z wściekłością. – Krzątałaś się po nocy, zaglądałaś do okien. Przestałaś z nami rozmawiać, za to nawiedzałaś nasze dzieci. Gadałaś do siebie jak wariatka, jak opętana. Ty jesteś opętana. Teraz też okrecisz świętego inkwizytora.

Damien strzelił Sigismunda otwartą dłonią w tył głowy tak mocno, że ten szczęką chlasnął o blat stołka.

– Jak to się stało? – dociekał Damien.

– Pół roku temu – mówiła Patricia – Nicolas, bo tak miał na imię mój synek, skakał na łóżku. Był słodki. Kucalam na ziemi, układając sitowie, gdy on, pełen radości, podskakiwał wysoko w górę, podciągając kolanka do brzucha. Pamiętam to tak dokładnie, jakby to było dziś... – Wpadła w krótką zadumę. – Nie miałam serca mu przerywać. Był taki radosny. W jednej chwili wyskoczył wysoko, stracił równowagę i spadł głową na stołek, w ten sposób skręcił sobie kark. Tak po prostu. – Patricia rozplakała

się. Chciała skryć twarz w dłoniach, jednak mocno ściśnięte więzy nie pozwoliły jej na to. – I chyba Sigismund ma rację. Odbiło mi.

– Przestań – rzekł Andre. – Jeśli ktoś jest tu opętany, to my. Dopiero teraz wiem, co czułaś. Śmierć Francisa poplątała nam w głowach. Chciałaś pomóc, lecz moja żona przekonała wszystkich, że to ty go zabiłaś. Chciałem wierzyć, że tak jest. Ludzie bali się ciebie, od kiedy straciłaś Nicolasa, i łatwo było im cię osądzić. Mogę cię tylko przeprosić za siebie i za nich.

– Cieszę się, że sprawę mamy wyjaśnioną – skwitował Damien. – Dopilnuję, by nikt nie zrobił ci krzywdy. Jesteś wolna.

– I to wszystko? – Sigismund nie dowierzał.

– Wszystko.

– Przecież jej słowa to żaden dowód! – oburzył się.

– Wychodzimy – oznajmił Damien. – Rozwiąż ją, Andre. Sigismund za mną.

Sigismund zrezygnowany podążył za nakazem. Gdy już zamknęli drzwi po drugiej stronie, Damien zwrócił się zniżonym głosem do Sigismunda:

– Strzeż jej.

– Nie rozumiem. – Zrobił głupią minę. – Toć dopiero żeś gadał, że niewinna.

– Wiem, co gadałem, wiem też, że jej nie ufam. Andre nie myśli racjonalnie, dopiero stracił dziecko. Patricia niech myśli, że jest wolna.

W tej samej chwili spostrzegli obiekt pędzący w ich kierunku. Mężczyzna dopadł do nich cały zziębnięty. Damien wraz z Sigismundem obrócili się od przykrewnej woni dochodzącej od niego.

– Przepraszam – rzucił niski mężczyzna w ubrudzonych ciuchach. W tym momencie dołączył do nich Andre: – Mój syn, Lucas, ma gorączkę. Moja połowica mówi, że taką jak Francis. Proszę. Inkwizytorze kochany, pomóż mojemu malcowi.

– Wiesz, co masz zrobić – Damien zwrócił się do Sigismunda.

Zostawiając Patricię z Sigismundem, pospiesznie udali się do kolejnej już chaty, nieróżniące się niczym od pozostałych. Pośrodku wielkiego łóżka leżał mały chłopiec. Gabarytami przypominał Francisa. Matka chłopca przyłożyła Lucasowi do czoła namoczoną w zimnej wodzie szmatę zwiniętą w rulon. Chłopiec był przytomny, choć targały nim dreszcze. Zatroskana matka poprosiła Damiena o pomoc. Ten nakazał przyniesienie jednej z sakiewek, które zostawił w domu Sigismunda. Posłaniec rychło wrócił

z woreczkiem. Damien przygotował miksturę i podał gołowąsowi napój zmniejszający temperaturę ciała. Teraz trzeba było tylko czekać.

– Jak masz na imię? – spytał chłopca.

– Lucas, prze pana – odparł z grymasem na twarzy.

– Ile masz lat?

– Sześć.

– Coś cię boli?

– Najbardziej brzuch – mówiąc to, przyciągnął nogi do siebie. Na jego twarzy malowało się okropne cierpienie. – Wymiotuję, jest mi strasznie zimno.

– Zawołajcie Patricię. Być może ona będzie w stanie mu pomóc – Damien krzyknął do ojca Lucasa.

– Nie – odezwał się przerażony malec.

– Patricia będzie wiedziała, jak cię uratować.

– To chyba przez nią boli mnie brzuch.

– Jak to?

– Byliśmy z Francisem u niej w domu kilka dni temu.

– Wiedzieliście o tym? – zwrócił się do rodziców dziecka.

– Nie. – Pokręcili energicznie głowami. – Dlaczego nam nic nie powiedziałaś?

– Bałem się. Francis zachorował, wszyscy się nim martwili. Nie kazaliście nam się do niej zbliżać, ale ona była miła. Bawiliśmy się koło jej chatki, rzucaliśmy kamieniami. Jeden z nich trafił w jej dom. Przeraziliśmy się, że nam coś zrobi.

– Trzeba było uciekać! – wrzasnął ojciec.

– Ale ona nic nam nie zrobiła. Powiedziała, że nic się nie stało. Zaprosiła do środka, poczęstowała ciastkami.

– Gońcie do jej chaty, do cholery jasnej! – huknął Damien. – Przeprowadźcie ją tu natychmiast.

Ojciec Lucasa wraz z innymi mężczyznami pobiegli do domu Patricii. Po kilku minutach przybył Sigismund, miał rozbitą głowę. Opierał się na ramionach jednego z wieśniaków, oznajmiając, że Patricia zniknęła. Cała wioska ruszyła na poszukiwania. Damien został z matką chłopca oraz Andre. Lucas opowiedział całe zajście z najmniejszymi szczegółami. Patricia skusiła ich zapachem ciasteczek do chaty. Lucas zjadł jedno, Francis pochłonął resztę, co spowodowało szybsze objawy zatrucia.

I nagle coś mu zaświtało.

- Przypomnij mi, ile lat miał twój syn, Andre?
- Jakie to ma znaczenie? – odrzekł bez przekonania.
- Ile?! – wydarł się.
- Sześć. Dlaczego pytasz?
- Nicolas, ile lat miał Nicolas?
- To była tragedia. Zmarł w swoje szóste urodziny.

Damien wybiegł z chaty bez słowa i popędził w stronę strzechy należącej do wiedźmy. Bo to była wiedźma, a ja popełniłem błąd, pomyślał. Pośliznął się na błocie, upadając w nie kolanami. Nie zatrzymał się. Wszedł do środka, gdzie jeszcze przed chwilą przesłuchiwał Patricię, i sięgnął po wolumin w skórzanej oprawie. Diabolus de tenebris. Przewertował kartki, aż w końcu znalazł tekst, który go tu sprowadził.

Znajdziesz trzy niewiniątka, w diabelską liczbę połączone
Na chwałę Pana w chorobie wielkiej udręczone,
By Hazylash karmił się strachem małych i dużych
Moce posiadziesz po największej burzy.

Patricię znaleźli po półgodzinie poszukiwań. Nie zdołała uciec daleko. Przedzierała się przez niewielki strumyk, gdy dopadł ją ojciec Lucasa. Przyprowadzili ją do chaty. Damien ponownie usiadł twarzą do niej. Uderzył ją zewnętrzną częścią dłoni w skroń, z której błyskawicznie zaczęła sączyć się czerwona, gęsta maź.

– Co mu podałaś, wiedźmo?!

– Coś, czego wyjąć się nie da, lecz narodzi królestwo chaosu – odparła chrapliwym głosem.

– Bredzisz! – Trzasnął ją raz jeszcze. – Zabiłaś własne dziecko z powodu kilku zapisów w durnej księdze! Nie wiem, jak tego dokonałaś, aczkolwiek jestem pewien, że nie mógł to być przypadek, jak próbowałaś nas przekonać. Wydaje ci się, że zabijając trójkę niewinnych sześcioletnich dzieci, przyzwiesz diabła, który obdaruje cię piekielnymi mocami? To tylko liczby, zabobony. To ty stałaś się diabłem, postępując w tak obrzydliwy sposób. Świat nie potrzebuje demonów z piekieł. Piekło jest tu, na ziemi, dzięki takim potworom jak ty.

– To nie jest zwykła księga. To Diabolus de tenebris, przywoła stwórcę piekieł – ciągnęła. – I rozgrzeje ziemię ogniem swych wyznawców, niszcząc przy okazji twój święty Kościół. Wyrwie ci łeb i rzuci go swym dzieciom na pożarcie.

Zdzielił kobietę ponownie, łamiąc jej kość policzkową. W niczym to nie pomogło. Dalej bredziła jak nawiedzona, wierząc w każde wrzucane przez siebie słowo. Pozostało mu czuwać nad Lucasem. Starał się go uratować.

Krew w oczach i uszach pojawiła się po dwóch dniach. Dziecko przechodziło katusze, co sprawiało radość tylko Patricii, histerycznie śmiejącej się bez przerwy. Skatował ją niemal na śmierć, szukając odpowiedzi.

Bezskutecznie.

Lucas zmarł w samo południe.

– Teraz nadejdzie twój koniec – prychnęła do Damiena Patricia.

– Jesteś głupia. Głupia i naiwna, skoro wierzysz, że przybędzie twój ciemny pan. Diabła nie ma. Nie ma piekieł, nie ma też niebios. Jakiej księgi byś nie otworzyła, spisana jest rękoma ludzi takich jak ty i ja. Skąd pomysł, że ktoś posiadał wiedzę tajemną znaną tylko jemu? Nie wiem, kto jest głupszy: ci, którzy wymyślają podobne historie, czy ci, którzy dają im wiarę.

Minęły kolejne dni. Nie stało się nic niewytłumaczalnego. Oprócz tego, że pozwolił jej jeszcze żyć. Pragnął ujrzeć zawód w oczach wariatki.

Z początku myślała, że popełniła błąd. Godzina po godzinie zapał i wiara stygły, aż straciła nadzieję. Obserwował, jak wpada w przygnębienie przechodzące w rozpacz.

Została oszukana.

Wyrywała włosy z głowy, uderzała potylicą o ścianę. Diabeł przybył na ziemię, zawładnął jej głową i duszą. Zmysły ją opuściły.

A Damien oddalił się od wioski, pozostawiając Patricię na łasce mieszkańców. Łasce, której nie zaznała.

Rozdział IV

Awinion mógłby być najpiękniejszym miastem Królestwa Francji. Leżał na styku dwóch rzek: szerokiego Rodanu z silnym nurtem oraz znacznie węższej i spokojniejszej Durance. Mógłby, gdyby nie fekalia i smród roznoszące się po uliczkach niczym zaraza. Bez spoglądania pod nogi, z klamrą na nosie, można by w ogóle się stąd nie ruszać. Niezliczone małe uliczki tworzyły prawdziwy labirynt. Gąszcz deptaków, alei i ścieżek niemalże w całości otaczał gruby mur w kolorze piasku pustyni, chroniąc tę malowniczą metropolię. Aby przedostać się do środka, należało przejść jedną z kilkunastu bram. Nad każdą z nich umieszczono wieżę wartowniczą, z której straż patrolowała przyjezdnych.

Bastian uścił myto i przekroczył bramę, kłaniając się dostojnie wartownikom. W północnej części drewniano-betonowej dżungli wznosił się niemalże kilometrowy kamienny most, szeroki na niespełna pięć metrów i wznoszący się piętnaście metrów ponad wodą. Był cudem architektury podziwianym nie tylko przez odwiedzających miasto, lecz również przez tutejszych. Do tej ogromnej, niewzruszonej budowli przyłączona została inna – Pałac Papieski, cel drogi Bastiana. Nieziemska forteca powstała z kamiennego bloku na prośbę jednego z papieży. Otwarte wrota w kształcie łuku, z dumnie piętrzącymi się spiczastymi wieżami przypominały po mistrzowsku naostrzone strzały. Budziły podziw i trwogę jednocześnie. Symbioza grozy i anielskości.

Nie było mu dane wejść do głównej części tego boskiego przybytku. Nie mógł tak po prostu zażądać audiencji u papieża, dlatego też odprowadził konia do jednej z oberż, po czym pieszo udał się w kierunku małego zabudowania będącego siedzibą kardynała Pierre'a Filliona, drugiego – zaraz po papieżu – władcy chrześcijańskiego świata.

Bastian traktował Kościół jak zło konieczne, kpił z idei wiary oraz ludzi ślepo zapatrzonych w kapłanów, a czarę goryczy przelał wszechobecny smród społeczeństwa. Duchowni z oślim uporem głosili potrzebę

oczyszczania duszy kosztem potrzeb ciała. Prezbiterzy dzień po dniu ciskali gromami w zalęknione chłopstwo, że to chrzest winien być pierwszym i ostatnim kontaktem z wodą. Że wieczorna gorąca woda zmywa z panien dziewictwo, na chłopów zaś działa niczym afrodyzjak, nieodwracalnie prowadząc do grzechów. Jednym z manifestujących podobne poglądy był Pierre Fillion. Człowiek wręcz ubóstwiający fetor swego ciała – bo jakże inaczej można określić postać, która stroni od kąpieli przez kilka miesięcy?

Bastian stosował zgoła odmienne praktyki. Chętnie zażywał kąpieli w publicznych łaźniach, nie oszczędzał też wody w domowym zaciszu. Jak sądził, brak higieny nie sprzyjał długiemu życiu, prowadząc do szerzenia się chorób i robactwa. Najgorszy zapach panował w katedrach i kościołach wśród stłoczonego pospólstwa. Ich spracowane i przepocone koszule powodowały nierzadkie omdlenia podczas codziennych mszy. Jeśli wejście do kościołów nie dawało realnych zysków, omijał je szerokim łukiem. Jednak tylko współpraca z duchowieństwem umożliwiała osiągnięcie największych sukcesów finansowych oraz dostęp do najważniejszych stanowisk w państwie. I był przekonany, że do takich właśnie rzeczy został stworzony.

Kroczył wśród końskiego łajna zmieszanego z ekskrementami wieśniaków, wylewających swoje odchody prosto z okien, często oblewając przy tym zaskoczonych przechodniów. Spoglądał w górę w obawie przed podobnymi praktykami. Minął wielkich rozmiarów targowisko z nagabującymi kupcami przybyłymi z rozmaitych zakątków Królestwa Francji i nie tylko. Awinion, od czasu przeniesienia tu władzy papieskiej, stał się targowa mekką dla kupców z wszystkich zakątków świata. Stragany ugięły się pod ciężarem wyrobów doskonałych sukienników, wyśmienitych garbarzy czy profesjonalnych rzeźników. W drodze powrotnej w związku z nadchodzącą wyprawą zmuszony będzie pobłądzić wśród handlarzy w poszukiwaniu potrzebnych mu gratów.

Gorące słońce drażniło mu kark, dlatego od dłuższego czasu rozglądał się za schronieniem. Najszybciej mógł się skryć za murem, który rzucał upragniony cień. Ale gdy szedł po masywnych schodach, aby przekroczyć bramę, zatrzymał go jeden ze strażników. Ubrany był w grafitową szatę owiniętą pośrodku pasem, z którego zwisał lichej jakości miecz. Gruby mężczyzna z kręconymi włosami, pokrywającymi nie tylko czubek głowy, ale brodę, policzki i czoło, przypominał bardziej zbiegłą z klatki małpę niż pałacową gwardię.

– Czego chcesz? – wydukał ciężko dziwoląg.

– Pragnę odwiedzić kardynała Pierre’a Filliona – odparł Bastian, pocierając dłonią spieczoną szyję.

– W jakim celu?

– Nie twój interes.

– Skoro nie mój – odwrócił się na pięcie – to żegnam.

Może i wartownik wyglądał na przedstawiciela wąskonosych, ale zębatki w jego kwadratowym łbie pracowały należycie. Nie dostanie się do środka, jeśli nie powie strażnikowi, co go tu przywiodło, i dobrze o tym wiedział.

– Mam dla kardynała wieści niecierpiące zwłoki.

– Jakie to wieści?

– Nie żyje inkwizytor Casimir.

– Casimir? – rzucił powątpiewająco. – On jest w innym...

– Mieście – dokończył zniecierpliwiony Bastian. – Tak, wiem. Był tam ze mną na moją prośbę. Żądam rozmowy z kardynałem!

– Przyjdź później. Wielebny teraz śpi.

– To go zbudź. Nie rozumiesz, co do ciebie mówię? Nie żyje inkwizytor!

– Jest popołudnie. Wielebny śpi. Mam zakaz budzenia go. Przyjdź pó...

– Później, tak, wiem. Słyszałem, co do mnie mówisz. Bekniesz za to, parchu!

– Odejdź stąd, nim cię skuję! – krzyknął rozsierdzony strażnik.

– Nic tu po mnie – powiedział Bastian bardziej do siebie niż do strażnika, odchodząc od bramy. Aby dać wyraz swojemu niezadowoleniu, długo jeszcze przyglądał się małpiszonowi z daleka.

Czas płynął wolno. Bastian błądził bez celu między straganami, zatrzymując się z rzadka przy którymś, udając, że interesuje go wystawiony towar. Potakiwał głową, jednak nie rejestrował słów rzucanych mu prosto w twarz przez napastliwych kupców. Zapomniał, jakie rzeczy winien nabyć. Szara koszula nieprzyjemnie lepiała mu się do pleców i brzucha. Rad był, że nie zabrał ze sobą podszytego jedwabiem kontusza, który ślizgałby się po nim jak sarna po lodzie. Z długich, sterczących wąsów kapał pot. Spadał na skórzane brązowe buty, tworząc nieregularne kleksy znikające w mgnieniu oka od palącego żaru. Równo ścięta, poklejona od potu blond grzywka zakryła brwi. Zastanawiał się, jak długo zmuszony będzie zwiedzać miasteczko, nim pospieszy z powrotem do pałacu. Słońce kilkukrotnie chowało się za obłokami, dając chwilę wytchnienia od

niemiłosiernie trawiących jego skórę promieni. Gdy wyszło na dobre, za jego plecami pojawił się ten sam strażnik.

– Kardynał pana wzywa – mówił zziębnięty. – Szybko!

Wrócili w to samo miejsce. Tam czekał na nich drugi ze strażników. Przedstawił się jako Jordi.

– Jordi zaprowadzi pana do kardynała.

Strażnik był wyraźnie podenerwowany. To oznaczało, że zdążył już wysłuchać reprimendy za to, że wcześniej nie powiadomił kardynała o przybyciu Bastiana.

– Jak cię zwa? – spytał Jordi.

– Bastian Gauthier. Krwi szlacheckiej człowiek z Nimes.

Bez zbędnych słów ruszyli marszem w stronę kaplicy. Idąc przez ogromnych rozmiarów plac, Bastian rozglądał się na wszystkie strony i podziwiał piękno zabudowań. Krzyżowo-żebrowe sklepienia stworzone dłońmi marnie opłacanych pracowników, z których wielu poniosło śmierć w imię boskiej idei, przetrwają jeszcze długo po mojej śmierci, pomyślał.

Po prawej stronie minęli pierwszorzędnie wykonane rzeźby świętych postaci. Połączona figura Matki Boskiej, trzymającej ściągniętego z krzyża Jezusa Chrystusa, wywarła na nim największe wrażenie. Nienaturalnie wygięta postać Syna Bożego z głęboką raną na wysokości żeber i opadającą na ziemię martwą dłonią była symbolem upadku ludzkości, a naniesione na pomnik łzy Maryi, do końca wierzącej w niewinność syna, były zwiastunem nadchodzącego gorzkiego bytu, jaki czeka chrześcijan. Dopiero powtórne nadejście Jezusa Chrystusa ma rozgonić chmury, zabierając godziwych, skazując jednocześnie grzeszników na wieczne potępienie. Ogrom pieniędzy oraz wysiłku włożonego w te niebagatelne konstrukcje wprawiały w osłupienie. Budowla budziła w nim respekt – nie wobec Boga, lecz wobec ogromu prac, jaką wykonali tu zwykli śmiertelnicy. Miarowe uderzenia odbijanych obcasów o posadzkę wprowadziły go w stan bezkresnej zadumy.

Przed kaplicą Jordi wybił go z rozmyślań.

– Proszę mówić cicho – polecił. – Kardynał ma dobre ucho i szanuje gości za treść wypowiedzi, nie za emocje.

– Słyszałem o niezwykle duchowym usposobieniu kardynała. Poradzę sobie, dziękuję.

Jordi wskazał wejście.

Nie licząc bukowych dźwiękoszczelnych drzwi, musiał jeszcze przedostać się przez grubą bordową kotarę nadającą wnętrzu dodatkowej wyniosłości. Jakby kolorowe freski na sklepieniach z rzeźbami wszystkich świętych postaci osadzonych na równej jak stół kamiennej posadzce nie były wystarczająco butne. Po dwóch stronach marmurowej posadzki nie uraczył żadnej ławki, żadnego stołka. Prócz migoczących świec kaplicę oświetlały cztery niemałych rozmiarów witraże. Szybki pocięte w przedziwne figury geometryczne w jaskrawych kolorach układały się w postaci Chrystusa na różnych etapach jego życia. Na wprost wejścia, tuż za ołtarzem, zawieszono masywny brązowy krzyż z cierpiącym na nim Jezusem z Nazaretu. Z lewej strony przed lekkim wzniesieniem stał dębowy klęcznik, przy którym ujrzał kardynała ubranego w stare znoszone szaty. Zanurzony w modlitwie, z głową opartą na dłoniach przypominał jednego z gargulców powstałych na katedrze Notre Dame. Wraz z ujrzeniem sylwetki kardynała do jego nozdrzy doleciał specyficzny zapach. Skrzywił się strasznie, choć do Pierre'a miał jeszcze dobre pięć lub więcej metrów. I tylko panujący w pomieszczeniu chłód mógł ukoić trudy nadchodzącego spotkania.

Pierre Fillion, zgodnie z zapowiedzią, słuch miał fantastyczny. Bastian nie zdążył się odezwać, a starzec odwrócił się apatycznie w stronę wchodzących, dając znać, że wie o ich obecności, po czym – jak gdyby nigdy nic – wrócił do modlitwy, traktując ich jak muchy. Poczekali nieruchomo kilka trudnych do zaakceptowania wdechów. W końcu kardynał odezwał się skrzekliwym, aczkolwiek ciepłym głosem:

– Dziękuję ci, Jordi, za przyprowadzenie gościa. Możesz odejść.

Jordi bez dyskusji odchylił kotarę i już po sekundzie skrył się po drugiej stronie. Usłyszeli dźwięk zamykających się drzwi. Pierre odezwał się ponownie, a jego głos zaczął melodyjnie rozchodzić się po kaplicy.

– Przepraszam, że strażnik Anthony kazał ci czekać. Trudno teraz o jednocześnie silną oraz rozgarniętą ochronę. Mamy braki w straży, toteż na starość pozostaje mi tylko wściekać się z powodu ułomności niektórych dzieci bożych. Podjedź do mnie. – Zaprosił go gestem dłoni. – Podejdz i powiedz, co cię do mnie sprowadza.

– Przyszedłem do kardynała... – idąc w stronę klęcznika, nabrał w płuca ostatki świeżego powietrza z komnaty – ze smutną nowiną. Nie będę trwonił ważnego czasu kardynała i przejdę od razu do rzeczy. Przybywam w sprawie naszego inkwizytora. Jak już wiesz, Casimir nie żyje.

Oczekiwał jakieś reakcji, lecz purpurat pozostawał niewzruszony. Własnymi siłami wydobył swe starcze ciało z klęcznika i pomaszerował do Bastiana. Ten ujrzał na plecach Pierre'a Filliona ogromny garb, który rósł z każdym kolejnym rokiem wysługi bożej. Ponadto dało się zauważyć brak jakiegokolwiek uzębienia. Bastian zmrużył oczy, raz jeszcze nabrał powietrza i powiedział:

– Widzę, że wiadomość niespecjalnie dotknęła kardynała.

Pierre Fillion poklepał gościa po plecach.

– Mój drogi, żyję na tym świecie tak długo, że nie zdziwiłoby mnie, gdyby ten rzeźbiony Chrystus postanowił teraz zejść z krzyża i oznajmić mi, że wędrówka po tym świecie dobiegła końca. Jednakże na mnie jeszcze nie czas, twoja wizyta oznacza, że stoi przede mną zadanie. Bóg zsyła mi pracę, w ten sposób odkupię lata win i zasłużę na życie wieczne, siedząc po Jego prawicy. Opowiadaj, co wiesz. Kto go zabił?

– Nie powiedziałem, że został zabity.

– Jestem stary, nie głupi. – Pokiwał pomarszczonym paluchem. – Nie byłoby cię tu, gdyby nie śmierć Casimira z rąk niewiernych. Nie da się inaczej nazwać potwora pozbawiającego życia boskiego sługę. Jak sądzę, przybyłeś donieść o Casimirze, licząc na zyski. Nie wiem, czego pragniesz, najpewniej złota. Mów zatem, a ja w granicach rozsądku wynagrodzę ci to, że zechciałeś pomóc.

– Nie brak mi pieniędzy. Nie one są drogą, jaką chcę podążać.

– Czekaj, czekaj – przerwał mu kardynał. – Przypomnij mi, jak się nazywasz.

– Bastian Gauthier – odparł wyraźnie, acz szeptem, jak polecił mu strażnik.

– Znam to nazwisko. Zaraz, zaraz... – Pierre Fillion przycisnął pomarszczony palec do ust. Przygryzał go, głośno mlaszcząc.

Chwilę trwało, nim kardynał odnalazł w pamięci odpowiedź na nurtujące go pytanie.

– Czy to nie ty wspierałeś Kościół ogromnymi datkami? Casimir wspominał o tobie.

– Mogło się tak zdarzyć – powiedział nieśmiało.

– Zdarzało się wielokrotnie. Moje serce raduje się, że mogę poznać cię osobiście. Cała diecezja jest ci ogromnie wdzięczna za lata wsparcia i życzliwą dłoń, jaką wyciągnąłeś w kierunku ubogich. Wierzę, że będę

w stanie spełnić twoje pragnienia. Przedtem streść, proszę, co się wydarzyło – zachęcił starzec.

– Casimir zginął z rąk zakapturzonego mężczyzny, z ręcznie posługującego się kuszą. Twardy głos mordercy wskazywałby na południową prowincję, jednakże mógł udawać. Zabił nie tylko Casimira. Henri również stracił życie tego nieszczęsnego dnia. Ubrany na czarno mężczyzna uśmiercił dwójkę dostojników papieskich podczas wykonywanych tortur na bezsprzecznie winnym osobniku.

– Tortur? – spojrział przenikliwie. – W Aiglun?

– Dokładnie tak. Przesłuchiwaliśmy człowieka podejrzanego o czary i...

– Przesłuchiwaście? – przerwał wyraźnie wzburzony. – Razem? Kim ty, za przeproszeniem, jesteś, ażeby brać czynny udział w ustalaniu winy człowieka?

Bastian nie przewidział, że kardynałowi powyższa wizja może nie przypaść do gustu. W normalnych warunkach podczas śledztwa nie powinno go tam być. Na szczęście jednak sztukę kłamstwa miał opanowaną do perfekcji.

– To ja poinformowałem Casimira o szatańskich praktykach, jakie miały miejsce w Aiglun. On sam zaprosił mnie do lochów. Jestem, a w zasadzie długi czas byłem, przyjacielem Marcusa, tego oskarżonego o czary człowieka, i występowałem tam jako jego obrońca. Do tamtego feralnego dnia byłem przekonany, że jest niewinny.

– Jakież to informacje zmieniły twą ocenę?

– Mianowicie to, że Marcus miał mnie, przyjaciela, który jednym słowem mógł oczyścić go z wszelkich stawianych mu zarzutów, a mimo to jego żona lub on sam wynajęli kogoś, kto bez wahania zabił dbających o nasze bezpieczeństwo inkwizytorów. Kata wraz z kronikarzem, bo o nich byłbym zapomniał, także. Czyż wieśniak, niemający niczego do ukrycia, postępuje w tak nikczemny, niegodny chrześcijanina sposób? Najwidoczniej miał do ukrycia coś, o czym nie wiedziałem nawet ja.

– Hm. – Pierre Fillion złożył dłonie jak do modlitwy i zanurzył się w oceanie myśli. – Może i ma to sens – odezwał się wreszcie. – Tylko dlaczego mi o tym mówisz? Bo informacja o śmierci inkwizytora, o morderstwie dotarłaby do mnie bez twojej pomocy. Może nie tak wcześniej, ale jednak. Przekonujesz, że złoto nie jest tym, czego pragniesz. Jaki jest zatem cel twojej wizyty?

– Jeśli wasza świętobliwość pozwoli, pragnąłbym samodzielnie odnaleźć tego, który dopuścił się grzechów przeciw Kościołowi.

– Ty? – zdziwił się. – Dlaczego miałbym na to pozwolić?

– Szkoliłem się w walce, mam potrzebne do wyprawy fundusze. No i przede wszystkim stoję tu jako gorliwy chrześcijanin, któremu nauki Kościoła nie są obce. Nie potrafię być obojętny na śmierć niewinnych przedstawicieli Domu Pańskiego. Widziałem zabójcę, wiem, kogo szukać. Ponadto w Aiglun mam człowieka gotowego mi pomóc. Wierzę – mówił z przekonaniem – że kardynał, z łaski papieża, może mianować mnie inkwizytorem. Pierwszą moją posługą byłoby przywleczenie przed twoje szlachetne oblicze głowy skrytej w czarnym kapturze.

– Dlaczego żyjesz? – wypalił.

Bastian zdębiał. Kompletnie nie spodziewał się podobnych słów. Po cichu liczył, że starzec uraczony historią ślepo oddanego wyznawcy Chrystusa podzieli chęć rychłej wendety, mianując go przedstawicielem Świętego Oficjum.

– Nie pojmuję...

– Zginęło dwóch niezłomnych do tej pory inkwizytorów. Poświęcili najlepsze lata, w służbie Bogu dusząc w zarodku herezje pogańskich szarańczy. To dzięki nim Awinion nie jest skażone innowierstwem i nikt nie ma odwagi głośno rozprawiać o wewnętrznych rozterkach religijnych, co jest doskonałym świadectwem ich męstwa i odwagi. Jakim więc cudem ta dwójka stoi już przed obliczem Pana Boga, a ty ledwie przed moim?

– Mnie udało się zbiec, stałem w ukryciu za jedną z podziemnych kolumn – tłumaczył nieco za szybkim tonem. – Oprawca nie dostrzegł mnie, zajął się katem oraz Casimirem. Henri trzymał wartę, tracąc życie jako pierwszy. Uciekłem jak największy tchórz, ale dzięki temu mogę teraz z biskupem rozmawiać. Moją powinnością jest wrócić do Aiglun, odnaleźć winnego, pomścić inkwizytorów.

Pierre Fillion nie zawierzył tym słowom.

– Rad jestem, że przyszedłeś, że poinformowałeś mnie o całym zajściu. Niemniej jednak nie mogę pozwolić, by człowiek, którego widzę po raz pierwszy na oczy, ot tak, za sprawą jednej historii stał się inkwizytorem. Brak świadków całego zdarzenia nie ułatwia sprawiedliwego osądu przedstawionej opowieści. Jednak czuję się zobowiązany dać ci szansę, byś za sprawą szczerości i szlachetności zdobył to, co jest, jak zakładam, celem twojego jestestwa. Ściągnę do miasta najbardziej oddanego Bogu

inkwizytora, Jacques'a Begreona. Mianuję cię jego wikariuszem, razem wyruszyście do Aiglun na spotkanie z twoim przyjacielem. Jeśli dowiedziesz, że słowa, które głośisz, są prawdą, to zgodnie z wolą biskupstwa i z moim poparciem Kościół mianuje cię inkwizytorem Awinionu. To sprawiedliwy układ, zgodzisz się?

– Prawda – odrzekł beznamiętnie. I choć uważał inaczej, nic nie mógł poradzić. Dalsza dyskusja i usilne prośby wzbudziłyby podejrzenia. A i tych nie zdołał uniknąć.

Kardynał zgodnie z obietnicą posłał po inkwizytora. W liście nakłonił go do rychłych odwiedzin Awinionu, pokrótce nakreślając powód wezwania.

Bastian postanowił uzbroić się nie tylko w cierpliwość, ale i najsmaczniejszy alkohol dostępny w mieście. Wrócił do oberży, upił się w trupa i, ledwo przebierając nogami, powlókł się do swojej izby. Uwalił się na niewygodne łoże i szybko odpłynął w krainę mrocznych snów. Tak spędzał każdy dzień dopóty, dopóki nie przybył Jacques. Zdarzały się nieprzespane noce. Te poświęcił na kombinowanie, w jaki sposób przekonać do siebie bezwzględного inkwizytora, którego imię znane było aż po Konstantynopol. Fanatyk religijny, mściwy i przebiegły, budził postrach w miasteczkach, w jakich przyszło mu uzdrawiać kacerzy. A teraz, ramię w ramię, mieli szukać zabójcy. Prędko przekonał się, że jest nic nieznaczącym szeptem w porównaniu z donośnym tenorem, jaki stanowił wielki Jacques.

Głęboko osadzone, prawie srebrne oczy zdawały się lustrować nie tylko Bastiana, lecz każdy element, każdą cząsteczkę fruwającą w pomieszczeniu. Dwudniowy zarost, krótko ścięte włosy oraz krzaczaste brwi sprawiały, że Begreon wyglądał demonicznie. Bez ruchu i w skupieniu słuchał opowieści Bastiana.

Bastian zaś wątpił w realność inkwizytora, w to, że ma do czynienia z człowiekiem z krwi i kości. Może śnił? A może ktoś zrobił mu nieśmieszny żart, zamykając go w ciasnym pomieszczeniu z duchem czekającym na zbudzenie? Duchem gotowym siać panikę w ludzkich umysłach, rozdzierać szponami serca na wzór świętego krzyża. Błagał w myślach o ruch, o jakiś mały znak pozwalający mu wierzyć, że spotkał istotę tak ją on, czującą i myślącą.

Już teraz żałował, że tu przyjechał. Że powiadomił o zajściu kardynała, że musi stać w tym miejscu, tłumacząc krok po kroku, co zaszło w Aiglun. Potężny Jacques przerwał w końcu swoje milczenie:

– Zwodzisz mnie. – Wstał z krzesła i przeszedł do pokrytego kurzem okna. Zajrzał gdzieś w dal i, stojąc zwrócony plecami do Bastiana, powtórzył: – Zwodzisz mnie. Bardzo tego nie lubię. Chcesz mnie przekonać, że przyjechałeś do Aiglun, poznałeś przyjaciela, który jak się okazało, bratał się z diabłem, a ty przez długi czas nie miałeś o tym zielonego pojęcia? Casimir potrzebował twojej obecności podczas tortur? Bzdura – wycedził. – Nie wiem, kim jesteś, skąd pochodzisz i jakie masz zamiary, natomiast imię Casimira jest znane daleko poza Awinionem. Wiem, jak bardzo wykorzystywał swoją pozycję, i jestem przekonany, że miałeś w tym spory udział.

Bastiana zlał zimny pot, twarz okryła się bielą. Rozwahał, co się zaraz stanie. Zginie szybko od pchnięcia nożem, co wydawało się łaską, czy może zostanie przesłuchany i torturowany, tak jak mieli to w planach uczynić z Marcusem? Oprawca wykręci mu dłonie, połamie na kole, spali, a może wsadzi w trzewia rozgrzany do czerwoności pręt?

W tej samej chwili Jacques znienacka znalazł się przy twarzy Bastiana. Dłoń inkwizytora dosięgnęła szyi ofiary, pchając ją pod ścianę. Czuł zaciskające się na krtani imadło, które w jednej sekundzie mogło ją zgnieść. Nie siła, nie szybkość, z jaką poruszał się Jacques, przeraziła Bastiana najbardziej, lecz spokój, jaki malował się na czarcim pysku inkwizytora.

– Powinienem cię zabić.

Powiedział to tak przekonywająco, że Bastian był w stanie uwierzyć, iż jest to najrozsądniejsze rozwiązanie. Rozwiązanie, na które gotów był się skusić. Jacques rozluźnił uścisk, stawiając Bastiana ponownie na ziemi. – Kolejny śmieć niewarty istnienia. Cóż bym zyskał, pozbawiając cię ducha, prócz kilku uśmiechów twoich wrogów? W całej tej marnej sytuacji ratuje cię śmierć Casimira. Bo choć on również na nią zasługiwał, to na pewno nie z rąk pomiotu wymierzającego sprawiedliwość za pomocą kuszy. Tylko Bóg jest sprawiedliwy. I tylko on za pomocą długich rąk inkwizycji może decydować, co jest słuszne. Zabiłbym cię na miejscu, niestety kardynał nakazał mi chronić twój parszywy zad ze względu na ogromne inwestycje kościelne, na które łożysz. Kardynał Pierre jest już starym człowiekiem. Zmąciłeś jego umysł, lecz ja nie dam wiary opowiedzianym przez ciebie bajkom.

Raz jeszcze bez trudu uniósł Bastiana, tak że jego stopy zwisały swobodnie w powietrzu, a palce nóg bez powodzenia próbowały dosięgnąć

podłoża. Przypominał wyrzuconą na piaszczysty brzeg rybę, usiłującą złapać maleńki haust tak potrzebnego do życia tlenu. Inkwizytor rzucił zdobycz na ziemię. Siedemdziesięciokilogramowy mężczyzna dla Jacques'a i dla jego ogromnych mięśni był raptem starą, wypełnioną słomą poduchą, którą z łatwością popchnął kilka stóp od siebie.

– Pomożesz mi znaleźć tego heretyka, ty i twój rzekomy pomocnik czekający w Aiglun. Udamy się tam jutro z samego rana, opłacisz całą wyprawę. Ponadto wrócisz do kardynała i złożysz datek na Kościół. Bardzo duży datek, znacznie większy niż do tej pory, wtedy ja być może zapomnę o twoich grzechach. Bo choć czuję wstręt do robactwa, to cenię, że wspiera ono Kościół.

Poranek był chłodny i wietrzny. Ptaki awanturowały się, wzbijały w górę, po czym gwałtownie opadały, niemal zderzając się z podłożem. Korygowały sylwetkę i wracały na upragniony pułap. Szukały przestrzeni w leśnych porywach wiatru, goniąc za finałem tego karkołomnego lotu. Część z nich poddawała się i lądowała na gałęziach w oczekiwaniu na sprzyjające warunki. Spoglądały łapczywie na zroszone rosą liście. Bastian ze współczuciem obserwował wróble i drozdy w trudach ich codziennego życia.

Zmierzali w kierunku Aiglun. Jacques milczał całą drogę. Z zamkniętymi oczami nasłuchiwał porannego śpiewu siedzącej na drzewach ptaszyny. Gdzieś w oddali dało się usłyszeć dźwięk spadających spróchniałych gałęzi. Mimo wiatru niebo było bezchmurne. Gdyby nie przenikliwy ziąb, Bastian mógłby zanurzyć się w odgłosach natury, tak jak uczynił to Jacques.

Kilkadziesiąt metrów przed nimi drogę przecięła brązowa postać. Skryła się za opasłym dębem, wyczekując swej ofiary. Inkwizytor nie zwolnił tempa. Pochwycił uzdę mocniej i chlasnął nią konia, czym przyspieszył jego chód. Bastian zmrużył oczy, złapał rękojęć miecza gotów do walki. Rozglądał się po lesie. Dwóch podróżnych przedzierających się przez gęsty las to łatwy cel dla zgrai bandytów. Spojrzał na Jacques'a. Pozostawał niewzruszony. Najprawdopodobniej tylko sam Bóg mógł wytrącić go z równowagi, choć co do tego również nie mógł mieć stuprocentowej pewności. I mimo że nie dostrzegął, by Jacques poruszał głową, to był święcie przekonany, że i on bada otoczenie.

Nikt nie wyszedł zza drzewa, nieznajomy tkwił tam, czekając, aż ich konie zrównają się z wielkim dębem.

– Wyjdź stamtąd! – wykrzyknął Bastian. – Widzimy cię!

Usłyszeli tylko szelest liści.

– Zamknij się – uspokoił go Jacques. – Wyobraźnia płata ci figle.

Nieoczekiwanie zza drzew zaczęła wyłaniać się brązowa istota z wystającymi żółtymi kłami. Dzik! Obrzucił ich szalonym spojrzeniem, po czym prędko ulotnił się w gęstych krzewach czeremchy.

Już bez przygód dojechali do spróchniałej tabliczki z wyrytym napisem Aiglun. Dochodziła północ. Miasto przed pogrążeniem się w zupełnej ciemności ratowała tylko delikatna poświata srebrnego globu.

Przy wjeździe stało dwóch okrytych kocami cherlawych strażników, przestępujących z nogi na nogę, chcąc ogrzać zmarznięte ciała. Dla Jacques'a ten widok był zaskakujący. Taka miejscina obstawiana nocną wartą to rzadkość, choć nie idiotyzm – stwierdził w myślach.

– Stać!

Mrok nie pozwolił ocenić Jacques'owi, który ze strażników wydał komendę.

– Kto idzie? – spytał ten sam głos.

– Jacques Begreon, inkwizytor powołany z łaski papieża, wraz z Bastianem Gauthierem, towarzyszem mej wyprawy. Przybywamy w sprawie zabójstwa, jakie miało tu miejsce przed kilkoma dniami. Potrzebujemy noclegu. Zaprowadź nas do kościoła, byśmy mogli nabrać sił.

– Tak jest! – odrzekł głos.

Nie sprawdzono im dokumentów. Nie było takiej potrzeby, inkwizytor był na tyle przekonujący i stanowczy, że strażnicy jak zahipnotyzowani usłuchali instrukcji. Jeden z nich odprowadził ich do oświetlonego pochodniami budynku z niewysoką wieżą, pośrodku której mienił się niewielki stalowy dzwon. Żołnierz zbudził księdza, który wprowadził ich do środka, a sam zabrał konie do miejskiej stajni znajdującej się naprzeciwko plebani przyłączonej do kościoła.

W środku panował większy ziąb niż na zewnątrz. Ksiądz poprowadził gości do kuchni, zapalił świece i zagotował wody z rumiankiem. Postawił przed nimi napor, a gdy gorąca mgiełka wydobywająca się z wnętrza kubków uderzyła w nozdrza, mogli się rozgrzać.

– Zimny sierpień w tym roku mamy, inkwizytorze – zagał ksiądz.

– To prawda. Dziękujemy za gościnę i przepraszamy, że zbudziliśmy księdza o tak późnej porze. Swoją drogą – ciągnął Jacques – całkiem tu przytulnie.

– Zgadza się. – Siorbnął łyk gorącego napoju, odstawił kubek i dodał: – W całym mieście jest pięknie. Do zeszłego tygodnia, do czasu, gdy straciliśmy ojca Camille’a i inkwizytora Casimira, było jeszcze cudowniej. Nadal nie pojmuję, co się stało.

– Przybywamy w tej sprawie. Przykro mi, że poruszam ten temat o tej porze, wolałbym jednak nie zwlekać.

– Oczywiście. – Ksiądz przetarł zmęczone oczy. – Jeśli tylko będę mógł pomóc...

– Na pewno tak będzie. Jak mam się do ciebie zwracać?

– Och – westchnął, a na jego czole pojawiło się mnóstwo długich linii przypominających naprężone gąsienice. – Gdzie moje maniery? Nazywam się Alexis.

– Czy ktoś jeszcze tu mieszka, ojczy?

– Oprócz mnie? Nie. Już nie. Tylko dwa razy dziennie Monique przychodzi ugotować coś, posprzątać. Mieszkaliśmy tu razem z ojcem Camille’em i wspólnie opiekowaliśmy się mieszkańcami.

– Jaki on był?

– Camille? – spytał bardziej siebie aniżeli swojego gościa. – Dobry człowiek. Pomocny, jak my tu wszyscy dla siebie. Odwiedzał wiernych, cieszył się ogromnym szacunkiem.

– Wróćmy zatem do dnia, w którym zginął. Co się stało?

– Sam chciałbym wiedzieć. Myślę, że więcej waszej świętobliwości powie wasz towarzysz. Prawda, Bastianie?

Bastian przełknął niezauważalnie ślinę, po czym odparł:

– Już przekazałem inkwizytorowi to, co wiem. Być może ksiądz wie coś, czego nie wiem ja.

– A cóż ja mogę wiedzieć? – Odchrząknął. – Nie brałem udziału w przesłuchaniu, a ojciec Camille nie mówił mi zbyt wiele. Podobno Marcus uprawiał czary, od tego zaczęła się ta cała szopka.

– A ksiądz w to wierzy? – spytał inkwizytor.

– Sam nie wiem. – Wzruszył ramionami. – Wcześniej nie mieliśmy na niego skarg. Pomagał innym, bo i jemu się wiodło. Choć datków na Kościół nigdy nie dawał. Ale czy to powód, by oskarżać go o magię?

– Nie, ale może też dawać do myślenia. Dlaczego człowiek dzielący się z biednymi nie dzieli się z duchownymi? Chodził do kościoła?

– Tak. Raczej tak. Wszyscy w miasteczku chodzili. To nie jest duże miasto. Dzisiaj inkwizytor tego nie zobaczy, bo na dworze ciemno jak

w grobie, ale w dzień na pewno.

– Zastanawia mnie jeszcze jedna rzecz – mówił Jacques. – Jak morderca dostał się do celi?

– Była otwarta.

– Mam na myśli korytarze. Skąd wiedział o podziemnych korytarzach, jak się tam znalazł?

– Cóż, to dobre pytanie. Wiemy, że do celi dostał się albo prosto z lasu, gdzie jest ukryte wejście, albo przez siedzibę władzy miejskiej. Na drzwiach nie ma jednak żadnych śladów podważania czy dziur od uderzeń. Śladów takich nie ma także w przedsionku znajdującym się pod ziemią, tym usytuowanym niemalże naprzeciw celi, a był prawdopodobnie zamknięty. Z tego, co wiem, zawsze jest. Jeśli więc nie wszedł od strony lasu, musiał użyć wytrycha. Równie dobrze mógł się nim posłużyć, by przedrzeć się głównymi drzwiami ratusza, zamykając je ponownie od środka. Kościołem nie wszedł na pewno.

– Skąd ta pewność?

– Działo się to w sobotę, a wtedy razem z Monique sprzątaliśmy cały kościół przed niedzielnymi nabożeństwami. Któreś z nas by go zauważyło.

– Jest ksiądz pewny co do Monique?

– Ooo, zdecydowanie. To starsza kobieta, oddana Kościołowi jak nikt. Mówiąc szczerze, jeśli po mieście krąży nawet najmniejsza, najmniej istotna ploteczka, jest mi przekazywana w pierwszej kolejności. Proszę mi wierzyć na słowo, gdyby widziała cokolwiek lub kogokolwiek, po prostu nie umiałaby utrzymać języka za zębami.

– Mamy więc dwie możliwości wejścia do celi przesłuchiwanego. Pierwsza od strony lasu, druga od ratusza. Gdyby wybrał drugą z opcji, ktoś mógłby go zauważyć, donieść strażnikom. Zgadza się?

– Można tak założyć.

– To oznacza, że nasz poszukiwany jest albo miejscowym, znającym pobliskie tereny, albo ma współnika w miasteczku. Bo skąd wiedziałby o wejściu? Ktoś musiał mu powiedzieć. Kto? – spytał wprost.

– Gdzie moje maniery? – zignorował pytanie Alexis. – Zjecie coś? Mam bochenek zacnego żytniego chleba oraz wino nie najgorszej jakości.

– Chętnie – odparli chórem. – Jechaliśmy do was szmat czasu, przyda się coś na ząb, nim ułożymy się do snu.

Alexis odsunął się od stołu i zniknął w spizarce. Na odgłos uderzających o siebie glinianych słoików Bastianowi zaczęło burczeć w brzuchu.

– O! Mam tu jeszcze dzem z tegorocznych jagód. Przepyszny. – Postawił dzbanuszek na stole. – Posmakujcie wyrobów wspaniałej Monique. Pytał inkwizytor o...?

– Kto w mieście wiedział o korytarzach pod kościołem?

– Hm. – Ksiądz przyłożył palec wskazujący do ust, oczy skierował ku górze, pogrążając się w zadumie. – Wiedzą o nich wszyscy duchowni oraz strażnicy miasteczka.

– Chcesz, bym przesłuchał każdego strażnika tego miasta? Ilu ich jest?

– Kilkunastu. Aczkolwiek wydaje mi się, że nie będzie potrzeby przesłuchiwania ich wszystkich.

– Co ksiądz ma na myśli?

– Mianowicie to, że jednym ze strażników był Stanislas.

– Stanislas? To ma mi coś powiedzieć? Powinienem znać to imię?

– To kuzyn Marcusa – odparł Alexis.

Nie jedli w ciszy. Jacques bez przerwy dopytywał o szczegóły: kiedy zaczęły się problemy z Marcusem, kim byli jego przyjaciele, czy miasto zamieszkiwał ktoś jeszcze z jego rodziny prócz Stanislasa? Alexis poinformował inkwizytora, iż Marcus uciekł wraz z małżonką i dzieckiem. Przekazał mu także niezbędne informacje na temat Stanislasa, na przykład to, że teraz on przejął interesy bratanka i zajmuje się karczmą. Dowiedział się również o zalanej krwią kronice ojca Camille'a.

– Stanislas przejął interesy Marcusa? Przecież to niedorzeczne.

– Jak to? – spytał zaintrygowany Bastian.

– Jak to? – wściekł się. – Pytasz jak to? Marcus zostaje posądzony o herezję, następnie znika. W celi, gdzie odbyło się jego przesłuchanie, znajdujemy pięć ciał. Pięć! – wykrzyknął, pokazując rozłożoną dłoń Bastianowi. – A ksiądz oddaje jego majątek człowiekowi, który najpewniej pomógł mu w ucieczce! – Przesłuchaliście go? – zwrócił się do księdza. – Zrobiliście chociaż to, prawda?

– Nie, z jakiego powodu? To dobry człowiek. Trochę nerwowy, ale nic poza tym.

– Dobry Boże, nie wierzę własnym uszom. Posłuchaj mnie uważnie. Wezwiesz teraz strażników, oni odwiedzą naszego podejrzanego i zamkną na pozostałą część nocy w lochach. Jutro z samego rano dostarczysz mi nową kronikę i osobiście zanotujesz każde słówko, które padnie z jego ust.

– Ale wielki panie... – Zatrzymał się w pół zdania pod naporem przenikliwego wzroku inkwizytora. Tak kłującego, tak ściskającego za

trzewia, jakoby miał wydobyć duszę prosto z serca, zdeptując ją na miejscu. – Oczywiście – dodał pośpiesznie.

Świt przywitał ich rześzystym deszczem i gęstą jak piana mgłą. Jacques nienawidził takiej pogody. Powodowała u niego zmęczenie. Najchętniej pozostałby w łóżku, czytając Biblię w towarzystwie słodkiego wina. Przemył spierzchniętą twarz lodowatą wodą, następnie włożył swój ciemny płaszcz, zapinając się po samą szyję, i ruszył do głównej części kościoła. Tam czekali już na niego uśmiechnięty od ucha do ucha Alexis, trzymający pod pachą księgę oprawioną w skórę, wraz z siedzącym na posadzce Bastianem.

– Jak można się tak cieszyć przy tak nędznej aurze? – zwrócił się inkwizytor do Alexisa.

– Kto ma Boga w sercu, ten zawsze ma pogodę.

– Piękne słowa, drogi ojcze, ja jednak potrzebuję słońca na niebie, by normalnie funkcjonować. – Mówiąc to, wskazał rękę na ogromne drzwi. – Prowadź nas do Stanisłasa.

Zeszli do tej samej sali, w której kilka dni temu przesłuchiwany był Marcus. W celi tliły się dwie niewielkie pochodnie. Jacques rozkazał przynieść dodatkowe oświetlenie. Jego wzrok nie miał się już tak dobrze jak jeszcze parę lat temu. Zastanawiał się, czy są to oznaki dojrzałego wieku, czy może nieznana atakująca choroba... Odsunął od siebie te myśli. Przymrużonymi oczyma spojrzał w kierunku podejrzanego. Stanislas siedział przywiązany do krzesła, ale więzy były słabe. Jeśli tylko by się postarał, mógł uwolnić nadgarstki kilkoma sprawnymi ruchami. Gdyby to jednak zrobił, czekałyby na niego wzmocnione, zamknięte na dwie zasuwę drzwi, a za nimi dwóch strażników, będących do wczoraj jego kompanami.

Stanislas w ogóle nie przypominał swojego kuzyna Marcusa. Z ogoloną do zera głową oraz niewidocznymi brwiami bliżej było mu do noworodka, a niezwykle niski wzrost tylko potęgował to wrażenie. Bratanek Marcusa nie wylewał za kołnierz, toteż nikogo nie dziwiły plamy na odzieniu. Wyglądał na pierwszego lepszego napotkanego mieszkańca, sprowadzonego tu przez żołnierzy tylko po to, by wypełnić wolę Jacques'a.

Przytwierdzony do stołka, sprawiał wrażenie jeszcze mniejszego niż w rzeczywistości. Jacques przysiadł naprzeciwko. Jedna nóżka jego siedziska była krótsza od pozostałych. Zezłił się w myślach i przesunął krzeselko po mokrej posadzce, by zbliżyć się do oskarżonego. Dotknął dłonią mokrego czoła Stanisłasa, odchylił jego łysą głowę do tyłu i spojrzał

mu prosto w oczy. Przyglądał mu się dłuższą chwilę. Ujrzał, jak z pewnego siebie wieśniaka ucieka wiara we własne siły, a ogarnia trwoga.

– Jesteś spokrewniony z Marcusem? – inkwizytor zapytał na tyle cicho, że Stanislas ledwie go słyszał.

Mężczyzna skinął głową.

– Wiesz, kim jestem? – kontynuował Jacques.

– A jakie to ma znaczenie? – Mimo iż całe ciało komunikowało strach, słowa przesłuchiwanego brzmiały pewnie, dumnie.

– Masz rację. Nie ma to żadnego znaczenia – odparł z delikatnym uśmiechem. – Powiedz mi, czy wiesz, dlaczego się tutaj znajdujesz.

– Ksiądz Alexis doniósł mi, że nadal szukasz zabójcy inkwizytorów, tych, którzy gościli ostatnio w Aiglun.

– Nadal? Tak powiedział ci ksiądz Alexis?

– Nie. Ja tak powiedziałem.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Wiesz, gdzie on jest?

– Oczywiście. – Pokręcił z niedowierzaniem głową. – Aż dziw bierze, że tak bystry człowiek, na jakiego wyglądasz, dotychczas go nie odnalazł.

– Wskaż mi drogę, a nie spotka cię żadna kara. Wyjdiesz stąd równie prędko, jak się tu dostałeś.

– To, że jestem wieśniakiem, nie znaczy, że jestem głupi i naiwny – prychnął. – Obaj wiemy, że stąd nie wyjdę.

– Źle myślisz. Świat nie jest jednowymiarowy. Pozwól, że się przedstawię. Nazywam się Jacques, zostałem wysłany tu z woli papieskiej, mam odnaleźć winnego śmierci dwóch inkwizytorów oraz kilku mniej lub bardziej winnych pomocników. Nie mam nic do ciebie, o ile pomożesz mi ich odnaleźć. Tak jak ty, wiem, że niesłusznie oskarżyli twojego kuzyna. By to jednak udowodnić, potrzebuję ciebie. Dasz mi informacje, w zamian ofiaruję ci spokój. To chyba dobry układ, prawda?

– Taaak, to dobry układ – odparł niepewnie. – Pytanie, czy szukasz prawdy, czy kozła ofiarnego.

– Szukam zabójcy.

– Stoi obok ciebie. – Wskazał głową Bastiana.

Jacques odwrócił się w stronę nerwowo przebijającego nogami towarzysza. Sprawiał wrażenie zaskoczonego odpowiedzią Stanislasa. Ciuchy gryzły go w skórę, a wyimaginowane karaluchy przebiegły zwinnie wzdłuż kręgosłupa, co powodowało niechciane ciarki na całym ciele. Jacques uśmiechnął się i ponownie spojrzął na związanego mężczyznę.

– Chroniłeś to miasto, prawda?
– Zgadza się.
– Bardzo dobrze znasz podziemia, w których się aktualnie znajdujemy.
– Zgadza się – powtórzył.
– Pozwól, że przedstawię ci historię od początku. Twój kuzyn zostaje osądzony o czary. Do miasta przybywają inkwizytorzy z Awinionu, by sprawiedliwie go osądzić.

– Sprawiedliwie? – przerwał mu. – A to dobre! Was wszystkich w całej tej organizacji uczą komedii czyś tylko ty taki błazen?

Jacques uderzył Stanisłasa zewnętrzną częścią dłoni, rozcinając złotym sygnetem łuk brwiowy pyszałka.

– Zamknij się i słuchaj – nakazał. – Duża część miasta uznaje twojego kuzyna winnym, prócz ciebie i jego żony, rzecz jasna. Inkwizycja dopytuje i tylko ty możesz go uratować. Byłeś strażnikiem, wiesz o tajemnym przejściu. Nie pozostaje mi nic innego jak sądzić, że to ty zabiłeś przedstawicieli Kościoła i kata.

– Co!?! – Zaśmiał się. – Co to za bzdury?

– Skazuję cię na śmierć przez powieszenie, Stanislasie, za dokonanie kilkukrotnego morderstwa w zeszłą sobotę! Wyrok zostanie wykonany jutro w samo południe.

– Przecież to brednie. Mam świadków, że byłem wtedy w gospodzie!

– Nikt nie przeciwstawi się moim wyrokom.

– Ale to nie ja! To... – urwał. Skarcił się w myślach za to, co powiedział. Zdawał sobie sprawę, że już po nim, że umrze w tej komnacie. Nic więcej zatem nie powiem i odejdę z tego świata z honorem, pomyślał.

Nastąpiła długa cisza.

– Nie jesteś mi potrzebny – odezwał się Jacques. – Nie potrzebuję twoich słów, by pojąć, co się wydarzyło. Nikogo nie zabiłeś, ktoś cię wyręczył. Przyszedł do ciebie z otwartymi rękoma, zaproponował pomoc, a ty zgodziłeś się bez wahania. To zrozumiałe, chciałeś uchronić kuzyna przed śmiercią. I udało ci się. Gwarantuję ci jednak, że to tylko chwilowe. – Spojrzał mu głęboko w oczy. – Przysięgam ci osobiście ściagać Marcusa tak długo, aż go dorwę. Będę powoli torturował jego, żonę i ich mały pomiot. Daję ci ostatnią szansę. Czy wiesz, gdzie jest Czarny Kaptur, zabójca sług bożych?

– Ha! – parsknął głośno. – Sług bożych? Czy złotych monet? Wszyscy jesteście tacy sami! Niczego ci nie zdradzę! Choćbyś miał mnie torturować

i sto dni!

– Lepiej zamilcz – rzekł apatycznie.

– Masz zabójcę na wyciągnięcie sztyletu. Wolisz udawać, że go nie dostrzegasz. Jest ci potrzebny, by dalej krzywdzić innych. Od wieków zamykacie ludziom usta! W imię niewidzialnych duszków rozgrzeszacie swoje czyny. Pluję na takich jak ty i na niesprawiedliwego Boga, za jakim się chowasz...

W tej samej chwili płuco Stanisłasa przebił zimny jak lód stalowy bagnet. Gardło z wolna napełniało się brunatną mazią, nozdrza opatulił metaliczny zapach i tylko oczy pozostawały takie same, z niedowierzaniem obserwowały Jacques'a.

– Nie szukałeś prawdy. Szukałeś kozła...

Jacques ścisnął dłońią usta ofiary, obserwował, jak krztusi się własną krwią. Stanislas szamotał się niczym łania złapana we wnyki. Inkwizytor zwolnił uścisk dopiero, gdy głowa więźnia bezwiednie opadła na ramiona.

– Zabić potrafi nas to, co z reguły uchodzi za źródło życia. Bóg potrafi być nieprzewidywalny – rzekł Jacques. – Być może szukałem kozła ofiarnego, ale czyż ofiara nie jest rzeczywista, czyż nie stała się symbolem kruchości wobec nieprzejednanego majestatu Chrystusa? – Jacques splunął nieopodal truchła.

– Niewiarygodne – wtrącił Bastian.

– Niewiarygodne jest to, że żyjesz – odpowiedział. – Ale i na ciebie przyjdzie pora. Stanislas miał rację. Ty jesteś współodpowiedzialnym za śmierć Casimira, o ile nie głównym winowajcą. Dowiem się wpiernw wszystkiego, bo to, że przybyłeś tu dla łatwego zysku i ściągnąłeś przekupnego jak kramarz Casimira, wiem, od kiedy cię ujrzałem. Jak tylko wskażesz mi zabójcę, spalę cię wraz z nim. Tymczasem prowadź mnie do swojego informatora, zarzekałeś się, że masz go w mieście.

Alexis skamieniał. Rozwarte w zdziwieniu usta spierzchły mu niczym rozgrzany w słońcu kamień, przełyk łaknął choćby odrobiny śliny, jaka ukołaby wyschnięte gardło. Chciał płakać, zawyc z żalu, lecz głos utknął gdzieś w otchłani starczego ciała. I tylko umysł krzyczał: „Dlaczego?”.

– Nikt, ale to nikt nie będzie bluźnił Bogu w moim towarzystwie – odparł Jacques, jakby słysząc wewnętrzne rozterki Alexisa. Inkwizytor czuł, że właśnie po to został zesłany na trawioną grzechem ziemię. Miał być ogniem wśród grzeszników, wodą dla brudnych i mieczem dla potępionych. Był sprawiedliwością w rękach Pana. Jego zdaniem wieczna

bitwa z niemoralnością i wolnością absolutną powinna stanowić dla niego chleb powszedni. – Nie ma wolności. Bóg spisał prawdy, którymi będę podążać po grób. Tak mi dopomóż Ojciec Wszchemogący – wygłosił z przekonaniem, a jego słowa niosły się jeszcze długo po tym, jak zniknął w drzwiach.

Bastian zaczął inaczej postrzegać inkwizytora. Przestał widzieć w nim tylko nadprzyrodzoną istotę gotową wchłonąć go w ułamku sekundy. Zrozumiał, że warto wykorzystać pozycję Jacques'a, wkupić się w jego łaskę, nie tylko dla ratowania skóry, ale dla wyższych idei, jakie przed sobą stawiał. Nie przestał lękać się tylko z pozoru opanowanego inkwizytora, zaczął go również podziwiać, widział w nim linę, po której wespnie się prosto w ramiona upragnionej władzy, jaką może dać wyłącznie Oficjum. Pojął, że nie jest nietykalny, nieśmiertelny, że jego zaciekłość jest raptem źdźbłem trawy pośród polaci zbóż bezwzględności inkwizytora. I że samo bogactwo nie przysporzy mu aprobaty. Zrozumiał, że przy wielkim Jacques'u albo znajdzie szczęśliwą drogę ucieczki, albo skończy równie marnie co Stanislas.

– Kim jest twój informator? – spytał ponownie Jacques. Przed bramą kościoła ukazały się im pałace, acz kojące nerwy żółte promienie. – Alexis miał rację, po chmurach zawsze wychodzi słońce.

– Babin – odpowiedział. – On jako pierwszy doniósł na Marcusa i jego diabelskie konszachty.

– I jak on ma nam pomóc?

– To wścibski człowiek – stwierdził. – Wie więcej niż ktokolwiek w tym miasteczku.

– Więcej niż wspomniana Monique?

– Równie dużo.

– Obyś się nie mylił – ostrzegł ostrym głosem. – Liczę, że w końcu dowiemy się czegoś przydatnego.

Bastian głośno przełknął ślinę, jego wzrok uciekł w stronę kamiennej studni, gdzie starsza kobieta przelewała wodę z przywiązanego łańcuchem wiadra do czegoś, co kształtem przypominało blaszaną misę. Miasto żyło swoim zwykłym, niezmaconym rytmem. Nikt nie miał pojęcia, co działo się raptem pięć minut temu w piwnicach domu pańskiego. Między drewnianymi zabudowaniami krzątały się cztero- i pięcioletnie dzieci bawiące się pacynkami zrobionymi z kijków i końskiego włosia. Starsi chłopcy od bladego świtu pomagali ojcom w polu przy sierpniowych

źniwach, córki zaś wspierały matki w codziennych domowych rytuałach i ogrodowych porządkach.

Aiglun o tej porze roku zachwycało urodą, prezentując skromne, acz plastyczne zabudowania. Podmurowany kościół ze strzelistą wieżą wystającą ponad nieopodal stojący ratusz rzucał cień udomowionej zwierzynie, chcącej choć na chwilę schronić się przed palącym słońcem. Powstały niedawno, sądząc po świeżych deskach, niewielki kwadratowy budynek rady miejskiej różnił się od pozostałych budowli. Stabilny, pokryty świeżą strzechą z tegorocznych zbiorów, miał szerokie, okrągłe wejście. Zapach dochodzący z głębi kojarzył się bardziej z zakładem ciesielskim aniżeli obradami tutejszych mistrzów. Nie tylko budynek czarował aromatami. Całe Aiglun w przeciwieństwie do wielkich metropolii francuskich uderzało kojącą wonią. Miejscowi nie opróżniali wiader pełnych odchodów przed domami, dzięki czemu świat Aiglun roztaczał woń mokrego od deszczu zboża, ciętego przez chłopów nieopodal miasteczka. To było jedno z tych miejsc, gdzie społeczność wzajemnie opiekowała się swoim dobytkiem gromadzonym wspólnymi siłami przez lata. Harmonia – to słowo przyszło Bastianowi na myśl.

Rudera należąca do Babina była zaprzeczeniem poprzednich widoków. Mieściła się na szarym końcu miasteczka, za zabudowaniami wszystkich dość przyzwoicie zachowanych cechów. Jacques odrzucił propozycję wejścia do środka, nakazując Bastianowi przyprowadzenie informatora na zewnątrz. Sam przystanął w dalszej odległości od chaty, preferując świeże powietrze. Bastian długo pozostawał w chacie, odwiedziny ciągnęły się w nieskończoność, co mocno rozdrażniło Jacques'a. Zapisał się do izby, w której drewniane okiennice tamowały dostęp światła. Ciasna jak sakwa izba śmierdziała niemożebnie. Jacques, przekraczając próg, okrył nos luźnym rękawem. Dostrzegł, że Bastian niczym targany falami pirat trzymał się z postawieniem na nogi zataczającego się pijaka.

– Jak dla mnie nic tu po nas – rzekł inkwizytor.

– Nie miałem pojęcia, w jakim jest stanie – wyjaśnił Bastian, sapiąc. – Skąd mogłem wiedzieć, że upił się w trupa?

– Sami dobieramy sobie przyjaciół. Powinieneś wiedzieć, kim jest twój. Puść go – polecił. – Teraz niczego się nie dowiemy. Zostaniesz z nim, przypilnujesz, by nigdzie nie odszedł, ja w tym czasie odwiedzę oberżę oraz chatę Marcusa. Do mojego powrotu masz doprowadzić go do

porządku. A, i jeszcze jedno. – Uniósł palec do góry. – Ten cały Stanislas był z kimś związany?

– Nic o tym nie wiem. Zapewne Babin będzie wiedział więcej.

– Tak. Ale jak zdążyłeś zauważyć, Babin nie jest w stanie nam pomóc. Pragnę możliwie najszybciej wrócić do Awinion, nie zamierzam tułać się po prowincjach Francji przez najbliższe tygodnie. Czy wiesz chociaż, gdzie mieszkał Stanislas, bym mógł wziąć klucze do karczmy?

– Niestety nie mam pojęcia. – Podrapał się po czole. – Ksiądz Alexis powinien pomóc! On kazał ściągnąć go pod kościół, to i on musi znać umiejscowienie jego chaty. To nie jest przecież tak wielkie miasto.

– Brawo! – Klasnął w dłonie. – Tyle to i ja wiedziałem. Im dłużej z tobą przebywam, tym częściej dochodzę do wniosku, że jesteś bezużyteczny. Módl się, aby twój przyjaciel nie tylko doszedł rychło do siebie, ale żeby uchylił nam rąbka tajemnicy o Czarnym Kapturze, żeby powiedział coś, co pozwoli nam ruszyć jego śladem. A tego – spojrzął z obrzydzeniem na Babina – ocuć zimną wodą, przygotuj również napar z tym. – Podał małe zawiniątko wprost do wyciągniętej dłoni Bastiana. – To mu pomoże.

– Co to jest? – zaciekawiał się Bastian.

– Mieszanka ziół. Głównie mięta i korzeń rabarbaru. Zmieszaj to razem z odrobiną gorącej wody, a nasza pijaczyna powstanie jak feniks z popiołów.

Alexisa spotkał w kuchni, gdy wpatrywał się w obraz Jezusa Chrystusa przedstawionego jako pasterza, dzielącego chleb pośród wiernych. Jacques przystanął obok, kontemplując dzieło i jego autora. Ten obraz był bliski jego sercu. Miał przekonanie, że wykonuje ważną misję. I nie chodziło tylko o odnalezienie mordercy. Chodziło o całą wędrówkę, jaką jest życie, życie poświęcone Bogu. Był gorliwym sługą, modlił się pięć razy dziennie, nie licząc ciągłych dyskusji, dylematów, jakie rozstrzygał wraz z Chrystusem w myślach. Wiara była swoistym kanałem, na którego końcu stał Bóg. A cóż może być większym darem dla chrześcijanina od spotkania z Panem? Zamykał wtedy srebrne jak popiół oczy i odwiedzał Ojca. Nie widział Go, nie musiał, wystarczał mu głos, który odpowiadał za każdym razem, gdy zadawał pytanie. Każdą wątpliwość rozwiązywało przykazanie wyryte głęboko w jego świadomości. Cel uświęca środki, a Pan przygarnie swoich. Niebiosy obdarowały go przyzwoleniem na popełnianie błędów, a każda śmierć, uzasadniona bądź nie, stawała się raptem potknięciem na drodze ku nieskończoności. Śmierć sama w sobie nie była niczym złym,

niczym, co stoi w sprzeczności ze świętymi prawdami Biblii. Chłosta, ścięcie czy przebicie serca ofiary to wyzwolenie z doczesnych smutków, nauka przywracająca ład w bałaganie życia. Dowolne skazanie na śmierć, wiernego bądź nie, uważał za słuszne. Nigdy nie kwestionował swych czynów, gdyż były z góry przebaczone. Martwił się jedynie tym, czy zdoła ocalić więcej błądzących owiec, poddających się niezliczonej ilości pogańskich wierzeń. Czy nazajutrz dalej będzie gotów siać prawdę w kwaśnej ziemi? Czy uniesie brzemie pasterskie? I wreszcie ile owiec należy zawrócić znad przepaści, by dostąpić nie wizji, a rzeczywistej dyskusji z tym, który umarł za nasze grzechy? Ta idea, to jedno zagadnienie w marnym człowieczym bycie, nakazywała mu wstawać dzień po dniu, krążyć jak sęp wokół padliny i rozrywać na kawałki innowierców na tej skąpanej krwią Chrystusa ziemi.

Z rozważań wybudził go wewnętrzny głos. Cel uświęca środki, a Pan przygarnie swoich. Zbliżył się do Alexisa, którego ruszające się wargi wskazywały na to, że się modlił, zapewne w intencji straconego Stanisłasa. Nie czekał na finis orationis. Nawet modlitwę należy przerwać w imię większych idei.

– Ojcie Alexisie – powiedział prawie bezdźwięcznie.

Ksiądz niczym rażony piorunem podskoczył na stołku.

– Wróciłeś po mnie? – spytał przerażony.

– Dlaczego miałbym to zrobić? Nic ci nie grozi. Wydajesz się dobrze służyć Panu i niech tak pozostanie – ostrzegł. – Nie przyszedłem jednak chwalić twych zasług. Pragnę dowiedzieć się, gdzie znajdę dom Stanisłasa. Interesuje mnie też położenie oberży Marcusa i jego chaty. Proszę również, byś przygotował mi prowiant na podróż.

– Strażnik zaprowadzi cię do ich domów. Klucze do chaty Stanisłasa i oberży są tutaj. Dom Marcusa jest pusty. Kiedy tylko wyjechał, ograbiły go miejscowe złodziejaszki. Nie zastaniesz tam nic prócz żebraków szukających schronienia.

– Czy w karczmie Marcusa są kwatery?

– Nie, to stara gospoda. Odmalowana z poprzybijanymi kilkoma nowymi deskami, ale to wciąż rudera, aczkolwiek ciesząca się dużym uznaniem miejscowych.

– Gdzie zatem mógł zatrzymać się Czarny Kaptur?

– Kto? A, ten – pojął prędko. – Nie mam pojęcia. W Aiglun są tylko dwie karczmy, Marcusa oraz druga, przy zachodnim wyjeździe. Może tam

pomieszkiwał podczas swojego pobytu? Poproszę strażnika, to cię pokieruje. Mogę zadać pytanie? – dodał niepewnie.

– Oczywiście – odparł Jacques.

– Dlaczego pytasz o to dopiero teraz? Przecież wczoraj byłeś tu z Bastianem.

– Właśnie dlatego. Nie ufam temu człowiekowi, ale on jako jedyny widział odpowiedzialnego za śmierć kościelnych dostojników. Ponadto Bastian ma poparcie diecezji Awinionu.

– Ja również mu nie ufam.

Jacques nic nie odpowiedział.

– Mogę jeszcze coś powiedzieć? – kontynuował Alexis.

– Oczywiście – powtórzył.

– Czasem warto pozostawić Boga na uboczu i rozsądzić zamiary racjonalnie, bez tej wszelakiej – nakreślił w powietrzu cudzysłów – gorliwości.

– Bóg nigdy nie pozwolił mi poczuć się samotnie – odpowiedział pospiesznie. – Dlaczego ja miałbym to zrobić Jemu? On jest mądrością, w Nim jest cała prawda, a ja jestem Jego narzędziem. – Nic więcej nie dodał. Niczego więcej nie zamierzał również wysłuchiwać.

Druga karczma zgodnie z zapowiedzią Alexisa mieściła się przy zachodniej szosie. Nie różniła się od innych tego typu zabudowań w zakątkach królestwa – drewniana o kształcie prostokąta z dwoma kominami pośrodku dachu. Z zewnątrz wyglądała na spelunę, w środku zresztą też. Cztery skromne okiennice otwarte na oścież, wydobywający się z nich hałas oraz zapach lanego miodu, wina i piwa zapraszał tutejszych oraz chcących zaznać odpoczynku podróżnych. Biorąc pod uwagę porę dnia, zaskoczył go widok wypełnionej po brzegi gospody. Zapewne wpływ na to miało zamknięcie przybytku Marcusa. Całą gospodę wraz z podsieniem pokrywała zgniła strzecha, pod nią stało kilku ledwo już trzymających się na nogach jegomości. Rozmawiali, lecz Jacques nie potrafił zrozumieć ani jednego słowa. W podsieni, prócz stołów i ławek, zobaczyć można było pstrokate elementy wystroju. Ścianę karczmy przyozdabiały wymalowane niebieskie kwiaty okraszone podkowami imitującymi zagięcia na płatkach. Budynek posiadał też piętro przeznaczone na sypialnie dla podróżujących. Po bokach rudery nie dostrzegł stajni – znajdowała się z tyłu zabudowania razem z wozownią.

Przed oberżą wkopano dwie bele, na których osadzono kolejną. Do niej przywiązywali konie ci, którzy nie zamierzali spędzać nocy w gospodzie.

Jego wejście nikogo nie zainteresowało. I słusznie, pomyślał. Chciał pozostać niezauważony. W centralnej części zapomnianego od wszelkiej kultury miejsca siedziało trzech typków z takimi samymi kędzierzawymi czuprynami. Przypominali głośno młazujące niedożywione psiska skubiące niedogotowane podudzia kurczaka. Samo patrzeć na nich przyprawiało o mdłości.

Jacques stąpał lekko między ławami, omijając resztki jedzenia spadające ze stołów. W gąszczu nóg, ław i krzeseł odnosił wrażenie, że przemierza niewielki labirynt ze skarbem skrytym na samym jego końcu. Dochodząc do kramarza, wyciągnął monetę i, kładąc ją na ladzie, rzekł bez ogródek:

– Poszukuję człowieka.

– To wiele wyjaśnia. Proszę sobie wybrać któregoś – wskazał brodą siedzących – a ja panicza zaprowadzę.

– Ha, ha! – zaśmiał się głośno. – Doprawdy, rozbawiłeś mnie w tym nudnym dniu – rzekł bez cienia ironii. – Poszukuję kogoś, kto spał najprawdopodobniej u ciebie jakiś tydzień temu. Skrywał się pod czarnym kapturem. Zapewne w sobotę opuścił izbę.

– Nikogo takiego tutaj nie widziałem – odparł karczmarz i zwrócił się do klienta stojącego obok: – Co podać?

– To, co zawsze, Mark – wybełkotał. – Dwa pełne kufle dla mnie.

Mężczyzna o pulchnej twarzy trzymał się belki.

– Dasz radę dość do stolika? – spytał gospodarz.

– No wiesz ty co, Mark? Dopiero zacząłem – odpowiedział z uśmiechem na twarzy.

– Siedzisz tu od otwarcia, jest już południe.

– Co ty gadasz? – Odbił się od lady i zatoczył małe kółko, prawie upadając na tyłek. – Niech to! Moja mnie zabije. Toć czuję, jakbym spędził tu nie więcej niż godzinę. Miałem jej dzisiaj pomóc w ogrodzie.

– To radzę się pospieszyć – rzekł Jacques, chcąc zakończyć tę nikomu niepotrzebną konwersację.

– A tyś kto, do wała!? Coś za jeden? Ja się nie denerwuję, ale jak mnie zeżlisz...

Jacques podniósł głowę, na jego twarzy malował się mrowiący krew w żyłach spokój, który dostrzegł gospodarz.

– Idź już! Bierz, co twoje, i idź. Na mój koszt. – Oberżysta ratował skórę pijaka. – Najlepiej prosto do domu, kufle oddasz innym razem.

– Ale słyszałeś, Mark, jak ten... – Pijany mężczyzna nie przestawał zagadywać.

– Zamknij się i wyjdź! – uciął gospodarz.

Krzykacz posłuchał swojego doradcy, a darmowe piwo przywróciło uśmiech na jego twarz.

– Rozważny jesteś – rzekł Jacques. – Ten tchórz ma odwagę stawać mi na drodze, a trzęsie się przed swoją połowicą.

– Pan wybaczy – ukłonił się z szacunkiem – ale gdyby miał pan tę nieprzyjemność poznać Margaret, byłby pan potulny jak baranek.

– Ha, ha! – zaśmiał się ponownie. – Doprawdy? Jest aż tak niedobrze? – spytał, ale nie czekał na odpowiedź. – Niestety goni mnie czas, potrzebuję wiedzieć, czy spał u ciebie Czarny Kaptur.

– Zaręczam, iż nikt taki u nas nie nocował. Jedyne czarne kaptury, a nawet dwa, jakie widziałem w ostatnim czasie, to te podobne do waszego. O ile mi wiadomo, żaden z nich nie dotrwał do dnia dzisiejszego.

– Widzę, że wieści szybko się rozchodzą.

– Cóż, to niewielkie miasto. Raptem kilkaset osób. Śmierć kościelnych wysłanników wstrząsnęła miasteczkiem.

– Po gościach tego nie widać. – Jacques rozejrzał się po sali.

– Zgadza się – odparł Mark. – Trzeba zrozumieć, jeśli inkwizytor zezwoli... – Wziął głęboki oddech.

– Zezwolę.

– Trzeba zrozumieć tych ludzi. Do miasta przyjeżdża święta inkwizycja, co już powoduje miękkie kolana. Następnie zostaje oskarżony ktoś, kogo najmniej byś się spodziewał. A skoro nie spodziewałeś się jego, to spodziewaj się, że wskażą i ciebie. Spora część mieszkańców nie ufa już tak bardzo Kościołowi. Wraz ze zniknięciem inkwizytorów zniknął lęk o dobytek, zdrowie czy życie.

– Nie lękasz się słów, Mark.

– Och. – Mark podniósł brwi, wziął raz jeszcze, tym razem znacznie głębszy, wdech. – Myślę, iż inkwizytor dobrze wie, że lękam się bardziej, niż można to zauważyć.

– Nie ma czego, przemiły człowieku. Słowa, dobierane rozsądnie, nikogo nie ranią. Przynajmniej nie powinny. Inkwizycja to siedziba Boga, aczkolwiek nawet jej dzieci potrafią obierać złą ścieżkę. Wy natomiast,

społeczność, możecie nas na tę szlachetną ścieżkę zaprowadzić. Powiedz, jest ktoś we wsi, kto mógł go przenocować?

– Nie znam odpowiedzi, przykro mi. Mogę za to wskazać człowieka wiedzącego w tym mieście więcej niż inni.

– Babin – zgadł Jacques.

– Zatem rzeczywiście wieści szybko się rozchodzą – uśmiechnął się gospodarz.

Zgodnie z zapowiedzią Alexisa dom Marcusa opanowali żebracy, nie znalazł w nim niczego interesującego. Schludna w przeszłości, sporych rozmiarów chata wyglądała teraz jak chlew. Okiennice wraz z częścią ściennych desek została powyrywana, zewsząd wystawały gwoździe. W miejscu, gdzie jeszcze tydzień temu stał wypełniony sztućcami, talerzami i garami kredens, nie było teraz nic. Pustka ogarnęła to miejsce. W pokojach na próżno było szukać łóżek, szaf czy ubrań. Wszystko zagrabił mniej lub bardziej potrzebujący plebs.

Prosto z chaty udał się do karczmy Marcusa. Nie znalazłszy w niej choćby jednej wskazówki, spoczął na najstabilniejszym ze stołków, wypełnił piwem kufel i pograżył się w myślach. Dulczył przez dłuższą chwilę, zbierając duchową energię. Wypiwszy parę szklanek gorącego browaru, oparł ręce na kolanach i podźwignął się. Zamknął gospodę, a klucz wrzucił do jednej z wewnętrznej kieszeni płaszcza.

Babin siedział przy stole z wilgotną ścierką na karku, knykciami pocierał skronie, byleby tylko poczuć się lepiej. Z powodu opuszczonych ramion, słusznych rozmiarów garbu i wystających kolan, które w tej pozycji sięgały mu niemal uszu, przypominał topielca, widywanego przez wieśniaków w okolicach bagien podczas bezgwiezdných nocy. Większość okrągłej głowy Babina świeciła pustkami. Pozostała część zatłuszczonych włosów pokrywała siwizna. Babin już dawno temu musiał przekroczyć czterdziestkę lub styl życia, jaki prowadził, wyraźnie go postarzał, stwierdził w myślach Jacques.

– Nie zamierzam tracić czasu – zaczął Jacques bez niepotrzebnych wstępów. – Powiesz mi, co chcę wiedzieć, bez kłamstw czy sztuczek. Obetnę ci palce, jeden po drugim, jeśli tylko wyczuję oszustwo. Zrozumiałeś?

– Tak – odpowiedział piszczącym głosem.

– Doskonale! – Klasnął w dłonie. – Zatem przejdźmy do rzeczy, a Bastian przejdzie się... no właśnie, gdzie to się wybierasz, Bastianie?

– Na świeże powietrze.

– I słusznie. Rozprostuj kości przed podróżą. Osiodłaj konie i udaj się do Alexisa. Ma dla nas prowiant na dalszą drogę. Bo zapewne w nią wyruszymy – mówiąc to, zwrócił się ponownie w stronę Babina. – Prawda, przyjacielu?

– Zdaje się, że ma inkwizytor rację.

– Mów, co wiesz. Wszystko! A ja – wyjął swój sztylet – będę słuchał cię bardzo uważnie.

Babin powolutku ściągnął dłonie z blatu. Położył je na udach i zaczął prawić swoim piskliwym głosem:

– W tym mieście nie jestem lubiany. Wyglądam jak wyglądam, mówią o mnie, co im ślina na język przyniesie. Nie mam przyjaciół, jestem sam jak palec – wypowiadając ten wyraz, spojrzał na połyskliwą kosę inkwizytora.

– Skoro mieszkańcom Aiglun tak łatwo przychodzi wymyślać o mnie niestworzone i nierzadko niemiłe historyjki, ja postanowiłem zgłębiać ich najwstydlwsze sekrety. Szlajam się więc po ulicach i podsłuchuję...

– Mam ci współczuć?

Babin pokiwał przecząco głową.

– Co wiesz o Marcusie? – spytał Jacques.

– W zasadzie to sam nie wiem, co jest prawdą, a co kłamstwem. Widziałem go wiele razy w lesie palącego ognisko. Zawsze chodził tam sam.

– W jakim celu?

– Tego nie wiem.

– Jak to nie wiesz? – Jacques wbił ostrze noża w blat. Babin aż podskoczył, uderzając kolanami w stół. – Przecież to ty jako pierwszy potwierdziłeś, że odprawia czary.

– To prawda. – Kiwnął energicznie głową. – Ale... Ale chyba sam nie wiem, co widziałem, co mówiłem.

– Nie bardzo rozumiem, co chcesz przez to powiedzieć. Domyślam się, iż chodzi o Bastiana. Opowiedz mi, jak się poznaliście.

– Nie mogę. – Babin zgarbił się jeszcze bardziej.

– Musisz. – Inkwizytor wydobył nóż ze szczeliny.

– Zagroził mi.

– Ostatnim, którego powinieneś się teraz obawiać, to Bastian.

Przez krótką, nietrwającą nawet sekundy chwilę zastanawiał się, jak postąpić. Odpowiedź mogła być tylko jedna.

– Ma pan rację – poddał się. – Znaczy się inkwizytor. Ma inkwizytor rację. Bastian przyjechał do miasta jakiś czas temu. Nie pamiętam dokładnie, kiedy to się wydarzyło. Spotkaliśmy się w oberży. Nie Marcusa, tej drugiej, należącej do...

– Do Marka – dokończył Jacques.

– Tak, do Marka. Siedziałem sam, jak zawsze podsłuchując, co gadają pijani. Wtedy podszedł do mnie on i zaczęliśmy rozmawiać, tak po prostu. Był dla mnie miły, powiedział, że przyjechał otworzyć tu interes, że potrzebuje pomocy, obiecywał przy tym płacić mi za każdą zdobytą informację.

– Czego miały dotyczyć te wiadomości?

– Nie sprecyzował tego. – Wzruszył ramionami. – Miałem gadać wszystko. Krążyłem, podsłuchiwałem i przekazywałem to jemu. Płacił mi, kupował alkohol, jedzenie. Do tego rozmawiał ze mną, gdy inni potrafili się ze mnie tylko śmiać. Któregoś dnia powiedziałem o Marcusie i jego żonie, że wiedzie im się coraz lepiej. Z pracy w polu potrafili otworzyć oberżę. Bastian kazał mi do niej chodzić. Marcus zarabiał coraz lepiej, odnowił nawet gospodę. Z biegiem czasu zaczął pytać tylko o niego i...

– I mącił ci w głowie. Nastawiał cię przeciwko niemu. Odnosił się do ciebie uprzejmie, dlaczego więc nie miałbyś mu wierzyć. I kiedy doniosłeś o nocnych wyjściach Marcusa, chwycił się tego, prosząc cię o zgłoszenie sprawy Kościołowi.

– No, w zasadzie tak.

– W zasadzie? – Klasnął w dłonie. – Mów dalej.

– No, wie pan... W sensie inkwizytor. Nie śledziłem tylko Marcusa. Śledziłem też jego, Bastiana. Za długo żyję na tym świecie, by być tak naiwnym. To prawda, zgłosiłem sprawę ojcu Camille'owi po tym, jak szarpałem się z Marcusem, gdy ten zauważył, że za nim chodzę.

– Nie jesteś tak niemądry, za jakiego się uważasz.

– Dziękuję – odparł nieśmiało.

– Co wiesz zatem o Bastianie?

– Oprócz znajomości ze mną, Marcusem i jego żoną nader często odwiedzał ojca Camille'a.

Jacques schował swój sztylet do pochwy. Rozsiadł się na tyle wygodnie, na ile pozwolił mu stołek, skrzyżował nogi i zapytał:

– W jakim celu się spotykali?

– Niestety, tego nie udało mi się dowiedzieć. Nigdy nie słyszałem, o czym mówią. Widziałem tylko, jak raz Bastian przekazał ojcu Camille’owi brzęczącą sakiewkę.

– Dziękuję ci. To bardzo ciekawe, co mówisz.

– Zabijesz mnie? – spytał wprost Babin.

– Z jakiego powodu? – spytał zdziwiony. – Nie zgrzeszyłeś świadomie. Więcej tak nie postąpisz, prawda?

– Tak. – Spuścił wzrok. – Nie chciałem zgrzeszyć.

– Wybaczam ci. – Dotknął jego czoła. – Bóg ci wybacza.

– A... co z Bastianem?

– To już spoczywa na mojej głowie. Spotka go odpowiednia kara. Niestety później, aniżeli prędeej.

– On mnie zabije – powiedział przerażony starzec.

– Twoje życie dopiero się zaczyna – uspokoił ciepłym głosem inkwizytor.

– Ze względu na nieoszacowaną pomoc, jaką mi okazałeś, zaopiekujesz się tym. – Z kieszeni wydobył klucz do gospody Marcusa. Pochwycił dłoń przerażonego Babina, który w pierwszej chwili odskoczył, i wcisnął mu w nią zimną nagrodę. – Od dzisiaj ją prowadzisz. Dopilnuję, byś otrzymał na to stosowne dokumenty. A może widziałeś, w którą stronę uciekł morderca dwóch inkwizytorów?

– Damien?

– Kto?

– Damien, ten, który zabił ojca Camille’a i pozostałych – wyjaśnił piskliwym głosem.

– Znasz jego imię? Jakże to?

– Odwiedził żonę Marcusa dzień przed masakrą. Stałem pod jedną z okiennic, podsłuchiwałem. Przedstawił się jej jako Damien, obiecał wyswobodzić jej męża.

– Czy wiesz, jak wyglądał?

– Niestety nie. Widziałem tylko, że nosił się na czarno z kapturem na głowie i równie czarną chustą na twarzy. Skupiłem się na Babette, następnego dnia pogałem za nią do lasu. Czekwała tam, miała konie. Damien najpierw wyszedł jak duch z zarośli, potem pogalopował w stronę brzozowego gaju. Znajdzie go inkwizytor ze sto metrów od miasta. Dokładnie za tylnym wyjściem z kościoła, trzeba iść ulicą w las, taką wąską ścieżką.

– Lyon. – Klasnął w dłonie. – Ruszył do Lyonu.

– Nie wiem. Nie byłem nigdzie poza Aiglun, nic poza jego granicami nie jest mi znane.

– Coś pozostaje dla mnie zagadką. Skoro usłyszałeś o planach Damiena, dlaczego nie powiedziałaś tego Bastianowi?

– Chciałem. W ten sam dzień poszedłem do niego, rozmawiał z ojcem Camille'em. Mówiłem, że mam coś ważnego, ale odepchnął mnie i nazywał potworem z bagien. Zrozumiałem wtedy, że potrzebował mnie tylko do wskazania winnego. Boję się jednak, że po tym, co powiedziałem, on mnie dopadnie.

– Tak się nie stanie – zapewnił twardo. – Przysięgam ci, moje słowa są prawdziwe jak te zawarte w Słowie Bożym.

Raz jeszcze podziękował Babinowi i życzył mu szczęścia, i ponownie udał się do kościoła Aiglun na spotkanie z Alexisem i Bastianem. Nie tłumacząc żadnemu z nich, czego się dowiedział, nakazał księdzu sporządzenie dokumentów przekazujących włości Marcusa na własność Babinowi. Polecił też nadanie listu do kardynała Pierre'a Filliona. Zawarł w nim notkę o nowym celu podróży, jakim był Lyon, wraz ze wszystkimi przystankami, jakie czekały go po drodze. Opuszczając miasto, spytał Bastiana:

– Damien. Mówi ci coś to imię?

Bastian zastanowił się nad odpowiedzią o sekundę za długo i odparł:

– Nie, raczej nie.

Jacques popatrzył na niego uważnie. Zachodził w głowę, jak powinien postąpić z tym człowiekiem. Zdobył wystarczającą liczbę dowodów, by zawlec go przed sąd kościelny. Zamiast tego wolałby zabić Bastiana, przekazując kardynałowi wieści o nieszczęśliwym wypadku, jaki przecież mógł spotkać ich podczas wspólnej tułaczki. Ale Pierre Fillion w przypadku takiego sponsora jak Bastian zażądałby śledztwa, a nawet on, wielki Jacques, musiał obawiać się machiny papieskiej. Niewątpliwie Bastian zasłużył na karę, aczkolwiek tylko on widział twarz Damiena. Zdecydował, że wróciwszy do Awinionu, postawi Bastiana przed sądem, nie zważając na jego ogromny wkład finansowy w Kościół.

Rozdział V

Ostatnie dni sierpnia coraz częściej spowijały grafitowe chmury, niosąc ze sobą udrękę porannego wstawania. Damien nie znosił jesieni, a ta nadchodziła szybciej, niżby chciał. Gdy tylko zmieniał pozycję, przenikliwe zimno wyrywało go ze snu, potęgując złe samopoczucie. Deszcz siąpiący od dwóch nocy weselił tylko mieniące się soczystą zielenią rośliny oraz owady, które gasiły pragnienie w uformowanych bajorkach powstałych w zagłębieniach liści.

Noc spędził pod rozłożystymi klonami, będącymi skutecznym schronieniem przed nieustającą ulewą. Szarzielony odcień Rodanu, przybrzeżne rogatki wraz z temperaturą wody nie zachęcały do kąpieli. Nie zachęcały zwykłego śmiałka, jednak on, gdy tylko wyszło słońce, zanurzył nagie ciało w bezdennej rzece. Pływał raz z nurtem, raz pod prąd. Odczuwał przyjemnie napinające się mięśnie, które mocowały się z ogromnym naporem wody zmierzającym w kierunku pobliskiej cywilizacji. Do Lyonu została mniej niż godzina drogi. Miejsca takie jak to stanowiły idealny azyl dla łotrzyków i złodziejasków. Wiele słyszał o atakach na wędrownych kupców, których grabiono do ostatniego grosza, nie szczędząc przy tym rękoczynów. Bywało, że pielgrzymi, którzy nie chcieli pożegnać się z majątkiem, zegnali się z życiem. A szubrawcy wraz z łupem przepadali w głuszy na zawsze.

Nóż przywiązany sznurkiem do łydki dawał mu poczucie względnego bezpieczeństwa. Ubrania zostawił przy Cezarze, broń palną oraz kuszę schował kilkadziesiąt metrów od konia w trawie, przykrywając ją dodatkowo liśćmi. Ktokolwiek zbliżyłby się do wierzchowca, odnalazłby jego odzienie, ale nie zauważyłby innych przedmiotów ukrytych w zielsku. Opuszczając żwawy potok w pełnym negliżu, poczuł na sobie czyjś wzrok.

– Zdaję się, że woda nie jest aż tak zimna.

Kobieta stała pośród bażyny z wypełnionym po brzegi koszem grzybów. Przyodziana w czerwoną wełnianą suknię z długimi rękawami, sznurowaną

po bokach, bawiła się jednym z prawdziwków. Dopasowana do sylwetki kreacja uwydatniała jej sterczące od chłodu sutki.

– Jeśli mnie wzrok nie myli, poza wodą jest chłodniej aniżeli w niej – odparł szelmowsko.

Kobieta nie zarumieniała się. Nie należała do najmłodszych, choć jej uroda mogła oczarować niejednego panicza. Brązowy kolor jej pergaminowej skóry wraz z zielonymi oczami o bujnych rzęsach rozgrzewały ten chłodny poranek. Ni z tego, ni z owego zrzuciła bezwstydnie kieckę wraz z bielizną, odsłaniając niewielkie piersi i krzaczaste owłosione krocze. Następnie pozbyła się lnianych nogawiczek oraz czapeczki z tego samego materiału, uwalniając ogniste, upięte w kok włosy. Kobieta miała sylwetkę klepsydry. Przebiegła obok Damiana z czarującym uśmiechem, delikatnie musnęła jego mokrego członka, powodując jego mimowolny skurcz, i zanurzyła się w wodzie po szyję. Nie potrzebował dodatkowej zachęty, ponownie wbiegł do rzeki, która sprawiała wrażenie zdecydowanie cieplejszej niż przed momentem. Nie umiał jasno ocenić, czy to organizm przystosował się do temperatury wody, czy rozgrzał się na myśl o psotach mających mieć zaraz miejsce. Spragniony wrażeń prędko dopadł panienkę, namiętnie całując ją w usta. Bez pośpiechu rozpoczął pielgrzymkę po jej ciele, lizał usta, zjeżdżał ku szyi, aż wreszcie zatrzymał się na piersiach, lekko je przygryzając. Spontaniczne kąsanie różowych gruczołów zwiększało ich objętość, wraz z nimi rosło jego pożądanie. Najpierw masował jej wzgórek łonowy, następnie zupełnie niespodziewanie włożył w nią środkowy palec, wsuwał go w górę i ściągał energicznie w dół, doprowadzając nieznajomą do mokrej euforii. Dołożył palec wskazujący i zaczął tworzyć nimi coś na wzór okręgów. Drugą dłońią stymulował swojego członka, uchylając tym samym siną od zimna i podniecenia żołądź. Chwycił koniec penisa i przystąpił do niewinnej zabawy, przejeżdżał brunatną kulką po łechtaczce i szorstkich włosach łonowych kochanki. Figlował z nią tak dłuższy czas, doprowadzając ją do pożądania, jakiego dawno nie zaznała. Teraz wręcz błagała go o penetrację. Gdy już wepchnął członek do samego końca, dał początek rajskiej zabawie twardym jak metal przyrodzeniem, przyczyniając się do gromkich pisków rudowłosej. Kołysali się w namiętym tańcu. Biodra kochanki, wznosząc się i opadając miarowo, tworzyły fale, jakich nie powstydziliby się silny jesienny wiatr. Drobne dłonie zaciskały się na jego ramionach przy kolejnym, silniejszym pchnięciu. Kręcąc się wokół

własnej osi, kreowali własne wiry Rodanu. Po dłuższym czasie założył jej nogi na swoje barki, zapuszczając się głębiej i głębiej w otchłań rozkoszy. Szczytując, ujrzał białka jej oczu, a jej paznokcie wżynały się w niego, uwidoczniając na szyi małe drobinki krwi. Powtórzyli raz jeszcze tę czynność na piaszczystym brzegu, gdzie źrenice kobiety powtórnie ukryły się pod powiekami w chwili zaspokajania płomiennej żądz. Głaszcząc się wzajemnie, ciężko oddychali. Wreszcie kobieta odezwała się pierwsza:

– Jestem Veronica.

– Damien LeBrun – wygłosił tryumfalnie. – Co cię tu sprowadza?

– Grzyby, panie Damien – rzuciła kokieteryjnie. – Udało mi się znaleźć największego w tych rejonach.

– Rzekłbym nawet, że we Francji większego pani nie uświadczy.

– Pozostańmy przy Lyonie i okolicznych lasach.

– Jest pani nie tylko piękna, ale i wyjątkowo śmiała. – Docenił żart nowo poznanej przyjaciółki.

– Gdybym miała całe życie zajmować się domem, nie zaznałabym w życiu choćby odrobiny szczęścia. Kto powiedział, że tylko mężczyźni mogą decydować, komu dobrać się między nogi.

– Droga Veronico, mnie zupełnie nie przeszkadzała pani bezpruderyjność i śmiem twierdzić, że spędziliśmy na igraszkach zdecydowanie więcej czasu aniżeli minutę. Świat potrzebuje odważnych kobiet, niebojących się wziąć sprawy w swoje ręce.

– W swoje ręce, powiada pan? – Podniosła się energicznie.

– Nie to miałem na myśli, nie chciałem pani urazić.

– Urazić? Ha, ha! – zaśmiała się głośno. Chwyciła penis Damiena, ścisnęła przy żołędzi, nie szczędząc wigoru. – O, zaś jest pan gotowy. – Puściła prącie, po czym podźwignęła się na równe nogi.

– Już odchodzisz, Veronico? – zapytał wyraźnie zawiedziony.

– Muszę.

– Spotkam cię jeszcze?

– Panie Damienie – zamyśliła się. – Moja siostra bierze jutro ślub, nie mam zamiaru zjawiać się tam sama. Jestem gotowa zaryzykować i przedstawić pana jako starego przyjaciela. Mam nadzieję, że nie jest pan zboczeńcem albo, co gorsza, mordercą. Co pan na to?

– Byłbym zachwycony, mogąc pani towarzyszyć. Nie doświadczyłem zabawy od wielu miesięcy, a w tańcu idzie nam nie najgorzej. Nieprawdaż?

– Zatem proszę doprowadzić się do porządku, a w mieście pytać o Veronicę Jambon. Będę czekać na pana i kto wie, może na przywitanie wezmę sprawy w swoje ręce?

– Upioreń ubrania i zawitam do pani dzisiejszego popołudnia.

Wysuszywszy granatowe nogawice i tego samego koloru cotte podszyte lnem z rozcięciami znajdującymi się zarówno z przodu, jak i z tyłu, dosiadł Cezara. Wciąż jeszcze mokry płaszcz ułożył na długiej szyi wierzchowca, pozwalając wyschnąć odzieniu podczas podróży. Podbródek oraz nadgarstki skropił wyciągiem ze złocenia balsamicznego z dodatkiem róży. Chwył za lejce, strzemionami zachęcił konia do marszu. Rad był na zbliżającą się biesiadę, a z jego twarzy nie zniknął szelmowski uśmiech. Nie mógł doczekać się spotkania z urokliwą i błyskotliwą Veronicą. Od wizyty na Dalekim Wschodzie nikt nie wywarł na nim tak piorunującego wrażenia.

Wschód zdobywał, ukończywszy czternasty rok życia, zaraz po stracie matki. Matki, która poświęciła dla niego więcej, niż mogła, i więcej, niż powinna. Wszystkie zarobione przez siebie pieniądze inwestowała w jego naukę. Mimo sprzeciwów Damiena powtarzała, że przyjdzie taki czas, kiedy będzie mógł się odwdziżyć. Posyłała go na nauki walki wręcz, jazdy konnej, a czasem, gdy starczało środków, opłacała nauczycieli pisania oraz czytania. Jakkolwiek by się im nie wiodło, jak bardzo brakowałyby jedzenia, to przynajmniej raz w tygodniu Damien spędzał czas na zajęciach u mentorów i mistrzów w swoim fachu. Zawdzięczał jej wszystko.

Po jej śmierci udał się do krain tak odległych, jak niedoścignione marzenia z dzieciństwa. Przemierzał góry, stepy i lasy, aż skradziona w noc ucieczki klacz odmówiła posłuszeństwa. Rana, jakiej nabawił się wierzchowiec w trakcie drogi, uniemożliwiła dalszą wędrówkę. W końcu po długich męczarniach zwierzę zdechło. Damien o własnych nogach szedł tak długo, aż natrafił na zbierających zioła mnichów, którzy zaproponowali mu wpiery nocleg, następnie schronienie, aż w końcu został pełnoprawnym zakonnikiem, szkoląc się dzień i noc w zakresie wewnętrznych praktyk. Pobierał nauki pisania i czytania oraz duchowego rozwoju. Pół dnia spędzali na medytacjach kojących nerwy oraz dostarczających niezbędnej energii. Kolejne godziny poświęcali technikom ataku oraz obrony przed napastnikiem. To właśnie tutaj otrzymał broń z malunkiem smoka, wraz z nią opanował tajemną sztukę przyrządzania czarnego prochu pozwalającego zabijać siłą ognia, powietrza i metalu.

Ponadto dowiedział się, jak uprawiać ziemię, rozróżniać trujące gatunki roślin od tych zjadliwych, rozpoznawać skutki zażycia każdej z nich. I to właśnie zioła sprowadziły do niego miłość.

Yu Tian poznał podczas obserwacji okolicznych roślin, mieszkała w pobliżu klasztoru. Jej imię oznaczało „deszczowy dzień”. Jak tłumaczyła, nazwano ją tak, gdyż matka rodziła ją przez dwa księżycy, podczas których nawet na chwilę nie ustawała ogromna ulewa. Yu Tian przybyła do klasztoru z powodu choroby siostry, a pomoc jej mogły zioła zbierane przez mnichów, którzy chętnie dzieli się swoimi medykamentami z mieszkańcami żyjącymi nieopodal. Mury zakonu opuszczali tylko jednego dnia tygodnia. Spotykał się wtedy z Yu Tian, nierzadko goszcząc u jej rodziców podczas wspólnych posiłków, rozprawiając o zachodnim świecie, trawiących go wojnach i chorobach, które nie były też obce tutejszym. Przed zmierzchem, po poczęstunku, wdrapywali się na pobliskie wyżyny, by podziwiać tęczowe lasy i okoliczną, tętniącą życiem osadę wzniesioną na bambusowych tykach. Ich umiłowanym zakątkiem stał się zielony wodospad o nieregularnych skarpach pokrytych mchem. Skrywali się za kaskadą głośno uderzającej o skały wody, oddając się młodzieńczym namiętnościom. Ich idyllę przerwał ojciec dziewczyny, łapiąc ich na gorącym uczynku. Mimo iż darzył Damiena ogromnym szacunkiem, to jednak oczekiwał od córki zamążpójścia z człowiekiem ich kultury. Zasady klasztorne również zabraniały zbliżeń z dziewczętami, a przyłapanie skutkowało wyrzuceniem, splamieniem całego zakonu, który cieszył się nieskazitelną opinią we wschodnim świecie. Ojciec ukochanej obiecał nie rozmawiać z przełożonym opactwa o tym, czego był świadkiem, jednak Damien musiał złożyć przysięgę, że nigdy więcej nie zbliży się do jego córki i z własnej woli opuści klasztor. Wtedy jego zachowanie wydawało mu się honorowe i zgodne z obyczajem. Opuścił Wschód po trzech latach pobytu. Szybko jednak pojął, jak wielki błąd popełnił. Mimo bólów brzucha i przepłakanych nocy, nie odważył się jednak zawrócić konia. Tęsknota musiała przegrać z godnością i dumą, którą przeklinał w myślach każdego wieczora. Aż po dziś dzień.

Lyon mocno się rozwijał. Nowi mieszkańcy zmuszeni byli stawiać chaty już poza murami miasta. I mimo dzielącej bariery, czuli się pełnoprawnymi lionńczykami, uprawiając zboża, zajmując się hodowlą owiec, kóz, gęsi, zapewniając miastu żywność i samowystarczalność. Ekspansja nie ustawała, a Lyon stał się pod względem wielkości drugim po Paryżu

miastem Francji. Wewnątrz murów nie widać było ogrodów, pól czy przydomowych sadów. Wyparły je gęsto stawiane chaty, pomiędzy którymi znajdowały się niezwykle wąskie ścieżki zabłocone od wczorajszego deszczu.

Koń grzął w oceanie ludzkich i zwierzęcych odchodów. Uwagę Damiena przykuła potężna konstrukcja stworzona z desek przylegających do budowanej od kilku lat katedry, wokół której krzątała się rzesza robotników, gestykulujących i rozmawiających na temat montażu kolejnych części tego wspaniałego obiektu. Nieopodal budowy, oprócz zwykłego pospólstwa zajmującego się codziennymi sprawami, dało się spotkać żebraków czy kurtyzany. Kobiety zachęcały do skorzystania z ich – jak zapewniały – niezapominanych usług. Nie mógł pozwolić sobie na zweryfikowanie, czy za słowem idą czyny. Jeden z robotników wskazał mu drogę do golibrody, znajdującego się dwie ulice dalej. Chciał pokazać się pięknej Veronice w swojej najlepszej odsłonie. W jednej z ulic znalazł szyld z symbolem przedstawiającym twarz brodatego mężczyzny z grzebieniem i brzytwą. Przywitał go człowiek niemałych rozmiarów.

– Jak golimy panicza?

– Na szlachcica – odparł Damien.

Golibroda naostrzył brzytwę na kamieniu, po czym usunął mu włosy z policzków oraz szyi. Przyciął wąsy i zarost na linii żuchwy, tworząc coś na kształt kotwicy.

– Szukam pewnej pięknej kobiety – rzucił Damien podczas wykonywania ostatnich poprawek.

– Polecam panie stojące niedaleko budowanej katedry. Warte grzechu! – rozradował się tłusty balwierz. – Tam musi się pan udać.

– Powiedziałem, że szukam pewnej kobiety. Miałem na myśli konkretną, nie byle jaką dziewczkę, od której jedyne, co mógłbym dostać, to świąd między nogami. Dodałem też, iż chodzi o piękną panią. Nie wiem, jak u pana ze wzrokiem, ale jeśli ten jest w porządku, to współczuję, bo z gustem już nic pan nie robi.

Grubas się zaczerwienił. Zagarnął mały cebrzyk z wodą, by przepłukać twarz klienta.

– Zatem kogóż panicz szuka?

– Veroniki Jambon.

– Ha, ha! – zaśmiał się szyderczo. – Toś pan sobie wybrał kobietę! Za wysokie progi! – Zlustrował klienta z góry do dołu. – Nawet jak na pana

nogi.

Odpowiedź mężczyzny nie spodobała się Damienowi i wyraźnie go zaskoczyła, mimo to ten nie przestawał trajkotać:

– Nic tu po panu, nie przyjmie pana. Niejeden próbował zalecać się do panny Jambon, by w popłochu wracać na koniku tam, skąd przykucał. Ha, ha! – Docenił swój żart. – Czego pan od niej chce?

– To już nie pana interes – wycedził Damien.

– Jak nie mój interes, to się pan nic więcej u mnie nie wywie.

– Mam pełną sakwę. – Damien ukazał rarytas, na który wręcz ślinił się golibroda. Chwyciwszy palcami woreczek, zaczął nim lekko potrząsać, wywołując dźwięk brzęczących monet, zachęcających do spowiedzi. Wyjął jedną z nich i zaświecił nią przed oczami mężczyzny.

– Są na świecie informacje, których nie kupi pan za pieniądze. Ale tę owszem. – Wyciągnął otwartą dłoń po swoją zapłatę i, dopadłszy skarbu, zacisnął na nim pięść.

– Mów, co wiesz – ponaglił go Damien.

– Za tyle mogę panu powiedzieć, kim jest Veronica. Gdyby jednak chciał pan wiedzieć, gdzie mieszka, to cóż... – ponownie wyciągnął dłoń.

Damien dorzucił jeszcze trzy miedziaki.

– Pani Veronica to piękna kobieta, co sam pan zauważył. Adoratorów po śmierci męża ma wielu, żaden jednak nie przekroczył jej progę, co i panu się nie uda.

– Zapłaciłem panu za wiedzę, nie za wygłaszanie poglądów.

– Ha! Niech będzie! Oddam panu moje zarobione dzisiaj miedziaki, jeśli uda się panu wejść do jej domu. Ba! Nawet dołożę drugie tyle!

– Ludzie mają tendencje do rzucania słów, których gorzko żałują. I to znacznie szybciej, niż mogliby pomyśleć. Mów dalej.

– Mąż Veroniki przewodził radzie miasta, będąc niegdyś burmistrzem Lyonu. Po swojej śmierci zostawił dorobek, którego nie powstydziliby się najbardziej majątni władcy Prowansji. Od kilku lat Veronicę nachodzą młodzieniaszki, licząc na wdowi majątek. Wiedza o jej wolności i bogactwie rozniosła się poza murami Lyonu, ściągając rzesze szlachciców, a nawet książąt spoza miasta, by zdobyć rękę wdówki. Na próżno. Widziałem już kilku takich jak pan. Nawet robimy zakłady o to, komu się uda.

– Ciekawe rzeczy prawisz. Gdzie ją znajde?

– Wystarczyło spytać kogokolwiek. Nie musiałby pan płacić tyle monet. To przy ulicy Kościelnej, dom stoi naprzeciw rady miasta. Jest wysoki, prawie tak samo jak ratusz.

– Co do pieniędzy, proszę się nie martwić. Wrócę po nie w wolnej chwili. A ty, jeśli nie chcesz być aż tak stratny, postaw wszystkie oszczędności na mój sukces.

– To się jeszcze okaże – odparł już mniej pewny siebie golibroda. – Powodzenia – dorzucił nieszczercze.

Czterokondygnacyjny kwadratowy budynek z wysoką podmurówką, o spiczastym dachu i z zadbanym ogródkiem dumnie konkurował z kościołem i radą miejską o miano najzuchwalszej architektury Lyonu. Dodatkowo na tyłach domu mieścił się niemałych rozmiarów magazyn oraz stajnia dla koni. Płot stojący przynajmniej dziewięć stóp od domu Veroniki odgradzał nieskazitelną trawę wraz z dwójką bawiących się na niej dzieci od błotnistej drogi. Jakość wykonania oraz wygląd budowli kompletnie nie wpasowywały się w obskurne, zatłoczone miasto. Jakby jakaś magiczna siła przeniosła go tu z odleglejszych, czystszych czasów i postawiła go w centrum, pozwalając gapiom podziwiać kunszt przyszłych architektów.

– Nie wierzy pan w to, co widzi?

Nie dostrzegł Veroniki stojącej w progu, oświetlonej ostatnimi promieniami zachodzącego słońca. Prezentowała się jeszcze bardziej urokliwe niż dzisiejszego mroźnego poranka.

– Życie nauczyło mnie spodziewać się nieoczekiwanego. Wszak przyznać muszę, że to, co ostatnio naprawdę mnie zaskoczyło, to pani wdzięk – stwierdził, podkreślając świeży wąsik.

– Już nie musi pan być szarmancki.

– Zgadza się – oznajmił. – Ale pragnę.

– Mamo, mamó! – zawołało jedno z dzieci bawiących się w ogródku. – Kto to jest?

Chłopiec skończył przynajmniej siedem lat i wyglądał na niewiele młodszego od dziewczynki znajdującej się tuż obok. Oboje mieli ciemne blond włosy zwilżone potem powstałym za sprawą wspólnych popołudniowych psot.

– To mój przyjaciel – zbyła naprędce maluchy. – Dzieci, za chwilę będzie kolacja i więcej razy nie będę powtarzała. Czy to jasne?

– Tak, mamó – odpowiedzieli chórem, po czym wrócili do swoich zajęć.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi o dzieciach? – wyszeptał, nie chcąc zaskoczyć tym pytaniem malców.

– Ma to dla ciebie znaczenie?

– Oczywiście.

– Czy przyjechałbyś, gdybym ci o nich powiedziała?

– Nie one są powodem mojej wizyty i nie one będą przyczyną mego odjazdu – zapewnił.

– Cieszę się zatem i zapraszam do środka.

– Doszły mnie słuchy, że przekroczenie tego progu wywoła u miejscowych nie lada sensację.

– Będzie pan odpowiedzialny za wiele plotek, których i tak jest niemało.

Veronica wraz z gościem przeszli prosto do małej pracowni z biurkiem i półkami uginającymi się od bogato zdobionych, spisanych głównie po łacinie woluminów. Szeroki zbiór fachowych opisów, modlitewników czy literatury umiłającej wypoczynek kazał docenić luksusowy dorobek tego miejsca.

– To kolekcja twojego zmarłego męża? – spytał, zerkając na książki.

– Widzę, że zasięgnął pan już nieco informacji o moim życiu. Faktycznie, mój mąż nie żyje od dobrych kilku lat, ale nie on był właścicielem tych książek. Jestem nauczycielką, zbiór należy do mnie. Tyle może i musi pan wiedzieć. Reszta być może przyjdzie z czasem. Jadalnia wraz z kuchnią mieszczą się na pierwszym piętrze – rychło zmieniła temat. – Wyżej śpimy my oraz dzieci, a na poddaszu służba, która przygotowuje właśnie kolację. Poproszę, by słudzy zaprowadzili konia na tyły domu, gdzie znajduje się stajnia. Napoją go, dadzą jeść i wyszczotkują.

– Co robiła pani sama na grzybach, mając służbę? – spytał bez ogródek.

– Służbę, nie niewolników – wyjaśniła przekonująco. – Po pracy zmuszającej mnie do siedzenia w ciemności pięć lub sześć dni w tygodniu pragnę zaczerpnąć świeżego powietrza. A jak pan zapewne dostrzegł, w Lyonie go nie uraczę. Poza tym nikt nie twierdzi, że znajdowałam się tam sama.

– Ktoś nas podglądał? – zaciekał się Damien.

– Nie ma pan się czego wstydzić, więc jakie to ma to znaczenie?

Zajmując go rozmową, oprowadzała gościa po budynku. Stromymi schodami dostali się na pierwsze piętro, gdzie nagrzone od tłęcego się w palenisku ognia sporych rozmiarów pomieszczenie zaczynało pachnąć przygotowywaną właśnie kolacją. Woń gotującego się wywaru z mięsa

i warzyw oraz wystrój izby zachęcał do pozostania tu na dłużej. Kto wie, może nawet na zawsze, pomyślał.

Ściany pokoju pokrywały farbowane płótna, podłogę zdoił niezwykle dywan z motywami fikuśnych wzorów, zakupiony najpewniej od dalekowschodnich kupców odwiedzających Europę. Po dwóch stronach kominka stały aż trzy kredensy: szeroki na garnki, wysoki na talerze i najmniejszy do trzymania sztucców i narzędzi. Pod niewielkimi okiennicami ustawione zostały skrzynie z ubraniami, obite brązową skórą z wyszywanymi imionami właścicieli domostwa. Jeden z nich podpisany był Ludwik, a więc należał najprawdopodobniej do nieżyjącego już męża Veroniki. Na stole mieszczącym się pośrodku izby ułożone zostały talerze, kielichy i srebrne sztuce. Gospodyni kończąca właśnie przygotowywanie posiłku, jakim mieli raczyć się dzisiejszego wieczora, postawiła na ławie misę z wodą. Veronica, a zaraz po niej Damien, umyli dłonie w naczyniu, po czym zasiedli do kolacji.

– Dzieci nie zjedzą dzisiaj z nami. Pragnę z panem porozmawiać w spokoju.

– To pani dom – odparł, kiwając głową. – Jam jest gościem, zamierzam słuchać poleceń rzucanych z tych ponętnych ust i zgadzać się ze wszystkim.

Veronica nie zwróciła uwagi na komplement.

– Jak pan pewnie zauważył, w skrzyni mieszczą się stroje mojego zmarłego męża. Podejrzewam, że nie podróżuje pan z dużym zasobem odzienia. Ślub mojej siostry potrwa przynajmniej do wtorku, więc życzyłabym sobie, by pan skorzystał z szat Ludwika, będącego niewiele wyższym od pana. Winien pan prezentować się gustownie i uroczyście. Wierzę, że podczas trwania zaślubin zasiądzie pan przy moim boku i będzie grać bliskiego przyjaciela.

Służba rozpałała świece przy stole, podała potrawkę z wołowiny, marchwi i fasoli. Świece nie dusiły, nie gryzły w oczy, co stanowiło przyjemną odmianę w stosunku do zamkniętych pomieszczeń, w jakich do tej pory bywał, i świńskiego łożu, jakim je oświetlano. Pszczeli воск rozświetlał tylko kościoły. I dom Veroniki.

– Obawiam się, że nie potrafię kłamać. Wszakże jest to umiejętność, która nie będzie mi potrzebna. Nie muszę zgrywać pani przyjaciela. Czuję się nim i nie widzę najmniejszych przeszkód, by spędzić z panią ten czas – odpowiedział. – Jest coś, co powinienem wiedzieć?

– Moja znacznie młodsza i zdecydowanie piękniejsza siostra Joanna wychodzi za mąż za lekarza, człowieka godnego zaufania, podziwianego przez miejscowych.

– Choć nie widziałem Joanny, śmiem wątpić, iż ktoś przewyższa panią urodą.

– Jest pan uprzejmy, za co należą się podziękowania, jednakże powróćmy do istoty naszej dysputy. Ślub odbędzie się w kościele pod wezwaniem Jana Chrzciciela, wesele poza miastem, w zamku należącym do Karola, przysłego męża Joanny. Będziemy gościć burmistrza Lyonu wraz z małżonką, rodzinę panny oraz pana młodego. Poza tym będą lekarze, lichwiarze, radni miasta i majętni kupcy. Jak mogę im pana przedstawić?

– Znam się na finansach, pobierałem też nauki o prawie – skłamał. – Tak proszę mnie zarekomendować.

Nie mógł powiedzieć jej prawdy. Skorzystał z fachu swojego przyjaciela, który udało mu się nieco zgłębić dzięki latom wspólnych pogawędek.

– Liczę na pana elokwentność i dobry humor, bo choć ludzie ci są z wyższych sfer, znają się na żartach i kochają się we wszelkiej maści bajkach.

– Świata zwiedziłem niemało, pozwolę więc sobie uraczyć towarzystwo odrobiną opowieści.

– Cudownie! – Uśmiechnęła się w ten sam sposób, co rankiem, wywołując w nim przyływ erotycznych myśli i ponętnych emocji.

– Dlaczego ja? – spytał, odłożywszy ściereczkę. Dłonie złożył razem, opierając na nich brodę. Przypominał kapłana pogrążonego w modlitwie.

– Nie rozumiem – zdziwiła się, co potwierdzała jej zmarszczona mina.

– Mogła pani zaprosić w moje miejsce kogokolwiek. Próbuję zrozumieć, dlaczego akurat mnie spotkało to szczęście.

– Na wszystko stara się pan znaleźć wyjaśnienie. A takiego nie ma, pewne decyzje podejmuje się pod wpływem chwili. Podczas jednej z nich zaprosiłam pana do siebie.

Służba naląła wina do kielichów i napełniła okrągłe talerze. Raczyli się jadłem, wymieniając się pełnymi żądzami spojrzeniami. Nie omieszkał kilkakrotnie pochwalić dań, jakich miał przyjemność kosztować. Po nich do posiłku zasiadły dzieci i pomoc domowa. Po wieczerzy posprzątało naczynia, ściągnięto blat z kozłów, ukazując tym samym ogrom izby, w jakiej się znajdowali.

Oni sami przeszli na górę, gdzie czekała ich drewniana balia z gorącą wodą. Dodał do niej jeden ze swoich ekstraktów kojąco wpływających na udęczone zmysły i stargane mięśnie. Podczas kąpieli tudzież w łożu nie wyraziła zgody na figle, zresztą nie mógł jej nawet dotknąć, co wzbudziło w nim jeszcze większą ciekawość i trudną do okiełznania żądzę. Napięcie oraz towarzyszące mu po zmroku bezwstydnym myśli nie dały wyspać się tej nocy. Przetaczał się z boku na bok. Puchowe, srogo zbite poduchy oraz znajdujące się pod ciałem futro, którego włosie nieprzyjemnie głaskało plecy, było zbyt wygodne dla niego. Usnął przed brzaskiem, a jego oczy otwały się z winy piejącego gdzieś w oddali koguta, którego przeklinał resztę dnia.

Śniadanie zjedli w pośpiechu, starając się zaoszczędzić czas na skrupulatne przygotowania do południowego przyjęcia weselnego. Damien przyodział dopasowane do ciała szare nogawice wraz z kraciatą koszulą o szerokich rękawach zapewniających swobodę ruchu. Do tego założył granatową narzutę z układającymi się w półokrąg srebrnymi guzikami przyszytymi wzdłuż popiersia. Na biodrach zawisał brązowy skórzany pas, mocowany za pomocą srebrnych klamr, a także buty tego samego koloru z miękką podeszwą, sięgające połowy łydek. Veronica założyła krótkie nogawiczki wiązane tuż pod kolanem za pomocą podwiązki, swoje zgrabne stopy skryła w skórzanych trzewikach niesięgających nawet kostek. Zakładana przez głowę, zapinana pod szyją jasnozielona suknia, dopasowana w tułowiu i poszerzana od bioder, idealnie kontrastowała z jego wyważonym, niespecjalnie pstrokatym ubiorem. Włosy Veroniki opadały swobodnie na ramiona, zdecydowała się na ekstrawagancję i nie upinała ich w żaden sposób. Wspólnie doszli do wniosku, że prezentują się zachwycająco. Załapali się pod rękę jak dobre stare małżeństwo, pożegnali dzieci i skierowali się na wytęsknioną zabawę.

Tłum zebrał się pod domem należącym do rodziców panny młodej. Odzienie, w jakim zjawilo się całe towarzystwo weselne, jasno wskazywało na status i bogactwo gości. Wdzięczny był swojej towarzysze za użyczenie garderoby męża, bo choć jego osobiste rzeczy wyglądały znośnie, to przy tej elicie prezentowałyby się co najmniej jak mokry kocur pośród dostojnych tygrysów. Kilkoro z zaproszonych niecierpliwie kręciło głowami w oczekiwaniu na pojawienie się panny młodej, przy której stroju matka wraz z przyjaciółkami czyniła ostatnie poprawki. Wygląd Joanny miał

oczarować nie tylko pana młodego, lecz także wzbudzać zachwyty wszystkich biesiadujących.

W końcu drzwi domu otwały się. Szmery i rozmowy ucichły, gdy w progu stanęła nieskazitelnej urody Joanna Jambon. Damien, wszakże niechętnie, musiał przyznać, że ponętność dziewczyny zrobiła na nim kolosalne wrażenie. Włosy mieniły się tym samym jaskrawym kolorem co jej starszej siostry. Oczy miała również zielone, choć jakby weselsze, jakby nie ujrzały w życiu przykrości, z którą Veronica musiała mierzyć się niejednokrotnie. Znaczenie miał też wiek. Joanna wyglądała przynajmniej dziesięć wiosen młodziej niż Veronica. Nie tylko sprawiała wrażenie dziecka, ale po prostu nim była. Nie przeszkadzało to ani jej przysłtemu mężowi, ani rodzinie, ani Kościołowi. I on także nie miał nic przeciwko. Pan młody zaś, mimo iż znacznie straszy od swej wybranki, nie wyglądał na swój wiek. Jasna, zadbana cera bez jakichkolwiek bruzd czy zmarszczek nadawała mu młodzieńczego wyglądu. Do tego niewielki prosty nos, cienkie, choć gęste włosy w kolorze pszenicy i lekki melodyjny głos jakim przywitał Joannę, tylko potęgowały to wrażenie. Z nieskrywaną dumą uśmiechnął się do przyszłej małżonki i wspólnie ruszyli w stronę placu kościelnego. Wzdłuż drogi, którą radośnie przemierzał orszak weselny, gromadzili się gapie chcący nie tylko popatrzeć na zdobione złotymi nićmi suknie, na przystojnych mężczyzn i onieśmielające kobiety, ale także zanurzyć się w marzeniach, że kiedyś i im przytrafi się taki dzień.

W pierwszym rzędzie szła para młoda wraz z rodzicami, obok nich krewni, na końcu pozostali goście. Zebrani zeszli z wierzchowców przed świątynią, gdzie czekał na nich ksiądz z rozłożoną księgą. Pozdrowił zebranych w imieniu Ducha Świętego i skierował swój wzrok w kierunku najbardziej zainteresowanych i przejętych zarazem.

– Cieszę się niezmiernie, że możemy spotkać się w tej jakże cudownej chwili, w miejscu, gdzie Bóg pragnie swoją niezmierną, łaskawą siłą połączyć te dwie istoty na wieki. Moi drodzy, nim ogłoszę was mężem i żoną, jesteście zobowiązani przed Kościołem, a zwłaszcza przed Bogiem, do odpowiedzi na kilka pytań. Zgadzacie się na nie odpowiedzieć, kochani?

– Zgodnie z wolą Boga – odpowiedział Karol.

– Zatem, moi kochani. Czy jesteście pełnoletni?

– Tak, ojciec – odparli równocześnie.

– Czy jesteście spokrewnieni, co nie pozwala na zawarcie związku małżeńskiego?

– Nie, ojciec.

– Czy zostaliście zmuszeni do zawarcia związku przez któregośkolwiek z obecnych lub tych niemających odwagi stanąć tu dzisiaj, wspólnie z nami?

– Nie, drogi ojciec – powtórzył Karol.

– A czy wy, drodzy rodzice, wyrażacie zgodę na połączenie tej dwójki w związek małżeński i będziecie wspierać ich na wspólnej drodze życia?

Wszyscy kiwnęli głowami na znak zgody. Następnie przeżegnali się, ponownie oddając głos duchownemu.

– Podajcie sobie prawe dłonie – zwrócił się ksiądz do Karola i Joanny.

– Karolu Pacal, czy z własnej woli chcesz pojąć za żonę Joannę Jambon?

– Tak, ojciec – zgodził się z całą stanowczością. Uśmiechał się od ucha do ucha.

– Czy ty, droga Joanno Jambon, pragniesz z własnej woli wziąć za męża Karola Pacala?

– Tak – odparła młoda dziewczyna, zwijając na paluszku rąbek sukni.

Na zakończenie tego krótkiego dialogu ksiądz wygłosił pięciominutową homilię. Prowadził o miłości, wzajemnym wsparciu, poszanowaniu się w niezgodzie. Ostrzegał przed kuszącym węzłem pod postacią kochanków żądnych cudzołóstwa. Zachęcał do robienia i wychowywania dzieci w wierze. Prosił, by stronić od heretyków, pogan, zachowując w sercu miejsce tylko dla jednego, prawdziwego Boga Ojca. Następnie skropił święconą wodą obrączkę, przekazując ją Karolowi. Ten założył pierścień swojej wybrance na serdeczny palec lewej dłoni i rzekł do niej:

– W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego. Kocham cię, moja droga, cieszę się, że mogę cię poślubić.

Pochylił małżonkę na krzepkim ramieniu, prawą dłoń uniósł wysoko w górę i całując namiętnie, wywołał brawa i gwizdy, którym nie było końca. Gdy nastąpiła względna cisza, ksiądz zaprosił gości do świątyni na mszę w imieniu świeżo upieczonych małżonków. Potem ponownie wraz z księdzem wyszli na plac, gdzie Karol, dosiadając wierzchowca, przypominał o miejscu biesiady. W rytmie stukających kopyt, przy dalszych gwizdach i przyśpiewkach tłum – a wraz z nim Damien z Veronicą – podążył w stronę północnej bramy.

Zamek, do którego prowadziła kręta, utwardzona kamieniami droga, mieścił się na wysokim wzgórzu, otoczony z jednej strony stawem pełnym ryb, z drugiej – zwartym, schodkowym laskiem, który – jak stwierdził

Damien – powinno się przenieść na obraz. Mimo wczesnej pory już z dala widać było kilkadziesiąt palących się pochodni tworzących ognisty deptak, wzbudzający podziw zaproszonych. Przed głównym wejściem koczował wytwornie odziany odźwierny, który pozdrawiał przekraczających próg tej niezwyklej zabudowy. Wewnątrz panowała taka sama jasność, jak poza murami zamku. Karol nie szczędził na przyjęciu, podwieszając mnóstwo lamp oliwnych zapewniających komfort w oddychaniu. Garderobiany pomagał gościom ściągać wełniane płaszcze, następnie wskazywał drogę do szerokiej na dwadzieścia pięć i długiej na czterdzieści stóp komnaty pełnej kelnerów i kucharzy. W rogu sali siedział z zamkniętymi oczyma muzykant przygrywający na harfie swoje najznakomitsze pieśni. Stoły wręcz uginały się od samych tylko sztućców, kielichów i talerzy zdobionych w kręte linie przypominające malutkie ślimaki.

Veronica i Damien ze względu na koneksje zostali posadzeni tuż obok pary młodej. Damien naliczył blisko pięćdziesięciu gości, a gdy wszyscy znaleźli swoje miejsca, na stoły wjechały rozmaite dania przygotowane przez najlepszych paryskich kucharzy. Gicze cielece oraz baranie zanurzone w sosach z szafranem, imbirem i cynamonem. Do tego króliki, pieczone kacze piersi duszone w grzybach, koprze i pietruszce, przyozdobione kwiatami w kolorze lilii. Następnie podano chleb pszeniczny do potrawki z dziczyzny przyprawionej tymiankiem i czosnkiem. Na parę przypadał jeden kielich, do którego wino lało się strumieniami tak często, że Damien nie był w stanie ujrzeć dna naczynia. Gości zabawiali żonglerzy i kuglarze w rytmie dźwięków wydawanych przez wiołę.

Kiedy goście najedli się do syta, pochowano stoły, robiąc miejsce na tańce, zabawę i szaleństwa. Gdy zapadł zmrok, stoły wróciły na swoje miejsca, by goście po wyczerpujących płasach mogli zaczerpnąć powietrza oraz ponownie wypełnić kielichy alkoholem. Szumiący w głowach trunek otworzył usta nie tylko do konsumpcji wykwinnych dań, ale i rozmów nie zawsze pohamowanych kulturą czy dobrym obyczajem.

– Wyobraźcie sobie, drodzy państwo, jedną rzecz – odezwał się głośno Karol. – Miałem okazję poznać jednego z cenionych paryskich medyków, pozwólcie, że nie zdradzę jego imienia, cechującego się niebywałą zuchwałością. Otóż, gdy do jego domu zapukał pacjent, którego choroba nie dała przypisać się żadnym do tej pory opisanym przypadkom, nasz szanowany doktor połowę swoich przyjaciół informował o rychłej śmierci

nieszczęśnika. Natomiast drugiej części deklarował, iż ów pacjent w niedalekiej przyszłości będzie w pełni zdrow biegał po uliczkach miasta.

– Nonsens! – podsumował gość o sumiastych wąsiskach. – Toż to brednie. I co te banialuki miały na celu?

– Już tłumaczę. I radzę trzymać się stołków, bo ubaw będzie przedni. Otóż niezależnie od tego, czy pacjenta pochowano, czy dalej wiódł wesołe życie, nasz doktor zachowywał twarz przynajmniej wobec części otaczającego go społeczeństwa. Zawsze miał rację, a grupa, której udzielił prawidłowej odpowiedzi, przekazywała wieści o znajdującym się na swoim fachu medyku, doprowadzając do niego kolejnych naiwnych plebejuszy płacących grube pieniądze za wskazanie, a raczej wróżenie finału choroby.

Fala śmiechu przelała się przez salę, a jeden z mężczyzn ryczał tak mocno, że zakrztusił się waflem na dłuższą chwilę, powodując zaniepokojenie zebranych. Pomogła mu towarzysza, tłukąc go pięścią między łopatkami.

– Jak pan, panie Karolu, postępuje w takich przypadkach? – spytała Veronica.

Pan młody siadł wygodniej na krześle. Z kieszeni wyciągnął cieniutki patyczek, który owinał na dwóch końcach lnianą szmateczką, tworząc coś na kształt kuleczek. Każdą ze stron włożył do swoich uszu, szorując delikatnie wewnątrz.

– Droga pani – odezwał się w końcu. – Jestem człowiekiem doświadczonym, obytym w świecie medycznym i, co najważniejsze, pochłonałem stosy książek, zdobywając niezbędną wiedzę, nie tylko w zakresie medycyny. Pojąłem, że lepiej przyznać się przed sobą do niewiedzy i zgłębiać tajemnice, aniżeli ośmieszyć się prędzej lub później.

– Zatem – zauważyła Veronica – mąż mojej siostry posiadał wiedzę czterystu chłopów razem wziętych, zwiedził więcej świata niż rzymscy dowódcy, przeczytał tysiące książek, a jednak nie wie, że niestosowne jest czyszczenie sobie uszu podczas kolacji?

Cała sala zaczęła diabelski rechot. Uwaga rzucona pośród pijanych patrycjuszy wymagała niezwykłej odwagi i tylko Veronica mogła sobie na nią pozwolić. Karol zachował jednak rezon, nie dając po sobie poznać, że rzucony komentarz zrobił na nim jakiegokolwiek wrażenie. Śmiał się razem z gośćmi, ale po chwili dodał:

– W czasach tak nieczystych jak te, w których przyszło nam żyć, droga Veronico, higienę cenię sobie znacznie bardziej aniżeli dobre maniery.

– Nie sposób się z panem nie zgodzić – odezwał się Damien.

– Kimże jest nasz cichy gość? – zaciekawił się Karol. – Dlaczego jeszcze nie usłyszeliśmy, skąd pochodzi i jakim cudem zasiada u boku tej niezwyklej kobiety o ostrym języku, mej ukochanej szwagierki?

– Nazywam się Damien LeBrun i wrodzona skromność nakazuje mi przekazać głos mojej, jak pan trafnie zauważył, niezwyklej towarzysze. Ona zapewne skrupulatniej przedstawi wam moją sylwetkę oraz to, gdzie nasze drogi się skrzyżowały. A zaprawdę powiadam wam, warto teje historii wysłuchać.

Kończąc wywód, zerknął w kierunku Veroniki, puszczając jej oczko niedostrzegalne dla pozostałych. Sam był ciekaw, w jakich to okolicznościach przyszło im spotkać się wedle na poczekaniu wymyślonej przez Veronicę historii. Bo nie dawał wiary, iż przedstawi ją ona w sposób, jaki to faktycznie miało miejsce. I nie zdziwił się, gdy rozpoczęła od kłamstwa i na kłamstwie skończyła.

– Pan Damien LeBrun zna się na prawie i jest wybitnym, pochodzącym z Awinion, doradcą finansowym. Mój świętej pamięci mąż, będąc za miastem, radził się u Damiena w kwestiach biznesowych. Gdy sama wpadłam w lekkie zawirowania finansowe, mogłam zwrócić się tylko do jednej osoby.

– To ciekawe – wtrącił się gość o sumiastych wąsiskach – twierdzi pani, że Damien pochodzi z Awinionu. Ja stamtąd przybywam i jestem pewien, że znałbym pana ze względu na biznesy, jakie prowadzę.

Biesiadujący spojrzeli podejrzliwie na Damiena. Ten tylko wzruszył ramionami.

– Nikt nie twierdzi, że mieszkam i doradzam w Awinionie. Gdyby pan, panie...?

– Dominik Gulle – przedstawił się wąsaty panicz.

– Tak więc, gdyby pan, panie Dominiku, odstawił choć na chwilę kielich i wytańczył odrobinę wlanego w siebie wina, usłyszałby pan wyraźnie, iż tylko pochodzę z tego miasta – uśmiechnął się, unosząc kielich w kierunku swojego rozmówcy. – Rozumiem jednak, dlaczego pan tego nie uczynił. Alkohol, jakim się raczymy, jest najlepszej jakości, a takiego nie miałem okazji pijać nawet na Dalekim Wschodzie.

Słysząc było stłumione zachwyty nad ostatnimi słowami Damiena. Stołownicy, choć majętni, dalej niż do państwa Mediolańczyków czy Anglików nie podróżowali.

– Ujrzał pan świat takim, jakiego nie widział żaden z tu siedzących – odpowiedział nad wyraz zdumiony Dominik.

– Nie wypada się ani tym szczycić, ani wstydić z tego powodu.

– Nim opowie pan o dalekich krainach, w co wierzę, że nastąpi, proszę podzielić się historią o tym, jakim cudem zasiada pan u boku Veroniki. Nie dam się przekonać, że zaprosiła panicza z własnej woli – rzekł z przekąsem. – Proszę wybaczyć naszą ciekawość, jednak wielu z obecnych tu dzisiaj mężczyzn, w tym ja, próbowało wszelakich sposobów na zdobycie jej serca. Jak pan widzi, bez efektu.

– Źle to czyniliście – odparł bez namysłu.

– Jak to? – zdumiał się męski garnizon. Wraz z nim sama Veronica, która skrzyżowała ręce na piersi, w skupieniu czekając na nadchodzące wywody.

– Otóż uroda tej kobiety... – ujmująco spojrzął na partnerkę, ale w jego wzroku próżno było szukać współczucia. Veronicę uważał za charakterną personę i tak też zamierzał ją przedstawić – ..jest zniewalająca. Nikogo o tym przekonywać nie trzeba. Cnotą Veroniki jest temperamentność, o czym niedawno przekonał się pan młody. Upór, fantazję, ikre i waleczność okryła aksamitną płachtą zmysłowości, która nie jest sztuczna, lecz wypływa z wewnątrz. Skryta, wrażliwa, delikatna, czuła, otwarta i krucha, a jednakowoż towarzyska, harda, zawzięta i pełna pasji. Potrafiłbym wymieniać w nieskończoność jej znamienite cechy, malować postać, o której wydawałoby się, że wiem wszystko, a zaprawdę powiadam wam, nie wiem nic! Lubujemy się w podróżach, odkrywaniu nieznanych lądów, przemierzaniu oceanów, sztukach walki. Próbujemy pojąć niezrozumiałe księgi, podczas gdy te najbardziej nieodgadnione są o miedzę od nas. Kobieta to nie tylko kości pokryte anielską skórą, to nie zapach kojący zmysły, to nie znów wyłącznie matka sprawująca opiekę nad dziećmi. Kobieta nie jest marionetką spełniającą wyłącznie nasze żądze! – Zlustrował zebranych, ściągając ich pełną uwagę. – Kobieta to mimowolny oddech, który choć nie zawsze dostrzegalny, jest dowodem naszego istnienia! Kobieta to pomnik mężczyzny, nie taki, którym należy pysnić się wszem i wobec, ale taki, przy którym nie wstydzimy się stać w cieniu, ukazując jego wspaniałość. Tak niezwykła kobieta jak Veronica – wstał, pociągając partnerkę ze sobą – potrzebuje chwackiego mężczyzny. I nie chodzi tu o męstwo w bitwie, drodzy panowie, ale o odwagę, by oddać kobiecie władzę w każdym tego słowa znaczeniu. Śmiem twierdzić, iż paniom nie brakuje niczego, by wspólnie z nami zasiadać w radach, dzielić

i rządzić, gdyż ich łagodniejsza natura zaoszczędziłaby przelanej krwi mężów i dzieci, wypędzanych co dzień na nikomu niepotrzebne wojenki. – Ucałował delikatnie dłoń Veroniki, po czym dodał: – Dlatego gdy potrzebowała pomocy w kwestiach finansowych, nie dałem jej odczuć bycia mniej rozumną, przekazałem istotne dane jak równy równej. Zaznaczyć należy, że i ona nie była dłużna, podzieliła się wiedzą do tej pory mi nieznaną. Stałem się jej kompanem, przyjacielem. Czerpiemy wzajemnie od siebie to, co najlepsze.

Dominik nieśmiało zaczął bić brawo. Po chwili wahania dołączyło do niego jeszcze kilkoro gości.

– Niezwykłe słowa, przy których na pewno trudno przejść obojętnie – mówił pan młody. – Czy są słuszne? Nie mnie oceniać. Pewne jest, sądząc po pana obecności, iż najwyraźniej skuteczne. Winszuję! Nie omieszkam wykorzystać faktu pana dobrej znajomości finansów i polemiki prawnej. Zapraszam serdecznie do mojej biblioteki na kielich wyśmienitego aragońskiego wina, wyjątkowo umilającego dysputę.

– Nie wiem, jak długo pan Damien będzie pozostawał w mieście, toteż nie może obiecać odwiedzin – wtrąciła się Veronica.

– Och – westchnął Karol – sądzę, że znajdzie pan odrobinę czasu dla świeżo poznanego przyjaciela. Tak szlachetnego człowieka jak pan nie wypada prosić dwukrotnie.

– Jeśli tylko moja towarzyszka zezwoli – odparł Damien, kłaniając się w pas.

– Siostra mej kochanej żony wyrazi zgodę, a teraz racz nas, proszę, historiami z miast znanych nam do tej pory tylko z map i wyobraźni.

Damien długo opowiadał o wyprawach na Daleki Wschód. O tym, jak nauczył się tworzyć medykamenty czy zapachowe olejki. Napomknął o wschodnich naukach dotyczących rachunkowości czy sztukach walki, na które Karol wyraźnie zareagował. Opowiadał o klasztorze, pomijając główne wątki swojej wizyty. Monolog przerwał mu ksiądz, zapraszając zebranych do sypialni małżonków, którą pobłogosławił, skupiając główną uwagę na łożu przyszłych kochanków. Podczas święceń matka Joanny przeczesywała centymetr po centymetrze pościel w poszukiwaniu jakiegoś niewygodnego przedmiotu ukrytego przez zazdrośników. Suchy groch bądź kamienie mogły wpływać na nieszczęśliwie pożycie młodej pary. Niczego nie znalazła, więc zaprosiła wszystkich do dalszej zabawy w głównej sali.

Biesiada trwała do bladego świtu, następnie do wieczora i znów do brzasku. Ostatniego dnia Damien spał się tak łajdacko, że nie był w stanie spamiętać końca przyjęcia. I o takim końcu marzył od dawna.

Rozdział VI

Bastian przyglądał się monstrualnej sylwetce zanurzonego w spokojnym śnie inkwizytora, którego klatka piersiowa unosiła się i opadała rytmicznie niczym okręt dryfujący po życzliwym morzu. Wystarczyłoby jedno błyskawiczne pchnięcie, pomyślał. Jedno małe ukłucie prosto w serce, a uwolniłby się od tej bezwzględnej bestii oraz dalszej gonitwy za kimś, kto być może już dawno przekroczył granice królestwa. Kucał dwanaście stóp od Jacquesa, grzebiąc w zaschniętej glebie lichym, acz wystarczającym do uśmiercenia człowieka nożykiem.

Czy jestem w stanie to zrobić? – pytał się w myślach. Czy zdążę dobiec, nim go zbudzę? Czy w ogóle śpi? Gdybyśmy mogli, tak jak dzieci, nie znać konsekwencji swoich czynów... Jakie miałyby to skutki? Czy osiągalibyśmy więcej, nie będąc świadomi przeszkód, jakie staną nam na drodze? A może wyrznelibyśmy się nawzajem jak dzikie zwierzęta, nie czując trwogi przed nadchodzącą chwilą? Co bym zrobił, gdybym się nie lękał? – powtarzał jak mantrę. Jakich czynów bym dokonał, gdzie bym zaszedł? Stałbym się bohaterem czy zapominanym tłem na wielkim obrazie życia? Co bym zrobił, gdybym nie odczuwał strachu? – ponowił w myślach pytanie.

– Nad czym się tak głowisz? – zapytał ochrypły głos.

Z rozważań wyciągnął go przykryty kocem Jacques, leżący w tej samej pozycji, z wciąż zamkniętymi oczami.

– Zastawiam się, gdzie podziewa się człowiek, którego za wszelką cenę chcesz odnaleźć.

– Ja? – spytał z sarkazmem w głosie. – Tobie już nie zależy? – Jacques otworzył jedno oko.

– Zależy – odparł. – Tylko co, jeśli nasz rzezimieszek już dawno rozplynął się w powietrzu? Jak długo będziemy go szukać? Jak daleko należy podążać?

– Rzezimieszek to zbyt wątle słowa na określenie tego insekta. Jesteś człowiekiem małej wiary. Dopóki mamy cel, trzeba za nim podążać. Bóg

wskaże nam drogę, przemówi, kiedy zaprzestać poszukiwań.

– Jak się to objawia?

Choć pytanie było szydercze, nie pozwolił, by Jacques tak je odebrał.

– Trzeba zaufać intuicji, wskazówkom, jakie się jawią. Babin przekazał nam, gdzie uciekł Damien. Dopóki nie trafię na mur, którego nie rozbiję, nie przeskoczę lub nie obejdę, dopóty będę go gonił. Choćbym miał przemierzyć całą Francję.

– Jesteś nieustępliwy. Tylko czy to wymaga tylu poświęceń?

– Każda ofiarność warta jest sprawiedliwości. Nie ma znaczenia, jak długa i kręta okaże się droga przed tobą, jeśli na jej końcu znajduje się grzech, który należy rozliczyć. Mierzi mnie twoje tchórzostwo. Co żeś poświęcił do tej pory? Raptem parę dni swego marnego żywota. Co więcej, miałeś dużo szczęścia, że cię nie zabito wraz z Casimirem. Nie czujesz obawy przed powrotem Damiena? Może chce dopaść i ciebie?

Nie zastanawiał się nad tym aż do tej chwili. W istocie Damien mógł powrócić w dowolnym momencie, by dokończyć dzieła. Równie dobrze mógł czaić się teraz w zaroślach, wyczekując dogodnej pozycji do oddania strzału prosto w jego klatkę piersiową. Jediną tarczą podczas przyszłych wędrówek stał się Jacques. Inkwizytor to amulet zabezpieczający Bastiana przed śmiercią, a jednocześnie przepustka do władzy. Czas to wykorzystać, pomyślał.

– Źle zaczęliśmy naszą znajomość. – Chciał dodać coś jeszcze, tymczasem wywód przerwał mu Jacques:

– Nie kończ tej myśli.

– Pragnę odkupić winy.

Bastian starał się z całych sił brzmieć przekonywająco, opuścił głowę i przybrał zatrwożoną minę niczym przepraszające dziecko.

– Nie starczy ci woli – dodał inkwizytor. – A pieniądze nie odkupią grzechów, jakieś poczynił.

– Pomogę odnaleźć Damiena. Zapracuję na zaufanie, sprawię, byś uwierzył w moje dobre intencje. Na dowód przysięgam wykonywać rozkazy i wspomagać cię w kłopotach, które postawi przed nami los.

– Pozwól, że coś wyjaśnię – zaczął Jacques. – Od kiedy wezwał mnie kardynał i wysłuchałem opowieści przed jego obliczem, czułem, że ta sprawa śmierdzi. Wówczas pojawiłeś się ty, przedstawiłeś swoją historię, wzbudzając we mnie jeszcze więcej podejrzeń, a inni zamieszani w tę sytuację bezpośrednio lub pośrednio utwierdzili mnie w tym przekonaniu.

Skrywasz już niewiele tajemnic. Zastanawia mnie, jaki masz cel i jakie koneksje łączyły cię z Casimirem. Wiele już wiem, a na pozostałe pytania odpowie mi Damien. Nie jestem naiwny, nie uwierzę w żadne twoje słowo. Niemniej jednak pamiętaj: na końcu naszej drogi spotkamy się z Panem Bogiem, ważne, aby szala twoich dobrych uczynków przeciążała tę ze złymi. To jest wojna, którą powinieneś toczyć każdego dnia.

– Rozumiem złość, brak zaufania. Mimo to postaram się zmienić twoje postrzeżenie moich postępów. – Bastian nie poddawał się.

– Cóż dałaby mi złość? – zdziwił się Jacques. – Złość szkodzi temu, w którym kiełkuje. Narasta bez przerwy niczym bluszcz, okrywając wszystko to, co warto pielęgnować, wszystko, czemu warto poświęcić uwagę. Ja nie czuję emocji. Oceniam rzeczywistość taką, jaka jest, jedyne, co mi towarzyszy w trakcie ziemskiej wędrówki, to niezmacona dyscyplina. W niej jest metoda na osiągnięcie zarówno najmniejszych, niedostrzegalnych celów, jak i tych wywracających wszystko do góry nogami. Bóg jest dyscypliną, piórem kreślącym idealne okręgi, od których nie ma odstępstw.

– Czyż Bóg nie uczy przebaczenia? Czyż Biblia nie mówi wprost, że Bóg jest miłosierny i litościwy, cierpliwy, bogaty w życzliwość i wierność, przebaczący niegodziwość, niewierność i grzech. Czyż nie tak mówi Słowo Boże?

– Zgadza się, rzeczy dokładnie tak. Lecz dodaje, że nie pozostawia grzechu bez ukarania. Odpowiedz zatem, zgodnie ze swoim sumieniem, którego widać brakuje ci aż nadto, skoro cytujesz tylko wygodną część Starego Testamentu, czy zostałeś ukarany, tu na ziemi, za swoje grzechy?

Bastian zamilkł i w tej niezręcznej dla siebie ciszy przygotował do dalszej wędrówki konie, wciąż zmęczone nocną jazdą. Wierzchowce nie godziły się na dodatkowy ciężar. Schodząc w dolinę, musieli więc ciągnąć je za wodze, przystając raz po raz na wymuszony odpoczynek.

Miasteczko, choć zaludnione i głośnie od samego poranka, nie przywitało ich ani wiwatami, ani jakimkolwiek innym wzmożonym zainteresowaniem. Miejscowych pochłonał rytm codzienności. I tak w skwarny poranek ujrzeni łagiewników tworzących wiadra i naczynia, nożowników ostrzących swoje dzieła na kamieniach, a nawet iluminatora nakładającego proste ozdoby na kodeksach i księgach, co w tak małym mieście wydawało się wręcz niepojęte.

Nie tracąc czasu, zachodzili od jednego rzemieślnika do drugiego, od mniejszej do większej chałupy, pytając, czy którykolwiek miał okazję

spotkać Damiana. Długo nie mogli liczyć na choćby maleńką podpowiedź, na jakiś nikły znak dający nadzieję na odnalezienie poszukiwanego. Kiedy prowadzili wierzchowce wzdłuż ulicy, drogę zastąpiła im pękata kobieta, z oczami obserwującymi dwa różne kierunki. Bastian i Jacques spojrzeli po sobie i po raz pierwszy podczas wspólnej tułaczki uśmiechnęli się do siebie.

– Kim jesteś? – odezwał się Jacques do zezowatej panny.

– Nazywam się Ursula – oznajmiła radośnie. – Słyszałam, że kogoś szukacie.

– Tak. I co ci do tego? – prychnął do dziewczyny Bastian i rychło tego pożałował. Jacques niezauważalnie przygniótł mu palce stóp twardą podeszwą buta.

– Chyba wiem, o kogo pytacie – mówiła dalej dziewczyna.

– Oświeć nas.

– Miałam okazję – Ursula machała biodrami na boki, do złudzenia przypominając malutką, nieśmiałą dziewczynkę – poznać przystojnego panicza jednej nocy. Uraczyłam go swoim niebiańskim wdziękiem.

Bastian i Jacques ponownie się zaśmiali. Uspokoiwszy się, nakazali kobiecie kontynuować opowieść.

– Odwiedził gospodę, o tamtą. – Wskazała palcem na ogromny szyld z napisem „Zajazd u Bogdana”. – To było kilka dni temu.

– Pamiętasz, kiedy dokładnie? – ciągnął wyraźnie zaintrygowany Jacques.

– To była niedziela – próbowała się skupić. – Albo poniedziałek.

– Wiesz, jak wyglądał?

– Tak... Ale po kiego w zasadzie wam to wiedzieć?

– Nie jest to twój interes – odrzekł Jacques. – Powiedz, co wiesz, potem wracaj do swoich obowiązków.

Ursula odwróciła się na pięcie, dając wyraz swojemu niezadowoleniu, postawiła pierwszy, a zarazem ostatni krok w przeciwnym do nich kierunku. Jacques załapał dziewczynę za ramię, wcisnął kciuk między kość a mięsień i pociągnął do siebie. Na twarzy Ursuli pojawił się grymas bólu.

– Słuchaj – zaczął – przekażesz mi, co wiesz, albo wbiję ci nóż prosto w twoje tłuste cielsko i spuszczę z niego tłuszcz.

Uchylił płaszcz, prezentując błyszczącą się w promieniach broń – tyle wystarczyło, by nakłonić Ursulę do rozmowy.

– Człowiek, którego szukacie, był wysoki, przynajmniej głowę wyższy ode mnie. Miał ciemną karnację, czarne jak ten kot włosy. – Skierowała

jedno z oczu na przebiegającego czworonoga.

– Powiadasz, że miał ciemną skórę? – Podrapał się po brodzie. – Murzyn, muzułmanin?

– Nie. Bardziej jakby godzinami przebywał na słońcu.

– Co jeszcze wiesz? – Jacques ścisnął ramię dziewczyny jeszcze mocniej.

– Nic więcej. Proszę, to boli – poprosiła. – Widziałam, że nosił czarny strój, stałam za rogiem, słyszałam, jak o niego pytacie. Dlatego przyszłam, licząc na łatwy zarobek.

– Masz. – Położył na jej czole monetę. – Rozumiem, że właściciel oberży zwie się Bogdan.

– Tak – zapisała.

– Znikaj mi z oczu! – rozkazał.

Konie wymagały napojenia, dłuższego odpoczynku. Nie mieli wyboru, musieli zatrzymać się w mieście. Oberża Bogdana wydawała się idealnym do tego miejscem. Dotarwszy do gospody, od razu podeszli do karczmarza nalewającego gościom piwa.

– Potrzebujemy dwóch izb do końca dnia – rzekł Bastian.

– Zaraz panów zaprowadzę – odpowiedział. – Coś do jedzenia?

– Przynieś to, co masz najlepszego, z beczką piwa. I wody do umycia. Zaopiekuj się końmi, przed zachodem słońca mają być nakarmione, wypoczęte, gotowe do podróży.

Karczmarz wręczył gościom klucze i odprowadził ich do pokoi. Spędzili tam cały dzień, jedząc mięso, pijąc lekkie piwo, głównie jednak śpiąc. O zmierzchu zeszli na dół, sala była już pełna. Zapłacili właścicielowi, który wcześniej, zgodnie z ich prośbą, przygotował konie. Przed wyjściem zadali ostatnie pytanie.

– Szukamy człowieka imieniem Damien – zaczął Jacques. – Był u was w zeszłą niedzielę, może poniedziałek. Ubrany najprawdopodobniej na czarno.

– W poniedziałek – odparł bez zastanowienia.

– Gdzie się udał?

– Dlaczego to was interesuje? Nie mam obowiązku opowiadać o gościach odwiedzających gospodę.

– Otóż masz – odezwał się Bastian. – Stoi przed tobą wielki inkwizytor Jacques Begreon. Człowiek, o którego pytamy, jest poszukiwany przez Kościół.

– Rozumiem. Powiem, co wiem, ale chyba mogę liczyć na dodatkową zapłatę, prawda?

– Rzecz jasna – wtrącił się Jacques. – Połóż dłoń na blacie, tylko szeroko, bo sakwa będzie wypełniona po brzegi.

Bogdan uśmiechnął się od ucha do ucha, po czym wykonał polecenie. Rozłożył grubą łapę wielkości bochenka i nagle poczuł, jak ostre narzędzie przechodzi między kośćmi jego dłoni, rozcina żyły, ostatecznie przybijając ją do wilgotnego blatu. Skowyt cierpiącego Bogdana poruszył pijących w oberży, którzy w jednej chwili zerwali się z siedzeń, chcąc dowiedzieć się, co przytrafiło się ich gospodarzowi.

– Co, do chuja?! – wykrzyknął jeden z wieśniaków. – Co wy mu robicie?

Bastian spanikowany szukał pomocy u Jacques'a, który apatycznie zwrócił się do nastroszonych kmiotków:

– Nie stało się nic, co mogłoby was interesować. Siadajcie na stołki, jeśli nie chcecie wyć jak karczmarz. Prawda, panie Bogdanie? – zwrócił się raptownie do gospodarza, który wił się z bólu. Jacques pstryknął środkowym palcem w rękąjęść sztyletu, która lekko zachybotwała. Krew oberżysty wypłynęła spod rany.

– Usłuchajcie, co pan mówi – rzekł, ciężko dysząc.

I choć niechętnie, chłopci ślamazarnie zaczęli wracać na swoje miejsca. Nie spuszczaali wzroku z Jacques'a, gotowi ruszyć na komendę właściciela przybytku.

– Mój kompan objaśnił ci cel naszej wizyty. Nie omieszkał wspomnieć, że szukamy człowieka igrającego z sądem kościelnym, a tobie jeno pieniądze w głowie? Czy znana jest ci potrzeba większa niż próby Boga?

– Nie! – wykrzyczał. – Wyciągnij już to cholerstwo, powiem wam, co chcecie wiedzieć!

– Uspokój się. Odpowiedz na pytania, a twoje cierpienia przeminą. Wszak nieco wolniej, jednakże dalej będziesz nalewać piwo odwiedzającym twój przybytek. Gdzie odjechał Damien?

– Nie wiem, nie mam pojęcia. Boże, jak boli... Jak go nazywacie?

– Damien.

– Naprawdę nie wiem, gdzie się udał.

– Co wiesz? – odezwał się Bastian.

– Wysyłał list. Wysyłałem jego list. Do Awinionu, prosił o przekazanie go... O Boże, jak boli. Jak mu było?

Bastian miał już pewność, że ma do czynienia z Damienem LeBrunem. Zrobiło mu się gorąco, przełknął ślinę głośniej, niżby chciał. Rozmyślał o przeszłości i przyszłości. O tym, jak uczynki stają się raną, która nigdy się nie goi. Z rozważań wyrwał go wbiegający do środka zziębnięty mężczyzna z kopertą w ręku. Rozglądał się na boki w poszukiwaniu nagrody, jaką był Jacques.

– Inkwizytorze! – krzyknął w jego kierunku. – Całą noc jechałem, by to dostarczyć. Pierre Fillion przekazuje wieści prosto z Awinionu.

Posłaniec wręczył zapieczętowany dokument Jacques'owi, po czym, zauważywszy sztylet wbity w dłoń karczmarza, opuścił oberżę. Postanowił poczekać na zewnątrz.

– Do kogo przesłał wiadomość? – spytał zniecierpliwiony Jacques.

– Rieul – odpowiedział oberżysta. – Jacob Rieul. Tak mi przekazał.

Jacques wyciągnął sztylet mocnym szarpnięciem i wytarł go w koszulę gospodarza. Wraz z Bastianem wyszedł na zewnątrz do stojącego przy koniach gońca.

– Kardynał nakazał otwarcie listu rychło po dostarczeniu – odezwał się niski, wzrostem sięgającym końskiego zada, kurier.

– Tak też uczynię.

W liście od Pierre'a Filliona Jacques przeczytał o kobietach podejrzanych o uprawianie czarów. Jak donosił kardynał, na jednym ze wzgórz nieopodal miasteczka Valence, do którego miał nie dalej niż trzy godziny drogi, pochwycono dziewięć spotykających się wspólnie czarownic. W mieście panowała zaraza, co zostało bezpośrednio ze sobą powiązane. Pierre Fillion prosił Jacques'a o zajęcie się tą sprawą ze względu na bliskie położenie miejscowości od Lyonu, do którego i tak przecież zmierzał.

– Zmiana planów, Bastianie – odezwał się Jacques. – Chciałeś odkupić swoje winy, właśnie nadarza się ku temu okazja. Jeśli dobrze wykonasz swoje zadanie, obiecuję poinformować kardynała o twoich zasługach i dopilnuję, by mianowano cię inkwizytorem. Właśnie tego pragniesz, prawda?

– Nie zawiodę cię – odparł szczerze. – Powiedz, czego oczekujesz.

– Muszę udać się do Valence, gdzie za sprawą czarownic dzieją się niestworzone rzeczy. Ty wrócisz z powrotem do Awinionu. Odnajdziesz Jacoba Rieula, dostarczysz go Kościołowi i poczekasz na mnie. Gdyby Jacob dowiedział się, że węszy za nim inkwizycja, szybko by czmychnął. A tak trafi do niego niewinny szlachcic, dopadając go z zaskoczenia.

– Tak też uczynię – zapewnił urzędowym tonem. – Możesz być tego pewien, zajmij się tym, do czego wzywa cię Bóg.

Jacques nakazał Bastianowi zachowanie wszelkiej ostrożności. Zakładał, że Damiena nie powinno być przy Jacobie, jednak nie mógł wykluczyć tego w zupełności. Pożegnawszy się bez większych serdeczności, podążyli przeciwległymi szlakami.

Rozdział VII

Związane ręce i nogi skutecznie uniemożliwiały ewentualną próbę ucieczki. Zawleczone przez strażników, zasyfione, posiniaczone, z nogami przyciągniętymi do piersi, kuliły się w mrocznej ciszy na posadzce niewielkiego kościoła. Ściśnięte, dotykając się wzajemnie plecami, dodawały sobie otuchy dłońmi. Przypominały pisklęta w trwodze poszukujące matki, gotowej stawić czoła wygłodniałemu lisowi. Jednak lis krążył już wokół zwierzyny zdolny do przypuszczenia ataku na pierwszą z ofiar. Im wolniej stawiał kroki, im dłużej przyglądał się zdobyczy, tym mniej widział w ich przelęknionych sylwetkach wiedźmy.

– A więc to są nasze sekutnice? – odezwał się wreszcie Jacques. – Kto je tu sprowadził i dlaczego?

Przed szereg wystąpił mężczyzna w szatach księdza. Ukłonił się Jacques’owi i powiedział:

– My, drogi panie.

– Z jakiego powodu?

– Widzieliśmy, jak zebrały się na wschodnim wzgórzu nieopodal Valence. Paliły ognisko, tańcząc nago wśród skaczących iskier.

– To jeszcze nie powód do oskarżeń o czarownictwo, prędzej o bluźnierstwo.

– Ale to nie wszystko, drogi panie.

– Kontynuuj – zachęcił go Jacques.

– Całowały się, ocierały o siebie, wypowiadały niezrozumiałe zdania. A do tego, drogi panie, dorzucały coś do ognia, jakieś piaski, może zioła, ktoś wie, co to właściwie było. A ten strzelał w górę, formowały się jakieś kule jakby puszczane z procy i dym się pojawił, ogromny i duszący. To było przerażające. Do tego ten ich śmiech. Na samą myśl mam ciarki.

– Przyznały się do zarzucanych im czynów?

– A gdzie tam, panie! – Machnął ręką. – W życiu! Jak to z oskarżonymi, zawsze niewinni.

- Jak trafiliście na wzgórze?
 - Nie rozumiem – odparł zdziwiony ksiądz. – Wzniesienie jest niewielkie. Co prawda znajduje się kilka kilometrów od miasta, ale można tam dojść na piechotę w parę godzin.
 - Skąd wiedzieliście, że właśnie tam są czarownice?
 - A, o to pan pyta. – Pacnął się w czoło. – Otóż jest świadek. On pierwszy doniósł o wiedźmach.
 - Kiedy to było? – ciągnął inkwizytor.
 - Będzie z pięć dni przed schwytaniem kobiet.
 - Przyprowadźcie go do mnie – polecił. – I to już.
 - I tu mamy problem, drogi panie.
- Ksiądz sprawiał wrażenie nie tyle zawiedzionego, co przestraszonego.
- Dokończ – zachęcił inkwizytor.
 - Nie możemy go znaleźć – odpowiedział niechętnie.
 - Chcesz powiedzieć – rzekł cicho – że człowiek, który wiedział o spotkaniach wiedźm, rozpłynął się w powietrzu?
 - To nie tak, drogi panie. Osobiście informowałem go o przesłaniu listu do Awinionu w tej sprawie, przysięgał być na przesłuchaniu.
 - Skoro przysięgał, to gdzie teraz jest?
 - Nie wiem. Ale znajdziemy go! – obiecał przełęknięty. – Przysięgam na Boga!
 - Nie mieszaj Boga w swoją nieudolność – ostrzegł groźnie. – Powiedz, kim jest ten człowiek. Czy miał powód do ucieczki?
 - Nie, nie sędzę.
 - Nie sądziłeś też, że może go dzisiaj zabraknąć, a jednak nie ma go tu z nami. Zastanów się.
 - Chryste Panie – wyszeptał, a na jego skroniach pojawiły się krople potu. – Nie wiem. Teraz już nic nie wiem. Jest majętnym paniczem, więc nic by nie zyskał, oskarżając je o czary. Bo i te kobiety wiele nie mają. Nie sprawiał wrażenia przestraszonego czy mającego coś do ukrycia. Przysięgał na matkę, że tu będzie. Wręcz nie mógł doczekać się przybycia kogoś z Awinionu. Jego nieobecność jest dla mnie takim samym zaskoczeniem jak dla was, drogi panie.
 - Rozumiem. Czym się zajmował?
 - Tomas wykonywał zbroje. Odziedziczył warsztat po ojcu, wyroby sprzedawali w nieodległym Lyonie.
 - Czy coś łączyło go z tymi kobietami?

– Tego nie wiem, ale miasto nie jest ogromne, można założyć, że je znał. Sam kojarzę te kobiety.

– Coś więcej może ksiądz o nich powiedzieć?

– Na pewno nie mają mężów. Żadna z nich nie ma chłopca.

– To by tłumaczyło nocne orgie. Jak długo tutaj są?

– Leżą tu od kilku dni. Jak tylko je złapaliśmy, nadaliśmy wiadomość do pałacu papieskiego o tym, co tu zaszło. Prosiłszy o kogoś z większym doświadczeniem, ze względu na zarazę panującą w mieście, jaką te wiedźmy najpewniej wywołały swoimi wołaniami do diabła.

– O jakiej zarazie mówicie, księżę? – spytał wyraźnie zaciekawiony.

– Od tygodni w mieście panuje wielka zaraza. Nawet ten tutaj – wskazał na jednego z mężczyzn – jest chory. Pokaż inkwizytorowi palce – nakazał.

Mężczyzna wystąpił z szeregu, rozwinął szmaty, w jakie zawinął dłonie, i wyciągnął je przed inkwizytorem. Opuszki, paznokcie aż do knykci pokrywała zgniła czerń, która w nocy mogła uchodzić za ubłocenie. Jednak w świetle dało się dostrzec białorudawe pęcherze wraz z sączącą się z nich mazią.

– Wyjdź stąd natychmiast! – warknął wściekle Jacques.

– Ale drogi panie – odezwał się ksiądz – on pomógł schwytać czarownicę.

Inkwizytor nawet nie zwrócił uwagi na duchownego i ponownie, tym razem jeszcze wścieklej, huknął do chorego.

– Precz! Niech twoja noga nigdy nie stanie obok mojej.

Wieśniak wybiegł z kaplicy niczym zbity pies.

– Jesteście mniej rozumni niż te wiedźmy. Nie wiecie, co to za choroba, a przebywacie z zarażonym w jednym miejscu. Czy ktoś jeszcze ma podobne objawy? – zwrócił się do pozostałych zebranych. – Pokazywać łapska.

Ksiądz wraz z resztą mężczyzn zaprezentowali swoje zdrowe dłonie.

– Nikt z nas nie ma żadnych objawów – zapewnił klecha.

– Jakie są inne oznaki?

– Między udami pojawia się szyszka.

– Szyszka? – Zmarszczył brwi. – Co to oznacza?

– Na udach, koło krocza pojawiają się opuchliny. Niektórzy mają je pod pachami lub na szyi.

– Rozumiem, iż u nikogo z was nie zobaczę podobnych widoków.

– Nie – zapewnił bez wahania.

– A czarownice? – Spojrzał na kobiety, które jeszcze mocniej podkuliły nogi. – Z nimi wszystko dobrze?

– Nie sprawdzaliśmy – odpowiedział ze strachem. – Czekaliśmy na was, inkwizytorze.

– W imię Boga, nie możecie być aż tak głupi! – powiedział, zdając sobie sprawę, że słów tych używa ostatnio nazbyt często. – Natychmiast to zróbcie! Tylko założcie coś na dłonie. Starajcie się nie dotykać ich ciał gołymi rękoma.

Usłuchali rozkazów Jacques'a i rychło zaczęli rozbierać cholernice do naga. Zdzierali odzienia, wspomagając się nożykami, nierzadko przy tym raniąc płaczące, przelęknięte kobiety. Siłą ciągnęli do góry ręce, podciągali włosy, obserwując dokładnie szyję, a także rozchylali szeroko uda, próbując znaleźć jakiś znak. Żadna nie miała objawów choroby, poza jedną.

– Postawcie ją na nogi – zarządził Jacques, wskazując zarażoną.

Wykonali polecenie inkwizytora. Ciemnowłosa dziewczyna o śniadej cerze z głęboką raną na policzku, z której na jej piersi kapiała krew, stała wyprostowana, przyglądając się w otepieniu Jacques'owi.

– Jak cię zwa? – spytał Begreon.

– Asma – odrzekła beznamiętnie.

– To nie jest tutejsze imię. Pochodzisz ze Wschodu, mam rację?

Nie odezwała się. Zamiast tego rozpoczęła, w sobie tylko znanym języku, monolog słów, sprawiając poruszenie wśród pozostałych wijących się czarownic.

– Zamknij się, Asma! – krzyczała jedna z nich. – Zginiemy przez ciebie!

Asma nie przestawała, a wiedźmy darły się coraz głośniejszymi i głośniejszymi, aż drewniany kościół zaczął trząść się w posadach. Klecha wraz z wieśniakiem odskoczyli od falującej bezwładnie czarownicy. W pewnym momencie w jej oczach ujrzeli obłęd, sprawiała coraz bardziej demoniczne wrażenie. Zataczała się niczym pijak. Stąpała palcami po podłożu nie po to, by się na nim podtrzymać, lecz żeby wznieść wysoko na dłoniach niewidzialną dla wszystkich energię. Minęła chwila, nim wydarła się po raz ostatni i osunęła na ziemię.

Cisza.

– Co tu się właśnie, do cholery, wydarzyło? – zadrzał przerażony wieśniak.

– Tego jeszcze nie wiem – odparł spokojnie inkwizytor. – Zabierzcie kobietę, spalcie ją żywcem. To zamknij jej usta, a reszcie otworzy.

Wieśniak wraz z księdzem podnieśli Asmę pod ręce, zaczęli ją cucić. Ksiądz spoliczkował parokrotnie opętana, gdy już się wybudziła i ponownie bardziej do siebie niż do zainteresowanych, z pochyloną do klatki brodą, cedziła kolejne słowa. Ni stąd, ni zowąd podniosła zakrwawioną głowę, odwróciła ją w pośpiechu do księdza i napluła do otwartych, ciągle zdziwionych ust.

– Teraz demon jest w tobie – krzyknęła z szalonym uśmiechem.

– Co to ma znaczyć?! – spanikował. – Co ona właśnie uczyniła?!

Uderzył Asmę tak mocno, że ta raz jeszcze straciła przytomność. W strachu wypluwał ślinę, zbierał całe masy flegmy, a nawet darł paznokciami język w obawie przed sam nawet nie widział czym.

– Zaprowadź ją na stos i nie wracaj. Przekląła cię. Nie możesz uczestniczyć w przesłuchaniu ze względu na dobro moje i innych. Przez najbliższe dni nie zbliżaj się do nas. W międzyczasie znajdź i przyprowadź do mnie Tomasza. Wy z kolei – zwrócił się do mężczyzn – nie zbliżajcie się do nich ani do księdza. Po południu spalimy wiedźmę, a gdy to się ziści, wrócimy do reszty czarownic dowiedzieć się, co tu się wyprawia.

– Daję ci ostatnią szansę na wyznanie grzechu – wyrecytował Jacques z rękami złożonymi do modlitwy.

Asmę przywiązano do pionowo wbitego słupa, pod nogami ułożono stos drewna, który przykryto suchym sianem. Sznur krępował ręce, nogi i biodra wiedźmy.

Nie płakała. Z obrzydzeniem obserwowała wiwatujący tłum, podżegający się wzajemnie do plucia, krzyków, wyzwisk czy rzucania w nią drobnymi przedmiotami. Nie dała się złamać.

– Asmo! Spytałem po raz ostatni. Czy chcesz wyznać swoje grzechy, uratować duszę przed wiecznym ogniem piekielnym? – ponowił pytanie. – Być może Bóg w swojej dobroci wybaczy ci twoje występki! Wyrzeknij się szatana!

– Przeciwno mojemu Bogu nie zgrzeszyłam. Kim jest twój Bóg, prowadzący ludzi na takie męczarnie? – spytała pewnie.

– Ona dalej bluźni! – rzucił ktoś z tłumu.

– Spalić wiedźmę! – wołali wszyscy.

– To nie Bóg cię tutaj doprowadził, lecz szatan zatruwający twoją duszę. Nie pozostawiasz mi wyboru – odparł, po czym zwrócił się do podnieconej

gromady. – Ta oto kobieta bluźniła w obcym języku, rozprawiała o demonach i zbierała się z innymi czarownicami kumającymi się z diabłem. Zgodnie z wolą Kościoła w imieniu Jezusa Chrystusa i wszystkich Świętych skazuję ją na wieczne potępienie, a rozpocznie się ono od płomieni, które już za chwilę dadzą nam przedsmak tego, co czeka po drugiej stronie! Podpalić stos! – rozkazał.

Przez długi czas Asma nie krzyczała ani nie walczyła. Za wszelką cenę próbowała ukazać dumę i brak trwogi przed nadchodzącym bólem i nieodwracalnym końcem istnienia. Języki ognia smagały ją po stopach, wpierw nieśmiało niczym hulające na wietrze kłosa zboża, następnie – choć bez przekonania – wzbijały się wyżej i wyżej, przypalając skórę do krwawych rumieńców. Nogi stawały się czerwiejsze, leniwie przeistaczały się w spaloną suchą czern. W powietrzu unosił się zapach palonych włosów i skóry. Dopiero pod koniec, kiedy Asmę opuścił racjonalny umysł, a w jego miejsce pojawił się obłęd gehenny, którego nie była w stanie okiełznać, rozpoczęła swój agonalny skowyt. I właśnie wtedy, kiedy ona zaczęła wrzeszczeć, tłum przestał. Uspokoił się. Jakby przejęła wszystkie głosy gapiów, połączyła je w jeden i wypuściła z płuc ryk tak potężny jak trąby jerychońskie. Swój lęk, swoją gorycz przeniosła na patrzących. Publiczność zamarła albo z powodu strachu przed podobną śmiercią, albo z wątpliwości w słuszość swoich słów wyrzucanych raptem przed kilkoma minutami. Ktoś z tłumu zwymiotował.

Całe zdarzenie na polecenie inkwizytora obserwowała reszta czarownic. Część z nich płakała na widok odchodzącej przyjaciółki, inne w przygnębieniu odwracały wzrok. Tylko jedna zdawała się równie dumna jak Asma na początku ceremonii. I to od niej zaczęły swoje przesłuchanie, pomyślał Jacques, który skrycie zerkał na dziewczynę.

Katarzyna zwrócona tyłem do wejścia nie mogła zauważyć wchodzącego Jacques'a. Mimo to zbudził ją skrzypiący dźwięk otwieranych starych i zbutwiałych drzwi budynku, dawno zapomnianego przez stolarza. Otulony w płaszcz, z rękoma schowanymi w rękawach oraz nałożonym niemal na nos kapturem do złudzenia przypominał dobrodusznego mnicha. Jednakże wystarczyło słowo, które brzmiało niczym świst wiatru w burzową bezgwiezdną noc, by pojąć, iż ma się do czynienia z żarliwie wierzącą w swoje prawdy kreaturą, skrywającą się pod postacią człowieka. Pogwizdując pod nosem, spacerował wokół podrapanych, potłuczonych, zziębniętych i wycieńczonych kobiet.

– Proszę – odezwała się błagalnym tonem szczupła dziewczyna – daj nam wody.

– Wody? To diabeł nie jest w stanie zaspokoić waszych pragnień? – szydził. – Smutne, nieprawdaż?

– Bez wody nic ci nie powiemy – mówiąc to, chciała przekonać bardziej siebie niż Jacques’a.

– Powiecie, powiecie, a zacznę od...

Wyjął dłoń z rękawa i palcem wskazującym zaczął tworzyć w powietrzu figury o kształcie spłaszczonego koła, udając wyliczankę. Zatrzymał się na Katarzynie.

– Od ciebie, moja droga.

Katarzyna podniosła zabiedzoną głowę, prychnęła i wróciła do swojej pozycji.

Jacques był człowiekiem spokojnym, ale na pewno nie cierpliwym. Zwinnym susem w ułamku sekundy zjawił się przed dziewczyną, ich nosy niemal się stykały. Wyszczrzył zębiska jak upiór, oplótł jej szyję długimi jak żmije palcami i podniósł ją, nie męcząc się przy tym ani trochę. Zajrzał srebrnymi ślepiami prosto w jej oczy, aż do wnętrza, do duszy, i gdy tylko ujrzał to, na co czekał, czyli panikę, jaką odczuwa porzucone ciało, rzucił ją na zimną posadzkę z dala od jej kompanek.

– Wstań – poprosił.

Uczyła to szybciej, niż mógł przypuszczać. Widmo, jakie przed minutą ujrzała, nakazywało jej słuchać rozkazów wydawanych przez zabójcę Asmy. Przysunął jej stołek wraz z odrobiną wody w bukłaku.

– Powiesz mi, co chcę wiedzieć. Każdy mówi. Istnieje duża szansa, że uratujesz siebie oraz swoje przyjaciółki. Warunek jest jeden. Nie kłamiesz, bo wnet rozpoznam kłamstwo. Czy to jasne?

Skinęła głową.

– To dobrze, że się rozumiemy. Jak się nazywasz?

– Katarzyna – odparła, siadając na krześle.

– Piękne imię – pochwalił. – Powiedz, proszę, co wyprawiała tutaj twoja przyjaciółka Asma.

– Nie mam pojęcia – odparła bez wahania Katarzyna.

– Spytam jeszcze raz, następnego ostrzeżenia nie będzie. Jakich sztuczek użyła?

– Kiedy my naprawdę nie wiemy. Odbiło jej. To znaczy tak nam się wydaje. Była chora, dlatego zaczęła biegać jak szalona, wygłaszała modły,

których nie rozumiemy.

– Nie mam powodów, by ci ufać – powiedział, krzyżując ręce na piersi.

– A ja nie mam powodów, by kłamać. Chcemy stąd wyjść, niczego złego nie zrobiłyśmy.

– Nie tobie oceniać, co jest złe, a co dobre.

– Za to tobie wolno palić, kogo zechcesz – odezwała się jedna z dziewczyn siedząca w grupie.

Jacques nie spostrzegł która.

– Takimi słowami nikomu nie pomagacie. A już na pewno nie sobie. – Wrócił do Katarzyny. – Powiedz, dlaczego się tu znalazłyście.

Dziewczyna spojrzała na leżące na ziemi pozostałe czarownice, które mimo wcześniejszego zmęczenia energicznie kręciły przecząco głowami.

– Nie mogę ci powiedzieć – rzekła z nieskrywanym żalem.

– Wiesz, jak to się skończy. Wystarczy, że kiwnę paluszką i ogień znów zapłonie.

– Nic ci nie powiem – powtórzyła, tym razem z większym przekonaniem.

Jacques wstał. Podszedł do czarownic i nakazał się przedstawić. Nie wiedząc, co się dzieje, niechętnie podawały swe imiona. Czekał na znany głos, ten sam, który przed chwilą odważnie zarzucał Jacques'owi palenie ludzi wedle jego woli. Usłyszawszy zachrypnięty głos, wyszarpał z kręgu dziewczynę i ostrym jak brzytwa sztyletem zadał jej kilkanaście ciosów w brzuch. Mięśnie kobiety spinały się i rozluźniały. Posadzka w mgnieniu oka zlała się krwią, która wpływała między palce gołych stóp siedzących czarownic. Rzucił wiotkie ciało kobiety prosto w kałużę. Uderzając o ziemię, rozbryznęła maź, ochlapując twarze zatrwożonych wiedźm.

Nikt nie był w stanie otworzyć ust. Nikt prócz Jacques'a, który – opanowany – wrócił na swoje miejsce, wytarł ciepłe od wnętrzości narzędzie w odzienie Katarzyny i rzekł:

– Jak będzie? – Uśmiechnął się. – Porozmawiamy?

– Ale... Jak... Jak mogłeś? – Patrzyła z niedowierzaniem na ciało przyjaciółki.

– Chciałem, by nasz dialog nabrał nieco rozpędu. Jak widzisz, cechuje mnie wewnętrzna harmonia, równowaga i pełna samokontrola. Jestem jednak nieugięty w kwestiach czasu. A tego ostatnio mi brakuje. – Pochylił się nad Katarzyną i zaryczał: – Albo niezwłocznie powiesz mi, co chcę wiedzieć, albo wyrznię was jak psy! Jedną po drugiej. Jesteście jak gęsie pióro spadające z dłoni. A ja mogę być dla was lekkim wiatrem,

pozwalającym wam unosić się długo w powietrzu, byście mogły cieszyć się światem. Mogę też stać się huraganem i z całą siłą powyrywać wasze chorągiewki, a wasza stosina uderzy o ziemię, kończąc wasz żywot w ułamku sekundy. Dlaczego się tu znalazłyście?

Przez dłuższą chwilę panowała cisza. Dopiero Jacques, odsuwając stołek spod siebie, wystraszył Katarzynę, zachęcając ją do mówienia.

– Bądź ze mną szczery – rozpoczęła. – Czy jeśli wyjawię całą prawdę, możemy liczyć na uwolnienie?

– Na uwolnienie? – spytał z rozbawieniem. – Wszystko zależy od tego, jak wygląda prawda. Jedyne, co mogę ci zagwarantować, to sprawiedliwy osąd.

– Sprawiedliwy osąd? Co to oznacza?

– Oznacza to mniej więcej tyle, że będziecie miały prawo się bronić. O ile sama prawda was nie pogrąży.

– I tego właśnie się boję. Bo prawda może być różnie oceniana.

– Nie mam zamiaru dywagować z tobą na temat interpretacji tego, co usłyszę. Daję wam cię nadziei na dłuższe życie. Pozwalam ci obronić siebie i twoje towarzyszki, choć równie dobrze mógłbym spalić was na jeszcze żarzących się drwach Asmy. Moja cierpliwość powoli się kończy, ale chcę dowiedzieć się, co wydarzyło się w tym przeklętym miasteczku. Nieczęsto słyszy się aż o dziewięciu wiedźmach działających razem.

– Nie jesteśmy żadnymi wiedźmami – oburzyła się Katarzyna.

– To jest twój dowód? Twoje słowa? Przeciwno słowom księdza i pozostałych?

– A co sprawia, że słowa naszych oskarżycieli są więcej warte niż nasze?

– Przede wszystkim widział was ksiądz, sługa boży. Ponadto Asma nie pozwoliła mi zwątpić w wasze diabelskie kontakty. No i dodajmy do tego brak Tomasa, waszego głównego oskarżyciela.

– Tomasz zniknął dopiero, kiedy nas schwytano. Potwierdził to również ksiądz. Asma mówiła w swoim ojczystym języku. To, że go nie rozumiemy, nie oznacza, że jest mostem do piekieł.

– Jaką masz obronę na to, co widział ksiądz na wzgórzu?

– Nie mam. Jest to prawdą – oznajmiła.

– Uprawialiście seks?

– Tak. – Spuściła głowę.

– Powinnaś więc wiedzieć, że sodomia również jest karana.

– Być może. – Wzruszyła ramionami. – Natomiast nie jesteśmy wiedźmami.

– Jak wytłumaczysz oskarżenia mówiące o wzniecaniu ognia, tworzeniu wielkich niczym kule iskier oraz dymu czarnego jak smoła?

– Dorzucaliśmy do ognia suche igły lub mokre liście. Nie trzeba do tego czarów. A ksiądz widział to, co chciał zobaczyć.

– Nawet jeśli to wszystko, co mówisz, jest prawdą, i tak zginiecie. Za nieobyczajną seksualność! Seks tylko między kobietami jest zakazany. Zgodnie z twoją prośbą o sprawiedliwy osąd zmuszony jestem do oskarżenia was o spółkowanie w gronie kobiet, za co grozi wam kara śmierci.

– Nie do końca tak było – wykrzyknęła jedna z dziewcząt.

– Co ona ma na myśli? – zwrócił się do Katarzyny.

– To, że nie spałyśmy same – uśmiechnęła się. Czuła, że uda im się przekonać inkwizytora.

– A z kim? – zdziwił się.

– Z Tomasem.

Jacques nie sprawiał wrażenia zaskoczonego. Przynajmniej nie dał po sobie tego poznać.

– Czy był z wami tej nocy, w której was pochwycono? – kontynuował przesłuchanie.

– Tak.

– Dlaczego ksiądz o tym nie wspomniał?

– Bo go nie złapali – odrzekła pewnie. – On przyglądał się nam, jak się rozbierałyśmy i robiłyśmy nastrój. Zanim dołączył do nas, najwyraźniej musiał coś usłyszeć, bo zdążył zbiec.

– Jak to się rozpoczęło? Mężczyzna z dziewięcioma kobietami?

– Przypadkiem, jak większość rzeczy w życiu.

– Och, nie. – Pokiwał palcem. – Przypadki nie istnieją.

– Asma. To ona go tu sprowadziła, będę się upierać, że przypadkiem. My spotykałyśmy się tam same. Nie miałyśmy mężów, choć Asma mówiła, że spotyka się z kimś od dłuższego czasu. Najwyraźniej ją śledził. Upiłyśmy się i jakoś się to zaczęło.

– Hm – zastanowił się Jacques. – Muszę przyznać, że twoja historia, choć zawiera kilka luk, jednak ma sens. A to wskazywałoby, że możecie być niewinne. Jeśli tylko potwierdzi to Tomas, będziecie wolne.

Katarzyna wypuściła z płuc powietrze, uśmiechnęła się do związanych przyjaciółek. Te odwzajemniły niezmierną radość, część z nich rozpląkała się na myśl o rychłym wyjściu.

Do kościoła wbiegł poznany rankiem mężczyzna i zawołał Jacques'a na zewnątrz. Inkwizytor związał Katarzynę, po czym udał się do drzwi. Mężczyzna był przynajmniej o głowę niższy od inkwizytora, jednakże zdecydowanie bardziej umięśniony – przypominał zbitą, chodzącą skałę. Bez zbędnych przywitań i ukłonów wieśniak zaczął:

– Znaleźliśmy Tomasa. – Mężczyzna oddychał ciężko.

– To świetna informacja.

– Nie do końca – wycedził przełknięty.

– Nie żyje – zgadł Jacques.

Wieśniak tylko kiwnął głową.

– Wiadomo, jak umarł?

– Zaraza – odparł bez ogródek.

– To pewne?

– Sam może inkwizytor zobaczyć, ale czarne palce, opuchlizna i krew nie pozostawiają wątpliwości.

– Gdzie znajdzie księdza? Muszę z nim porozmawiać.

– Jest przy ciele Tomasa wraz z medykiem.

– Prowadź.

Ciało Tomasa leżało na boku przytulone twarzą do chaty należącej – jak się okazało – do Asmy.

– Najwyraźniej tutaj spędził ostatnie dni – rzekł ksiądz. – Po złapaniu kobiet nikt nie przychodził do domu. Jakim cudem on się tutaj znalazł?

– Zdaje się, że znam odpowiedź na to pytanie – odparł Jacques.

– Jest coś jeszcze.

– Mów – nakazał inkwizytor.

– Znaleźliśmy notkę. – Wydobył małe zawiniątko i podsunął je w stronę Jacques'a. – Miał ją w sakiewce.

– Co jest w środku?

– Nie otwierałem. Czekałem na inkwizytora, drogi panie.

Nim wziął do ręki wiadomość, owinął dłonie szmatką. Zadał jedno pytanie księdzu, podziękował za wszystko i oddalił się od trupa. Przeczytał w myślach treść spisaną przez Tomasa. Informacja była krótka i rzeczowa, bo i skrawek materiału, na którym zapisał swoje ostatnie słowa, nie był za duży.

Nagle wszystko stało się jasne.

Wrócił ponownie do dziewcząt, lecz nie miał zamiaru od razu informować kobiet o liście. Wkroczył z uśmiechem do środka, lustrując wzrokiem Katarzynę. Usiłował ujrzeć choćby okrusz wątpliwości na jej twarzy. Lecz wiedźma, bo na pewno nią była, nie dawała po sobie niczego poznać.

– Tomas potwierdził waszą niewinność – rzucił w końcu.

– Tak? – odparła wyraźnie zaskoczona dziewczyna.

– Oczywiście. Spiszemy tylko wasze zeznania raz jeszcze i będziecie wolne.

– Ach. O! Dobrze. Od czego zacząć? – spytała Katarzyna.

– Najlepiej od znajomości Asmy i Tomasa.

– Nie rozumiem.

– Myślę, że bardzo dobrze rozumiesz. To ona rzuciła na niego klątwę.

– Co? Nie! Jaką klątwę?! To żadna klątwa! – wściekała się.

– Więc jednak wiesz, o czym mówię.

Z Katarzyny wyraźnie uszły wszystkie siły. Cała energia, jaka przed momentem pozwalała wierzyć jej w rychłe uwolnienie, ulotniła się. Ramiona zapadły się, zęby zacisnęły, a pięści spoczęły na kolanach. To był koniec, miała tego świadomość i nic już nie mogła zrobić.

– To nie jest żadna klątwa – odezwała się wreszcie.

Jacques nie miał zamiaru przerywać Katarzynie.

– To jakaś cholerna choroba, nie mamy z nią nic wspólnego! Nie okłamałam cię, a na pewno nie we wszystkim. Spotykałyśmy się tam i tak, uprawiałyśmy seks. Same, bez obleśnych mężczyzn! Ale Asma... Nie wystarczałyśmy jej. – Katarzyna poczerwieniała ze złości. – Spotykała się z nim po kryjomu. Przyznała się nam, kiedy było już za późno, kiedy dopadła ją choroba, a że żadna z nas nie miała objawów, to pewne było, iż to on ją zaraził! Wstrętny brudas! I tak, w ten dzień, kiedy nas złapano, musiał ją śledzić, trafiając do nas, na wzgórze. Zrobił jej wyrzuty jak jakiś zazdrosny mąż. Asmie zrobiło się przykro, była załamana, pojęłyśmy, że się zakochała. Nakazałyśmy jej go przepędzić, tym bardziej że pokazała nam pierwsze objawy choroby, mówiąc, iż Tomas ma podobne na dłoniach, aczkolwiek znacznie większe. Tomas, ujrzawszy nas na wzgórzu razem, wściekł się. Zaczął wyzywać Asmę od wiedźm i czarownic. I wtedy musiał na nas donieść. I jak sam widzisz, może i zgrzeszyłyśmy, sypiając ze sobą, ale żadna z nas nie jest wiedźmą.

- Tomas ma na ten temat inne zdanie.
- Tomas nie żyje. Nie jestem idiotką.
- Czyli potwierdzasz wasze kontakty z diabłem?
- O czym ty gadasz!? Jakie kontakty?
- No bo skąd wiedziałybyś, że Tomas nie żyje!?
- Bo wspomniałam ci, że go widziałam – krzyknęła. – Miał czarne paluchy, obrzęki na szyi! Musiał umrzeć!
- Ale zdążył przekazać, żeście odprawiały czary!
- Słucham?! To... to nieprawda!
- Ponownie mnie okłamałaś! Asma zaraziła się od Tomasa, to prawda, lecz wy wiedziałyście o tym wcześniej! Spotkałyście się na wzgórzu nie po to, żeby uprawiać miłostki w damskim gronie, ale miałyście zamiar uzdrowić Asmę jakimiś piekielnymi sztuczkami. I to ujrzał Tomas, natychmiast donosząc duchownemu!
- Co nam zostało?! – poddała się. – Wszyscy w Valence padali jak muchy. Kiedy tylko dowiedziałyśmy się, co grozi Asmie, postanowiłyśmy działać. Za wszelką cenę starałyśmy się uratować naszą przyjaciółkę!
- Oddając duszę diabłu?! – wydarł się.
- To były zwykłe modlitwy! – krzyknęła głośniejszym głosem od Jacquesa.
- To mówcie je ponownie, bo jutro zostaniecie spalone żywcem!

W samo południe miasteczko w połowie wybite przez zarazę zebrało się na placu, w miejscu, gdzie dzień wcześniej spalono Asmę. Do słupów przywiązano siedem żywych dziewcząt wraz z truchłem zasztyletowanej przez Jacques'a wiedźmy.

On sam obserwował całe zdarzenie z oddali. Siedział na koniu na pobliskim wzniesieniu, podobnym do tego, na którym dziewięć młodych i pięknych dziewcząt wydało na siebie wyrok. Dostrzegał jak duchowny, któremu zapewne zostały ostatnie dni życia, odprawia modlitwy, kreśli w powietrzu znaki krzyża, a następnie podpala stos, wywołując niezmierną radość gapiów, wierzących, że ta chwila uchroni ich od kolejnego żniwa czarnej śmierci. Utwierdziwszy się w przekonaniu, że czarownice wyzionęły ducha, wyciągnął kartkę, jaką pozostawił Tomas. Rozłożył ją i przeczytał na głos.

Podczas gdy ja oddałem serce Asmie, ona ukochała diabła. Skoro po śmierci równać się z lichem nie mogę, to przynajmniej na ziemi jej nie posiadzie. Niech Dom Boży pozna prawdę, że ma ukochana nocami spółkuje z diabłem.

Tomas

Rozdział VIII

Bastian już jako dziecko przysparzał kłopotów nie tylko rodzicom. Sąsiedzi nienawidzili go bardziej niż ogromnych podatków i skakali z radości, gdy tylko opuścił Nimes. Jeden z sąsiadów podobno wyprawił nawet ucztę z tej okazji. Nim jednak się to stało, napsuł sporo krwi potulnym do czasu mieszkańcom. Problemy rozpoczęły się od samych narodzin. Matka kilka dni starała się wydać go na świat. Niestety jego ciało przekręciło się do góry nogami i z uporem trzymało się wnętrza, nie chcąc ujrzeć światła. Gdy już się udało wydobyć różowe ciało na zewnątrz, długo nie oddychał. Medyk wciskał do środka znamię na jego klatce piersiowej, aż usłyszał, że kwili. W końcu rozplakał się, co rodzice uznali za cud, który później zmienił się w udrękę. Jak opowiadała jego matka, nie chciał spać ani jeść i płakał bez przerwy. W dzień i w nocy. Gdy tylko zaczął chodzić, ciągnęło go do niebezpiecznych miejsc, chwycił kuchenne noże, podchodził do paleniska. Raz nawet dziwnym trafem wyszedł na zewnątrz i siedział pod koniem, który w każdej chwili mógł go zdeptać. Lata leciały, a on stawał się wrzodem na tyłku dla mieszkańców Nimes, zwłaszcza dla swoich rówieśników. Zaczęło się niewinnie – od krzywdzenia pomniejszych zwierząt. Z wiekiem stawał się coraz bardziej brutalny. Łapał ptaki i obcinał im skrzydła. Kotom i psom wyłamywał tylne łapy. Wracając myślami do tych chwil, starał przekonać sam siebie, że robił to w jakimś celu: aby sprawdzić, jak zachowują się zwierzęta bez swoich głównych atrybutów. Jednak to nie była prawda. Robił to tylko dla przyjemności. Dopóki atakował bezpieczne zwierzęta, nikt nie zwracał na to szczególnej uwagi. Choć jak sądził, nikt nie chciał niczego zauważyć. Gdy jednak doszło do zabijania świń czy owiec należących do sąsiadów, zaczęto donosić o jego występkach rodzicom. Matka wybaczała mu każde przewinienie, lecz nie ojciec, bo mimo pieniędzy, obycia i wysokiej kultury, jaką się chwalił, w kwestiach wychowania był bezwzględny. Kary cielesne, jakie stosował, nie były wyszukane, lał go czym popadnie i co

akurat miał w rękach. Nie zwracał uwagi na jego wiek czy niewielką wagę, jaką się wtedy odznaczał. Katował go nierzadko tak mocno, że tracił przytomność. Gdy ją odzyskiwał, wychodził z domu traktować w podobny sposób równolatków. I trwałoby to pewnie jeszcze długo, gdyby nie pewien ojciec pobitego syna. Odwiedził jeden z przybytków Boga, informując o diabelskim pomioście zamieszkującym Nimes, którego ani sąsiedzi, ani rodzice nie są w stanie powstrzymać przed okrucieństwem, jakie czyni po ulicach. Kościelni lubowali się w takich sprawach i ojciec musiał wydać go do klasztoru, by ci spróbowali wykorzenić z niego piekielne moce. To właśnie tam poznał Casimira. Polubił go od samego początku. Casimir miał zbliżone upodobania, lecz swoim fantazjom oddawał się po zmroku. To on nauczył go kontroli nad emocjami i cierpliwości, gdyż – jak uważał – zawsze nadchodzi odpowiedni moment i warto na niego czekać, choćby miało to nastąpić późno. Chwila przyjemności warta była każdej zwłoki.

Bastian nie miał tyle szczęścia, co jego przyjaciel, złapano go podczas jednej z kradzieży. Zamiast ucinać mu rękę, wydali go z klasztoru z zakazem powrotu do swojej miejscowości, a za złamanie ugody zagrozili śmiercią. Nie odważył się komunikować z rodziną inaczej niż listownie. Ponadto sam ojciec pozwolił mu na korespondowanie z matką, lecz zabronił jakichkolwiek odwiedzin w Nimes w zamian za wysyłanie złota raz w miesiącu, a finalnie przepisanie na niego całego majątku po śmierci. Ten układ pasował mu idealnie, gdyż dalej bał się ojca, tak jak przerażał go teraz Jacques. Po opuszczeniu klasztoru przysiągł Casimirowi przyjaźń aż po grób i nawiązanie kontaktu po latach, gdy słuch o Victorze – jak się kiedyś zwał – zaginie, a oni będą mogli podporządkować sobie miasta. Przybrał nowe imię Bastian i przed długi czas w samotności przemierzał francuskie prowincje.

Spotkali się po latach, by wspólnie, choć Bastian bardziej w cieniu, niezauważalnie dla kościelnych wysłanników dzielić i rządzić w Awinionie. Casimir ukochał wszystkie piękniejsze płatne damy tego miasta. Odwiedzał je równie często co kościelne mury, twierdząc, że nic tak nie podnieca jak brak opłat za seks, za który wszyscy inni śmiertelnicy muszą płacić. Zdarzało mu się zabijać nierządnicę, ot tak, dla rozrywki. W rękach Casimira byli właściciele burdeli, sparaliżowani strachem przed oskarżeniami o czarnoksiężstwo, niepłacenie podatków czy rozboje, o które inkwizytor mógł się zatroszczyć. Bastian polubił ladacznice równie mocno,

co jego mentor. Oczywiście rezerwowali co urodziwsze tylko dla siebie. A że gusta mieli różne, to i o sporach nie było mowy.

Pewnego razu podczas wieczornej przechadzki napotkali w uliczce cudnej urody dziewczę, które aż szkoda było oglądać w łapskach pijaków mających więcej grosza. Casimir, ciągnąc panienkę za włosy, oddalił się na rozkosze poza mury miasta. Tego wieczoru Bastian śledził Casimira, przypatrywał się, jak ten wpierw długo rozmawia z piękną dziwką, potem ją gwałci, by następnie z sobie tylko znanych powodów ją zasztyletować. Nie obawiał się Casimira, był jego przyjacielem, wyszedł więc z ukrycia i za zgodą inkwizytora zgwałcił truchło. Zabawiał się z nią na tyle długo, by zrozumieć, że seks z martwą kobietą podnieca go znacznie bardziej niż z żywą, odwzajemniającą ruchy kobietą, czemu dał wyraz jeszcze parokrotnie w wesołym i długim życiu. Po całym akcie długo rozmawiali w jednej z karczm, wlewając w siebie litry alkoholu. Trwało to wieki, aż Bastian zbudził się sam przy mokrym od piwka stoliku.

Sprawa zamordowanej młódki została zamknięta jeszcze szybciej, niż ją otwarto. Oficjalnie z braku dowodów. Nieoficjalnie ze względu na stanowisko, jakie piastował Casimir. To on przesłuchał nocnych strażników, a ci nabrali wody w usta.

Nieposłuszeństwo stało się drugim imieniem Bastiana i tak jak za młodu nie słuchał ojca, tak i teraz nie miał zamiaru zrealizować nakazu Jacques'a. Przynajmniej nie od razu. Od Aiglun dzielił go zaledwie dzień spokojnego marszu, toteż tam skierował swojego wierzchowca w celu wyjaśnienia pewnych niedomówień. Za wszelką cenę życzył sobie pozostania niezauważonym, gdyż Jacques zapewne zabiłby go, gdyby tylko dowiedział się o jego wizycie u Babina. Konia przywiązał do drzewa przed miastem po północno-zachodniej stronie. Z Babinem zamierzał spędzić maksymalnie kwadrans. Owinął twarz wełnianą szmatą, przez co przypominał ściganego przez siebie człowieka, skierował się do gospody, mając nadzieję, że właśnie tam dorwie mężczyznę. Tak jak sądził, Babin nalewał miodu jednemu z gości. Z opanowaniem – jak nauczył go Casimir – podszedł do nowego karczmarza i zwrócił się do niego z niebywałym dla siebie spokojem:

– Skoro przywitania mamy za sobą, pozwól za mną na zewnątrz – rozkazał.

Bastian poczuł falę niezwykłego ciepła napływającego do żołądka. Nie rozumiał czemu i dlaczego akurat teraz, ale czuł, że od tej chwili każda

rzecz, jaką uczyni, jakiej się dotknie, będzie szła po jego myśli. Że osiągnie to, czego pragnie. Prędko przekonał się, w jak wielkim jest błędzie.

– Nigdzie z tobą nie wyjdę – odrzekł Babin. Wypiął klatkę, dodając sobie pewności siebie, której do tej pory tak bardzo mu brakowało.

– Wyjdiesz albo gorzko tego pożałujesz.

– Nigdzie z tobą nie wyjdę – powtórzył raz jeszcze.

– Wiesz, co cię czeka, jeśli tego nie zrobisz? – Bastian wbił paluch w klatkę Babina.

– Nic – odparł. – Ponieważ zaraz wykrzyknę, kim jesteś, i zawołam strażników, a z tego, co wiem, Jacques nie chciałby zastać cię w lochach Aiglun, nieprawdaż?

– Minęły raptem dwa dni, a ty jesteś butny jak nigdy dotąd, parchu!

– Może w końcu uwierzyłem w siebie, a może po prostu nie zamierzam wracać do tego, kim byłem! Nigdy więcej. Wolę więc zginąć, ale na własnych zasadach. Zabij mnie tutaj, przy wszystkich – powiedział to głośniej niż sam chciał – lub odejdz i nigdy nie wracaj!

– Dobrze – wzdrygnął się Bastian. – Już, uspokój się. Chcę ci tylko zadać jedno pytanie i nigdy więcej mnie nie spotkasz. – Oprócz ojca i Jacques'a lękał się śmierci. I nie musiała to być śmierć z rąk inkwizytora.

– Dlaczego miałbym ci wierzyć?

– Bo nie masz nic do stracenia. A ja chcę mieć spokój, którego nie da się kupić, nie osiągnę go, zabijając ciebie.

– Co chcesz wiedzieć?

– Co powiedziałaś o mnie Jacques'owi?

– Sądzisz, że, ot tak, powiem ci o naszej rozmowie? Widzę, że straciłeś nie tylko sporo drogi, ale i ubyło ci rozumu.

– Chcę tylko wiedzieć, czy muszę się go obawiać. Tylko tyle.

– Oczywiście, że musisz. Nawet powinieneś i wiedzieć, że gdy tylko skończy z Damienem, to rozliczy się z tobą! Teraz odejdz, jeżeli nie chcesz, bym zawołał strażnika, którego wynająłem, wiedząc, że tu wrócisz.

Do Awinionu Bastian dotarł tuż przed otwarciem bram. Po chłodnej nocy, jaką spędził na gnającym koniu, ogromnie łaknął snu. Sen był mrzonką, ostatnie siły musiał przeznaczyć na odnalezienie Jacoba Rieula. Zastanawiał się, gdzie go szukać. Nie znał Damiena na tyle, by określić jego majątność. Kogo ma pytać? – myślał. Bogaczy? Zwykłych mieszczan? A może dziwki lub żebracy będą w stanie mu pomóc? Pomóc uniknąć czekającej za rogiem kostuchy.

Najlepszą obroną jest atak. Niestrudzony, mozolny, aczkolwiek skuteczny atak. Jak zwykle na idealny moment gotów był poczekać, ponieważ najistotniejszy element rozgrywki już znał – swoich wrogów. Bez pośpiechu rysował w głowie plan umożliwiający mu zniszczenie nieprzyjaciół, a najlepszym pomysłem było skierowanie na siebie dwóch złowrogich armii. Wkupię się w łaski Jacques'a, odnajdując Jacoba, a następnie wystarczy sprowokować inkwizytora, podążającego ślepo na wojnę z Damienem, główkował. Jacques do głupców nie należał, toteż muszę działać z pełną rozwagą, ażeby z powodu własnych czynów nie trafić na szafot. Tylko gdzież mógł znajdować się Jacob Rieul?

I choć ostatnie wydarzenia kompletnie nie szły po jego myśli, to nareszcie uśmiechnęło się do niego szczęście. Pierwszy napotkany rzemieślnik natychmiast wskazał drogę prowadzącą do domu Jacoba.

– Proszę szukać tablicy z dwiema monetami. Tam go panicz zastanie – zapewnił mieszkaniec i dodał: – Przy Garbarskiej.

– Jacob jest garbarzem? – zaciekał się Bastian.

– Był. Teraz zajmuje się lichwą. Ale nie taką żydowską! Swój chłop. Pożycza zwykłym, potrzebującym ludziom.

– To ciekawe. Mieszka sam?

– Z synem, jak ja. Ja mam jeszcze żonę, jego nie żyje od kilku lat. Sam wychowuje młodziana.

Bastian dopiero zauważył dziecko rzemieślnika, które ukłoniło się mu, gdy tylko ich oczy się spotkały.

– Dojrzały? – Wrócił spojrzeniem do właściciela warsztatu. – Syn Jacoba.

– Będzie ze dwanaście, może trzynaście wiosen, podobnie do mojego – odparł siwy mężczyzna. – A coś panicz taki ciekawy?

Bastian tylko machnął ręką.

– Chcesz pan pieniądze pożyczyć? – zapytał. – Bo nie wyglądasz.

– Raczej oddać – skłamał Bastian.

– Rozumiem. Zatem już wiesz, gdzie szukać.

– Dziękuję ci, dobry człowieku. Proszę. – Rzucił mężczyźnie miedziaka. – To za twoją pomoc.

Wejścia pałacu papieskiego strzegł ten sam strażnik, co kilka dni wcześniej. Bastian nie przywitał się, minął go, udając się prosto do pochłoniętego modlitwą kardynała, klęczącego pod jednym z obrazów Jezusa Chrystusa łamiącego chleb swoim wiernym.

– Niech będzie pochwalony! – odezwał się donośnym głosem Bastian, stawiając staruszkę na równe nogi.

– Jezus Maria! – wykrzyczał Pierre Fillion. – Chcesz, żebym zawału dostał?!

– Przepraszam, kardynale. – Zgiął się wpół w ukłonie. – Jest sprawa niecierpiąca zwłoki.

– Wystarczyło głośniejsze odezwać, a zwłoki miałbyś przed sobą.

– Humor kardynała nigdy nie opuszcza.

– Mów, z czym przychodzisz.

Streścił ostatnie dni, omijając niewygodne dla siebie kwestie. Opowiedział o Babinie oraz sytuacji, jaką zastał na północ od Awinionu, i oberżyscie, który podał nazwisko Jacoba Rieula. Napomknął też o swoim sporym udziale w poznaniu prawdy i obietnicy, jaką złożył Jacques'owi, iż dopilnuje szybkiego schwytania Jacoba. Staruszek słuchał wydarzeń, prowadząc go do strażników. Gdy dotarli do chevalierów, Bastian skończył opowieść.

– Jordi, to jest pan Bastian, zresztą poznałeś go już. Wraz z Anthonym weźmiecie jeszcze dwóch strażników i czym prędzej udacie się do miasta, by aresztować mężczyznę, którego wskaże wam Bastian.

– A o kogo chodzi? – próbował dowiedzieć się Jordi.

– Nie zadajecie pytań, słuchacie Bastiana. Czy to jest jasne?

– Oczywiście, kardynale – zapewnił, prostując się. – W imię Boga.

– No to już – pospieszył. – Anthony, przyprowadź dodatkowe straże.

Anthony zniknął za rogiem i już za moment prowadził za sobą młodych wartowników. Nie zwlekając ani chwili, ruszyli do domu Jacoba.

W tym samym czasie rzemieślnik obserwował oddalającego się Bastiana. Zauważył, iż ten wcale nie zmierza w stronę Garbarskiej. Postanowił więc pójść do Jacoba, by powiadomić go o zaistniałej sytuacji. Zachował czujność, dzięki czemu udało mu się bezpiecznie dotrzeć do chaty przyjaciela.

– Witaj, Jacobie – powiedział zziębnięty.

– Mathieu, stary druhu – przywitał go uśmiechnięty od ucha do ucha Jacob. – Nie masz nic do roboty?

– Aż za dużo, przyjacielu, aż za dużo. Gdzie twój syn?

– Czemu pytasz? Poszedł na targ po ryby. Nie wyglądasz dobrze, coś się stało?

Jacob podszedł do Mathieu, chwycił go pod rękę i usadowił na wygodnym krześle.

– Sam nie wiem, może już rozum nie ten, ale jakiś podejrzany człek pytał o ciebie.

– Może potrzebuje pieniędzy? – starał się uspokoić swojego znajomego.

– Twierdził, że zamierza oddać.

– O, to chyba dobrze – uśmiechnął się ponownie. – W czym więc problem?

– Och, coś mi tu śmierdzi. – Mathieu podrapał się po nosie, jak gdyby faktycznie doszły go przykre zapachy. – I nie mówię o urynie leżącej się po ulicach. Ten facet pytał o twojego syna. I w ogóle był jakiś dziwny. Mówił, że chce oddać pieniądze, ale nie miał pojęcia, gdzie cię znaleźć. No i w zasadzie to nawet nie wiedział, że pożyczasz pieniądze. Dlatego postanowiłem przyjść.

Jacob wnet pomyślał o liście otrzymanym od Damiena. Zastanawiał się, czy dorwano jego przyjaciela i czy teraz zarzucają sieci na niego. A może wprawdzie trafili tutaj? Z rozważań wytrącił go głos gościa:

– Dobrze, że przyszedłem, czy wariuję na stare lata? – próbował upewnić się Mathieu.

– Bardzo dobrze. – Poklepał przyjaciela po ramieniu. – Uciekaj do siebie, ja biegnę po syna.

Mathieu, utykając, wracał do swojego warsztatu, gdy dostrzegł czterech jadących konno żołnierzy i towarzyszącego im Bastiana. Ten zauważył Mathieu oraz to, że unika kontaktu wzrokowego. Kopnął więc wierzchowca, przyspieszając jego bieg. Kiedy dotarł do domu Jacoba, nie zastał w nim żywego ducha. Nie zdziwiło go to. W pośpiechu cofnął się do rzemieślnika dochodzącego dopiero do warsztatu. Zbliżył się, po czym z całych sił pchnął nogą w plecy Mathieu. Kaleka upadł na twarz.

– Gdzie on jest? – wrzeszczał Bastian. – Co mu nagadałeś, niedołęgo?!

– Nie wiem, o czym mówisz – odparł, trzymając się za szczękę.

Bastian zeskoczył z konia, lądując wprost na chorej nodze Mathieu. Ten zawył z bólu, a jego głos rozniósł się po okolicy.

– Masz jedną szansę!

Wokół zebrało się kilkoro gapiów. To nie przeszkadzało Bastianowi pochłoniętemu furją, jakiej do tej pory u siebie nie widział.

– Gdzie on jest, do diabła?!

– Nie mam pojęcia – rzucił z cierpieniem w głosie. – Przysięgam!

Nagle z warsztatu wybiegł młody chłopiec. Bastian dostrzegł okazję, której nie miał zamiaru zmarnować. Wyciągnął z pochwy Jordiego miecz, a następnie ruszył naprzeciw chłystkowi.

– Zostaw go! – wykrzyczał syn rzemieślnika.

– To jeszcze dzieciak! – wtrącił donośnie Jordi.

– Masz słuchać moich rozkazów, jasne?

Jordi nie odpowiedział.

Bastian złapał młodego za kark i rzucił nim o ziemię. Chłopiec uderzył nosem o wystający kamień, a pęknięcie usłyszeć musiał jego ojciec oraz ludzie znajdujący się dwie ulice dalej. Huk gruchotanych kości wywołał łzy na twarzy chłopca i jego ojca. Bastian postawił stopę na plecach przerażonego dziecka, zbliżył ostrze do jego karku i delikatnie smagał kręgi, tworząc na szyi płytkie cięcia.

– Skończyłem pytać, teraz grozę. Błyskawicznie udzielisz mi odpowiedzi albo pożegnaj syna. Gdzie jest Jacob?

– Pobiegł na targ po syna – odparł bez wahania.

– Ty – zwrócił się do jednego ze strażników Bastian – pilnuj ich, doprowadź do lochów za pomoc zbiegowi. Reszta na konie. Słyszeliście, gdzie jedziemy. Macie złapać Jacoba żywego. Jego syna również.

Bastian prędko wypatrzył wysokiego mężczyznę z dłonią położoną na ramieniu syna snujących się ostrożnie po targowisku. Wskazał strażnikom cel, a ci, nie zważając na wąskie przejścia między straganami oraz plebs krzątający się pośród wystawców ruszyli z kopyta na lichwiarza. Ojciec wraz ze swoją pociechą niczym spłoszona zwierzyna rozbiegli się w dwie strony, taranując przechodniów. Jacob dobiegł do stoiska lśniącego od zbroi i kolczug, lecz to miecz zakończony zdobieniami w kształcie gryfa przykuł jego uwagę. Pochwycił rękojeść i podniósł go na wysokość klatki piersiowej. Nogi rozsunał, uginając je lekko w kolanach, przygotowany na siłę rozpędu, jaka zaraz miała go trafić. Pewność siebie Jacoba nie wzbudziła wątpliwości w opancerzonych agresorach wciąż galopujących w jego stronę, zmuszając przy tym tłum do rozproszenia się we wszystkich kierunkach. Straże pilnujące targowiska wnet pojęły sytuację, otaczając rynek możliwie najszczelniej. Jordi jako pierwszy znalazł się na równi z celem. Nie mógł jednak minąć żywej przeszkody, koń stanął bowiem bokiem do Jacoba, niejako chroniąc go. Jordi zaatakował. Miecz strażnika zatrzymał się na stali przeciwnika, który w mgnieniu oka puścił rękojeść swojej broni, chwycił za nogawice atakującego i zrzucił go z konia. Jeszcze

podczas spadania Jordi oberwał przystrojoną zielonym sygnetem pięścią prosto w twarz. Nim doleciał do ziemi, stracił przytomność.

– Złapcie go, do cholery! – Bastian był czerwony ze złości.

Za Jordim ustawił się Anthony, który zszedł z konia. Poklepał swojego wierzchowca po zadzie, a ten wraz z koniem Jordiego pogalopował w popłochu, niszcząc część straganów. Nim Anthony ruszył do ataku, wyczekał, aż drugi ze chevalierów zajdzie Jacoba od tyłu. Gdy już się to stało, zaatakowali wspólnymi siłami.

Bastian wykorzystał moment i skupił się na uciekającym synu Jacoba. Mijał kupców, którzy z wypiekami przyglądali się tej wyrównanej, choć niesprawiedliwej walce. Z podziwem obserwowali Anthony'ego. Władał mieczem zręczniejsz niż sam Achilles. Jednakże im dłużej trwała walka, tym korzystniejsz prezentował się Jacob. Jakby podczas bitwy uczył się na pamięć ruchów strażników, zamieniając je w swoje atuty. Anthony w bitewnym szale ostro pchnął mieczem. Jacob rzucił się na stragan z warzywami, zręcznie omijając ostrze, które zatopiło się w sercu strażnika stojącego tuż za nim. Pospiesznie, acz niezgrabnie Jacob stanął na równe nogi, gotów do zadania ostatecznego ciosu. Oczami wyobraźni ujrzał spadającą z tułowia głowę strażnika, jednak przed wdrożeniem zamglonej wizji w życie powstrzymał go widok Bastiana trzymającego nóż na gardle jego syna.

– Zostaw go, bo dopadnę i ciebie – zagroził Jacob, jeszcze mocniej ściskając rękojeść ciężkiej broni.

– Jaka to szkoda zabić tak młodego jeszcze chłopca. Chyba nie pozwolisz, by coś mu się stało? – spytał Bastian. – Jesteś dobrym ojcem, prawda?

– Puść go – ostrzegł Jacob. Stanął mocniej na nogach, wyciągnął broń do przodu, ale zdawał sobie sprawę, że musi odpuścić, by uratować syna.

– Zrobię to – odezwał się Bastian – pod warunkiem, że złożysz miecz. Moi ludzie cię aresztują, tylko bez żadnych sztuczek, wtedy ja puszcze twojego syna wolno.

Jacob zastanawiał się tylko przez ułamek sekundy. Następnie wydarł się w niebiosa, rzucił miecz, który odbił się kilka razy od kamiennego podłoża, i wystawił ręce przed siebie, gotów do zakucia w kajdany.

Anthony wraz z dwoma strażnikami ostrożnie otoczyli Jacoba. Jeden z nich trzymał sznur do związania więźnia. Niepewnie, krok po kroku, zbliżył się do Jacoba, wyciągnął napiętą linkę i zaczął ciasno owijać mu

nadgarstki. Następnie dał znak swoim towarzyszom, by go powalili. Bastian, pewny tryumfu, odezwał się wreszcie:

– Głupcze, myślałeś, że pozwolę odejść twojemu synowi?

– Oszukałeś mnie! – wykrzyczał głośno. Wił się wściekle, rozdzierając policzek o małe kamyki. Któryś z żołnierzy, nie szczędząc energii, kopnął go w żebra do utraty tchu.

– Uspokój się – stwierdził z dziką satysfakcją Bastian, głaszcząc chłopca po głowie. – To dla twojego dobra. Wystarczy, że odpowiesz nam na wszystkie pytania i lada dzień będziecie latać wolno jak wiatr. Milcząc, skążesz go na śmierć w męczarniach.

– Pożałujesz tego!

Anthony raz jeszcze kopnął Jacoba. Ciekące łzy i kaszel nie zagłuszyły ostatnich słów Bastiana:

– Nie ty pierwszy mi grozisz i zapewne nie ostatni. Wy – zwrócił się do strażników – do lochów z nim.

Rozdział IX

Damien rzadko miewał sny. Ale gdy już się pojawiały, nigdy nie były tak rzeczywiste jak ten. Widział siebie kroczącego po palących piaskach pustyni. Kręcił się wokół, zastanawiając się, w którym kierunku powinien się udać. Domyślał się, że niezależnie od wyboru, jakiego dokona, kres tej wyprawy jest z góry przesądzony. Mimo butów czuł na stopach palący żar piasku, rozgrzanego od wiszącego w zenicie słońca. Ruszył na południe. Długie minuty zmieniały się w godziny. Myślał nad powrotem, tylko gdzie? Kontynuował podróż, a dzień stawał się gorętszy z każdą sekundą. Najpierw zrzucił z siebie płaszcz, następnie koszulę, aż w końcu pozbył się spodni. W jednej chwili zrozumiał, jak wielki błąd popełnił. Niestety, całe odzienie pochłonęła ziemia. Pojął, że i on się zatapia. Kostki, łydki i kolana zniknęły pod powierzchnią gruntu. Wierzgał nogami, przez co jego ciało jeszcze szybciej się zanurzało. Gdy zakopał się już do klatki piersiowej, koło niego przepłynął ogromny wąż, którego gatunku nie potrafił rozpoznać. To tylko wzmogło w nim panikę, szarpał się jeszcze bardziej. Wpadał niżej i niżej, aż wreszcie piasek dostał się do jego ust i nosa. Kaszlał, starał się wypluć drobne kamyczki, jednak bez skutku. Dusił się i ostatkiem sił przez niezasypane jeszcze oko dojrzał kaskadę wody, która z całą mocą uderzyła go w twarz.

Nad nim stała Veronica z pustym wiadrem.

– Przeraza mnie pan – rzekła wyraźnie zaniepokojona. – Nie wiem, co się panu śniło, i wątpię, by starczyło mi odwagi do wysłuchania tego koszmaru.

Damien – mimo cebrzyka wody, jaki po nim spłynął – nie ruszył się z miejsca. Leżał na mokrym łożu, gapiąc się w wirujący sufit. Wciąż pijany i struty pragnął zapaść się pod ziemię, jak we śnie. I choć nocne rojenie budziło w nim pierwotne lęki, to rozumiał, iż była to odpowiednia kara za wczorajszą zabawę.

– Zwróci się panu? – spytała, jakby słysząc jego myśli. Jej samej także zrobiło się niedobrze.

– Wierzę, że nie. Aczkolwiek ręki uciąć sobie nie dam.

– Nie żałował pan sobie wczorajszego wieczoru. – Szczera do bólu kochanka nie omieszkała mu wypomnieć jego grzeszków.

– Strasznie mi wstyd, że przy pani rodzinie, przy przyjaciółach zachowałem się jak chlewski zwierz.

– Och – uśmiechnęła się uroczo. – Proszę mi wierzyć na słowo, panicz był najtrzeźwiejszy ze wszystkich zebranych mężczyzn. Nawet pan młody wyglądał jak... – szukała odpowiedniego słowa – powiedzmy, że nie wyglądał. Pan, panie Damienie, przynajmniej wyszedł na własnych nogach.

– Żadne to pocieszenie. – Nie krył zażenowania. – Choć moje ciało nie daje wiary pani słowom. Czuję się, jakby w nocy szarpało mnie tysiąc bezpańskich psów. I zapewne wyglądam podobnie.

– Zapewniam pana – zaczęła delikatnie żłobić mięśnie jego brzucha drobnymi palcami – że nie jest tak źle.

– Dla pani dobra radziłbym nie zbliżać się do mnie co najmniej do wieczora, nim wewnętrzne pieśni nie ustaną. Tymczasem udam się na stronę, a następnie doprowadzę do względnego porządku.

– Przygotuję kąpiel. Nic lepiej nie robi na troski żołądka jak gorąca ciecz.

– Jestem dozgonnym dłużnikiem – zapewnił najszczerzej w świecie.

Minęły długie godziny, nim poczuł się lepiej. Spotkali się przed domem, gdzie wspólnie wypili zaparzone przez Veronicę zioła, które momentalnie postawiły go na nogi. Patrzyli po sobie w ciszy, zadając sobie to samo pytanie. A może tylko on się nad tym zastanawiał? Pies

– Nie ulegnij prośbom Karola – zaskoczyła go Veronica. Odstawiła gorący napój i zagarnęła miedziane włosy za ucho.

– Jakim prośbom? – zaciekawił się.

– Po prostu mu odmów – nalegała. – Możesz to dla mnie zrobić?

– Zaprosił mnie na dysputę o podatkach i prawie – wyliczał Damien. – Zapewniam, że nie znoszę daniny równie mocno co ty, droga Veronico, aczkolwiek sama rozmowa o podatkach nie dokłada nam nowych finansowych należności.

Żart nie spotkał się z aprobatą kobiety, naciskała dalej.

– Odmówisz mu?

– Nie zwykłem składać obietnic, nie znając ich powodów.

Damien pomasażował się po burczącym brzuchu.

– Zrób to dla mnie – nie ustępowała w prośbach. – Jeśli choć odrobinę ci na mnie zależy, jeśli w ciągu tego krótkiego czasu, jaki przyszło nam spędzić wspólnie, pomyślałeś o mnie częściej niż o zwykłej przyjaciółce, to nie przystań na propozycję, do jakiej namawiać będzie cię mąż mojej młodszej siostry.

– Twoja osoba jest mi niezwykle bliska, droga pani, ale wolałbym wiedzieć, dlaczego tak gorliwie starasz się mnie odwieść od tej sprawy?

– Wyjaśni ci ją Karol – wypaliła. – I jak znam jego umiejętności negocjacyjne, uczyni to znacznie bardziej przekonująco ode mnie. Co by nie powiedział, nie gódź się, proszę. Zrobisz to?

Obawa, jaka ją przepełniała, wzbudziła w nim troskę. Zbliżył się do Veroniki, objął jej dłonie, ucałował czule i dodał:

– Nie znam przyczyn twoich prośb, jednak daję słowo ich usłuchać.

Veronica wyraźnie rozpromieniła się na wypowiedziane zapewnienia, czuł jednak, że poruszany temat trapi ją bardziej, niż powinien. A może tylko jemu tak się zdawało. Ucałowali się namiętnie, po czym Damien wyruszył do Karola.

Zamek wyglądał jak poprzednio. Jedynie jego wnętrze opustoszało. Karol przywitał gościa z otwartymi ramionami i kieliszkiem wykwińskiego czerwonego wina, tak srodze zachwalanego na przyjęciu weselnym. Przeszli do biblioteczki, w której półki uginały się od nadmiaru zbieranych pokoleniami ksiąg. W centrum jasnego pomieszczenia ustawiono fotel, a jego brązowe skórzane obicie pękało na podłokietnikach.

– Jak ci się podoba mój zbiór? – Wskazał wolną dłonią na woluminy. Drugą uniósł na wysokość brody i przechylił kielich.

– Robi wrażenie. – Damien nie krył podziwu. – Jaka pozycja jest twoją ulubioną?

– Nie dzielę lektur na gorsze i lepsze. Czytam teologów, Biblię, zagadnienia prawne czy matematyczne. Wiedzę lepiej mieć nieograniczoną, czyż nie?

– Jakiej odpowiedzi oczekujesz? – spytał.

– Najszczęśliwej! – odparł bez wahania.

– Całej wiedzy nie posiadasz – przekonywał. – Warto kształcić się w tym, co lubujesz, kochasz i co sprawia ci przyjemność. Lepiej dążyć do tego, by stać się mistrzem w jednej, konkretnej dziedzinie, niżli być przeciętnym w każdej. Podobną zasadą kieruję się w dobieraniu przyjaciół.

– Jakże to?

Karol otarł wierzchem dłoni wilgotne usta i zaciekawiony, zbliżył się do Damiana.

– Wolę mieć tego, na którym mogę polegać dniem i nocą, zamiast setek fałszywych, co przyjdą z pomocą tylko, gdy będą mieli w tym interes.

– Słuszne słowa. Umiar zdaje się dobry w każdej dziedzinie życia. – Podniósł kieliszek w stronę gościa. – Wypijmy więc za prawdziwą przyjaźń.

Damien odwzajemnił toast.

– Dlaczego mnie wezwałeś? – spytał bez ogródek LeBrun.

– Usiądź – zachęcił go Karol, wskazując skórzany fotel.

Damien – umęczony alkoholem, dolegliwościami żołądkowymi oraz płasami z dni poprzednich – nie dał się prosić dwukrotnie. Spoczął w fotelu, który otulił go swą miękkością niczym obłok na niebie. Gotów był zasnąć, natychmiast.

– Wygodnie? – Właściciel domagał się pochwał.

– Niesamowicie – potwierdził Damien, odchylając głowę do tyłu. – Chcesz rozmawiać, rzucając me ciało w chmurę przyjemności. Tak się nie robi. Jak pojmuję, pragniesz uśpić mą czujność.

– Skąd ta podejrzliwość?

Karol Pacal poczuł się wyraźnie urażony. Damien nie przyszedł tu pocieszać pana młodego, więc kontynuował w tym stylu:

– Daj mi odczuć, że się mylę.

Właściciel przysunął skryte w cieniu drugie siedzisko i przycupnął naprzeciwko swojego rozmówcy. Zmarszczył czoło, a palce zacisnęły się na podpórkach fotela.

– Potrzebuję pomocy – rzekł głębokim proszącym tonem.

– I nie chodzi o porady prawne, jak mniemam – westchnął Damien.

– Jesteś mądrym człowiekiem, to już wiem. Pytanie, czyś równie hardy i odważny.

– Honoru dotykasz – zeźlił się. – Nieuczciwym jest postępować w ten sposób. Nieszlachetne odezwy traktuję jak obrazę i honor chowam za kołnierz.

– Masz rację – skarcił się pośpiesznie Karol, kładąc pięść na swej piersi. – Przepraszam, pozwól zacząć od nowa.

– Rozmowy nigdy nie odmówię, choć do działań bezpodstawnych pierwszy nie ruszę – rzekł uroczystym tonem.

– Potrzebuję pomocy – powiedział. – Konkretniej, mój brat.

– I ty, człowiek bogaty, pragniesz mojego wsparcia?

– Żadne pieniądze nie są lekiem na trwogę.

– O jakim strachu prawisz? – zapytał przepełniony ciekawością.

Damien poczuł znane mu, specyficzne mrowienie w okolicach karku wraz z falą gorąca rozchodzącą się po całym ciele. I tylko półmrok panujący w bibliotece pomagał ukryć wypieki na jego policzkach. Uczucie zjawiało się zawsze w sytuacjach intrygujących, niewyjaśnionych, które wręcz domagały się rozpoznania. Takich, które nakazywały opuścić pancerz wygody i skierować się ku większym ideom, ku wyzwaniom nie dla zwykłych śmiertelników pragnących tylko przeżyć do następnego uderzenia kościelnego dzwonu, lecz dla śmiazków gotowych zaryzykować życie w porachunkach o dobro większości.

– Mój brat jest równie majętny jak ja – mówił Karol. – Oczytany pewnie jeszcze bardziej, a i on zaczyna tracić zmysły. Zainwestował w ziemię na północy, sprowadził ludność pragnącą godziwszego życia, próbuje prowadzić tam żywot w zgodzie z Kościołem i podatkami. Tereny są bardzo żyzne, wyśmienite do uprawy roślin, wypasu zwierząt. Jednak w owej wiosce mają miejsce niewyjaśnione rzeczy, społeczność od dłuższego czasu żyje w strachu przed kolejną nocą. Atakują ich potwory z lasu.

– Potwory z lasu – Damien powtórzył słowa, jakby miały mu dać odpowiedź.

– Dokładnie. Potwory o wilczych pyskach – wyszeptał Karol.

– Czyli wilki – prychnął cynicznie. – Boicie się wilków.

– Właśnie nie do końca.

– Co mam przez to rozumieć?

– Otóż, jak donosi mój brat, wilki chodzą na dwóch łapach. Przybywają do miasta, a ich wizytę zapowiada wycie pośród gęstwin. Pazurami atakują zwierzyne. Oczywiście świnie czy kozy są zagryzane na miejscu i ciągnięte do żerowiska, ale zdarzyło się też, że zagryzły i zjadły na miejscu chłopca.

– Coś jeszcze? – dziwił się Damien. – Czy tym wizytom towarzyszy coś szczególnego?

– Tak. – Pokiwał energicznie głową. – Za każdym razem zaciągają do lasu kobietę. Słyszeć w oddali, jak krzyczy.

– Nie mordują ich?

– Tego nie wiemy – odparł z żalem. – Niestety nikt nie ma odwagi podążyć za watahą.

– Jak często się to zdarza? Mówiłeś, że wioskę atakują, więc pojmuję, że zdarzyło się to więcej niż raz.

- Dwukrotnie jak do tej pory. Zawsze w pełni księżyca.
 - Jutro jest pełnia.
 - Sam rozumiesz, drogi przyjacielu. Nie prosiłbym cię, gdybym miał ludzi. Jednak echo tych historii dotarło już do Lyonu i nikt za żadne skarby nie chce mi pomóc. A przysiągłem bratu, że do następnej wizyty zjawię się z odsieczą.
 - Co na to Kościół? – spytał. – Przecież oni uwielbiają takie historie.
 - Duchowni nie wierzą mojemu bratu – odparł po dłuższej chwili.
 - A to dlaczego?
 - Nie mam zamiaru cię zwodzić. Mój brat to pijak, ale tego, co dzieje się we wsi, nawet zmałowany alkoholem umysł nie wymyśli.
 - Skąd przekonanie, że będę chciał ci pomóc? – spytał, będąc już zdecydowanym.
 - Nie mam na to krzty nadziei. Nie mam też niczego do stracenia.
 - Byłbym zatem ja, ty i twój brat.
 - I ja – wtrącił głos za plecami Damiena.
- Przy drzwiach dostrzegł posturę grubego mężczyzny. Dominik Gulle związał swoje wąsiska w drodze do zajętych foteli. Wyciągnął dłoń do Damiena na przywitanie, nisko się kłaniając.
- Możemy więc na pana liczyć? – spojrzał przenikliwie na Damiena.
- Ten wstał, przeszedł zwawo do drzwi, w których przed chwilą stał Dominik, i rzucił, znikając za progiem:
- Wyruszamy o zachodzie słońca.
- Greg do złudzenia przypominał swojego brata, a mrok, jaki panował na dworze, tylko potęgował to wrażenie. Nawet ubrani byli podobnie, przez co Karol wyglądał, jakby ścisnął dłoń z własnym odbiciem. Z tym że odbicie ledwo stało na nogach. Damien popatrzył na Dominika, doszukując się tego samego zdziwienia. Rozczarował się, nie ujrawszy go. Postąpił więc za braćmi do zamku, gdzie czekała ich skromna, acz wyborna uczta.
- Zginiemy – rzucił bez ceregieli pan domu.
 - Spokojnie, bracie – uspokajał Karol. – Przyprowadziłem najlepszych w swoim fachu.
 - Grubasa z wąsem ściągniętym z krocza i pięknego trefnisia, co najpewniej wilkom wystawi swój zad, żeby się nim zabawili.
- Dominik spiekł policzki na czerwono, a nie chcąc pozostać dłużnym, odrzekł:
- A ty, chamie, odstawiłbyś jęzor od trunków, boś głupi i bez tego!

– Naprawdę? – spojrzał na Karola. – Przyprowadziłeś do mnie tak bystrego jak potok szczyń człeka? Czym się, bracie, kierowałeś? Rozmawiałeś z nim chociaż przedtem czy zgarnąłeś go spod ratusza? Tylko gdzie znalazłbyś tak gigantyczną zbroję do odziania tego grubasa?

– Jest niezwykle nieuprzejmym – wtrącił się Damien – cedzić słowa bez namysłu do ludzi, którzy przyszli ci z odsieczą, nie sądzisz?

– Otóż to, panie Damien – zawtórował mu wciąż czerwony ze złości Dominik.

– Bo czyś to nie ty największą z przelęknionych gąsek zebrzącą o pomoc?

– Słuchaj... – burknął Greg.

– Nie, to ty posłuchaj – przerwał Damien. – Bo w gębie jesteś mocny, mimo iż do tej pory nic ciekawego do powiedzenia nie miałeś. Zdążyłeś już udowodnić swoim poddanym, żeś płochliwy jak goniony zając. Nie daj mi, proszę, czystej satysfakcji, bym ściągnął ci te brudne gacie i przedstawił twoim gościom, żeś klejnoty stracił albo przez rzekome wilki, pijusie, albo nie masz ich od narodzin, co potwierdzała nam w drodze twoja matka.

– O ty chamie! – wybełkotał. – W moim domu nikt nie będzie mi ubliżał.

Greg wstał ze stołka, zahaczając o stół. Strącił kielichy na ziemię, wylewając całą ich zawartość. Nie zdążył wypowiedzieć kolejnego zdania, a znów – nie wiadomo jak i czemu – siedział na krześle. Ku zdziwieniu gości Damien przeskoczył nad stołem do Grega i podstawił mu nogę, usadawiając go w ten sposób z powrotem na tyłku. Trzymając w dłoni kuszę, którą przystawił do czoła Grega, odezwał się:

– Stul dziób i słuchaj. Każdy, kto tu jest, zostawił sprawy mniejszej lub większej wagi, a ty powinieneś traktować nas z należytych szacunkiem, byśmy chcieli pomóc tobie i twoim ludziom. I dla jasności, od jutra, jeśli sięgniesz po kielich wina czy jakikolwiek inny trunek, osobiście utnę ci łapę i rzucę ją wilkom na pożarcie. Tym samym, które odwiedzają twoje miasto. Swoją drogą, jakim cudem człek o tak mądrym rozumie jest w stanie gospodarnie zarządzać tak pięknym miejscem? Nie mam zamiaru narażać się dla parcha, który nie widzi niczego poza dnem butelki. Czy to jasne?

– Tak – odparli chórem, jakby kusza Damiena mogła jednym strzałem zabić ich wszystkich.

– Dokończmy ucztę, która w przeciwieństwie do ciebie – przeszył wzrokiem Grega – jest zjadliwa. Następnie wskażesz nam komnaty, rano opowiesz więcej o hordzie dzikich psów i postanowimy, jak działać.

Osada nie posiadała murów obronnych, a ze strażników chroniących Grega i jego włości ostał się jeden, dość znacząco przerażony wizją kolejnego ataku mającego nastąpić dzisiejszego wieczoru. Wioska liczyła trzy tuziny mieszkańców równie mocno przestraszonych co właściciel. Jednakże największe obawy przejawiały młode kobiety. Chciały uniknąć losu swoich poprzedniczek zaciągniętych do spowitego czernią boru.

Greg trząsał się jak galareta. Mogło to być spowodowane widmem wieczornej walki lub odstawieniem alkoholu, zgodnie z przekonywającą prośbą Damiena.

– Skąd nadchodzą wilki? – zaczął Damien. – Otaczają wioskę czy wychodzą z jednego kierunku?

– O, stamtąd. – Greg wskazał las.

– Za każdym razem?

– Ostatnim na pewno – przekonywał. – Za pierwszym świadkowie zostali zagryzieni, więc trudno o pewność.

– Dużo ludzi zginęło?

Obok Damiena stał cebrzyk z wodą. Przemył nią twarz i ręce.

– Siedmiu mężczyzn. Pięciu moich strażników. Dwóch podczas pierwszego ataku, a pozostali stali na czatach przy ostatniej pełni – wyjaśnił. – No i dwie kobiety, ale ich ciał nie znaleźliśmy.

– Jak to?

– Wilki wciągnęły je do lasu. Ludzie nie mieli odwagi zapuszczać się w głąb, by ich szukać, nawet w dzień. Kto wie, co by tam ujrzeli.

– Policzyliście, ile mogło być tych zwierząt? Wiemy, czego się spodziewać?

– Z dziesięć. Nie więcej – odrzekł po chwili namysłu.

– Możesz widział podwójnie, paniczu?

– Mój strażnik może potwierdzić – bronił się gorączkowo Greg. – Jest coś jeszcze, panie Damien. Te wilki to jakby większe niż normalne. Z drugiej strony noc może płatać figle.

– Tyś chyba zbyt raptownie ten alkohol odstawił, bo już sam nie wiesz, co wygadujesz.

– Ja tylko opisuję, co widziałem. Wszyscy przekonują, że pijak, że moja straż też. Dlatego nikt z kościelnych nie słucha, pomoc nie raczy. Ale wiem, co żem ujrział. Polowałem w życiu na wilki, stąd wiem, co gadam, a na te bym się wojskiem nie wybrał. Ponadto nawet najgrubszy basior nie zostawi takich ran, jakie mieli moi ludzie. Panie, oni wyglądali, jakby

z niedźwiedziem wojowali. Pazury z brzucha zupełnie zrobiły, tak się flaki łały. Gdybyś, panie, mógł przyjrzeć się tym sznytom, to bym cię przekonywać nie musiał.

– Wierzę ci – zapewnił bez cienia ironii. – I niech to cię zachęci. Streść mi wszystkie szczegóły.

– Przed północą wycie rozlega się w oddali. Jeden kończy, następny zaczyna. Już mam ciarki na samą myśl. – Greg wyciągnął ramiona, by utwierdzić zebranych. – Wpadają tu od strony północnej, jak pokazałem. Warczą i wyją, słychać, jak latają w gęstwinie, choć ledwo je widać, bo i mgły częste w tym rejonie. W strachu mieszkańcy próbowali uciekać. Dopadli strażników, a ci mimo wyszkolenia padali jak muchy, jakby się w ogóle nie bronili. Szyje zagryzione, brzuchy rozprute, aż kręgosłupy widać.

– Mieszkańcy spodziewają się dzisiaj ataku?

– Boją się każdego dnia, ale nawet ja nie mam pewności, że to będzie dzisiaj. Szukałem powiązań między tymi nalotami i tylko to mi się spajało.

– Zatem może to być twój kolejny pijacki wymysł.

– Panie Damien – rozpoczął Greg pewnym tonem. Nawet dłonie przestały mu drżeć – nie lubię wylewać za kołnierz, to prawda, już dał mi pan dosadnie do zrozumienia, co o mnie sądzisz, jednakże zależy mi na tej ziemi i tych ludziach. Może i jestem moczymorda, ale wolałbym pić w spokoju. Nie chcę co dzień zachodzić w głowę, czy dzisiaj ponownie będę musiał kopać grób dla przyjaciół. Ponadto jedną z kobiet, jaka zginęła, jest moja narzeczona. I wstyd mi, że sam nie mam odwagi ruszyć między drzewa, by znaleźć jej ciało i pochować godziwie.

– Nie masz się czego wstydzic – odparł pokrzepiająco Damien. – Zapuszczać się samemu na stado wilków to nie rycerskość, lecz brak rozsądku. Lepiej ruszyć z głową i zamysłem, niżli szybko się tej głowy pozbawić. Pozwól pan, że i ja w pierś się ugodzę. Czas przeprosić za nieuprzejmości.

– Nie masz pan za co – powiedział trzeźwym głosem. – Zasłużyłem sobie na to szorstkim językiem, jakim was przywitałem.

– Skoro uprzejmości mamy za sobą, omówmy plan działania. Siwym czworonogom nie w smak wspinaczka po drzewach, toteż tam się ulokuję. Wy zaś pozostaniecie na ziemi, ale pamiętajcie! – ostrzegł głośno towarzyszy. – Oczy szeroko otwarte! Domyślam się, że mgły występują tu ze względu na okoliczne mokradła lub rzeczki. Rozstawimy mnóstwo

poходni, cobyśmy widzieli, z czym mamy do czynienia i jak porusza się zwierzyna. Od północnej strony, skąd wybiegają, damy ich najwięcej, rozświetlając cały teren, musimy mieć ich jak na widelcu. Pochodnie wbijacie w niewielkich odległościach od siebie. Przyczaimy się w cieniu, tym razem to my weźmiemy ich z zaskoczenia. Umiejętnie posługuję się kuszą i mam głęboką nadzieję, iż kilku zabiję z wysokości. Za spłoszoną resztą pognamy do ich siedliska. Spróbuję ustrzelić samca, za którym podąża stado, wtedy być może uda się szybciej zmusić pozostałe do odwrotu. Osiodłajcie konie, lecz dobrze zamknijcie stajnie. Wilki nie mogą dostać się do środka. W momencie gdy dosiężecie wierzchowców, chwytajcie za pochodnie, rozświetlą nam ścieżkę.

– A my? – spytał Karol. – Gdzie mamy się skryć?

– Ktoś z was strzela?

– Nie, raczej nie. – Karol spojrzał po twarzach przyjaciół. – Umiemy posługiwać się mieczem. Żaden z nas nie szkolił się w łucznictwie.

– Dobrze. Ty Karolu wraz z Gregiem zaczekacie pod stajnią. Musimy za wszelką cenę chronić konie. Na mój znak łapiecie za lejce i pędzimy za zwierzyną. Dla was za to – zwrócił się do strażnika i Dominika – mam ciekawszy zakątek, ale to później. Macie tu jakąś broń? Kolczugi, hełmy, cokolwiek, co dałoby radę powstrzymać pazury?

– Znajdę coś u siebie na dworze – odparł Greg.

– Osłaniajcie, co się da. Chronicie ręce, twarz, nogi bez wyjątku. Mnie przygotuj kolczugę. Nie straszmy mieszkańców i zbierzmy się przed zmrokiem.

Wspiął się na średniej wielkości modrzew, którego długie i zwarte igły doskonale maskowały jego szeroką sylwetkę. Zajął względnie wygodną pozycję na najgrubszej gałęzi z widokiem na porozstawiane pod stopami rozpalone łuczywa, rozmyślając, jak długo przyjdzie mu czekać na żądne krwi kundle. Choć ze swojej kryjówki nie dostrzegął Karola i Grega, to mógł być pewien, iż skrywają się w cieniu beczek niedaleko stajni, wypatrując jego znaku. Dominik wraz ze strażnikiem znaleźli najwygodniejsze schronienie. Wysoki na niemal trzy metry stóg siana pozwalał wyprostować w pełni sylwetkę, czego szybko im pozazdrościł. Gdyby nie wiedział o przyczajonych w mroku nowo poznanych przyjaciółach, mógłby przysiąc, iż miasto wyludniało. Osadę spowiła kremowa chmura wijąca się pośród pochodni niczym duchy pradawnych gadów, poszukujących padliny do zapełnienia pustych żołądków.

Miasteczko wiało pustką i przenikliwą ciszą – ciszą po stokroć bardziej przerażającą niż jakikolwiek dźwięk, jaki był sobie w stanie wyobrazić.

Aż do chwili, w której usłyszał przeraźliwy skowyt.

Głuszę przerwało ponure, chrapliwe wycie czegoś, co nawet w koszarach nie przypominało wycia wilków. To było niczym lament apokaliptycznych istot zbliżających się na sąd ostateczny. Nim jeden stwór skończył swój jazgot, drugi podłączał się, kontynuując obłęd swojego poprzednika. Skowyt trwał nieprzerwanie kilka wlekących się w nieskończoność minut, przyprowadzając o ciarki oraz mimowolne napięcie mięśni. Musiał się skupić, by nie wystrzelić pierwszego bełtu w pusty las. Najgorsza w tym wszystkim okazała się odległość, z jakiej dochodziła ta przyprowadzająca o mdłości muzyka. Zwierzyna krążyła niezwykle blisko. Nagle wycie ustało. Zastąpiło je gardłowe szczekanie i szorstkie powarkiwanie tak głębokie, jak gdyby wydostawało się bezpośrednio z piekieł, gotowe zebrać szkarłatne żniwo w trakcie księżycowej nocy.

Karol z Gregiem zaciskali zęby i poklepywali się po plecach, dodając sobie otuchy. Stóg siana zaczął drżeć z przerażenia. Nawet Damien czuł lęk, niemniej jednak traktował to jako pozytywny objaw. Strach można obrócić w motywację, w siłę dającą szansę w sytuacjach nierzadko wydawałoby się bez wyjścia. Człowiek, który nie czuje obaw przed nadchodzącym zagrożeniem, jest łatwiejszym celem niż zwykły baran na pastwisku gotowy upuścić swą posokę bez walki. Kucając w bezruchu, wyteżył wzrok, przeczesując białe obłoki pod nogami.

Warczenie ustało.

Szczekanie także. W pobliżu drzew Damien porozrzucił suche jak wiór kije i badyle. Łamane od kroków gałęzie miały ostrzec go przed zbliżającą się zwierzyną. Nie zawiódł się, nim się obejrzał, jego pomysł przyniósł pierwsze rezultaty. Zarówno z jego lewej, jak i prawej strony chrupnęło drewno, lecz natychmiast po tym zapadła cisza. Zwierzęta, stąpając łapami po patykach, wnet zatrzymały się, jakby pojmując, iż z łowcy jednocześnie stają się ofiarą. Teraz wystarczyło wytrwale nasłuchiwać kolejnych reakcji zwierzyny, wyczekać, aż któryś z wilków pojawi się w blasku ognia, i nacisnąć spust.

Zamiast tego zgasła pochodnia. Za nią druga, a potem kolejna.

Co do jasnej cholery? Przecież to niemożliwe, mówił w myślach. Zdecydował się nie reagować – konsekwentnie kucając na gałęzi, wyglądał któregoś z wilków. I właśnie wtedy cały ich plan runął.

Dominik wystrzelił z kryjówki niczym z procy, machając w panice na oślepi swoim długim mieczem.

– Dłużej tego nie zniosę! – wydarł się w otchłań. – Gdzie jesteście, śmierdzące łachmyty?!

– Stój! – krzyknął za nim strażnik. Nie wybiegł jednak za Dominikiem, wciąż skrywał się w stogu siana. – Prowadzisz nas na śmierć!

To, co działo się potem, było istną masakrą i jednym wielkim chaosem. Nie wiedzieć skąd na Dominika rzuciły się dwa ledwo widoczne ogromne wilczury, które próbując dopaść jego szyi, stanęły na tylnych łapach. Damien wyprostował ramię, napiął je równie mocno co achtersztag i, mrużąc oczy, nacisnął dźwignię spustową. Wystrzelony bełt jeszcze w tej samej sekundzie przebił bark nienaturalnie wielkiego monstrum. To runęło na ziemię. Huk upadającego truchła dało się słyszeć na drzewie. Prócz tego usłyszał metaliczny dźwięk uderzający o utwardzoną kamieniami ziemię. Drugi z wilków, wciąż skacząc na dwóch łapach, wojował z wąsatym przyjacielem. Dominik, pomimo swojej wagi i – wydawałoby się – sporej siły, upadł na plecy jak szmaciany ludzik, otrzymując uderzenie prosto w twarz. Damien załadował do wycięcia w kuszy drugi bełt i krzyknął do reszty:

– Pomóżcie mu! Zostawcie konie!

Pod jego nogami zaczęło biegać kilkoro szarych i grafitowych zwierząt, każde na dwóch łapach. Strażnik, wciąż oblepiony słomą, przejechał mieczem wzdłuż brzucha wilczura, który przed chwilą powalił Dominika. Wtem doskoczyły do niego trzy następne bestie, rozszarpując mu zębiskami szyję i obcinając pazurami dłoń zaciśniętą na rękojeści. Karol i jego brat opuścili schronienie w pośpiechu, docierając do ledwie oddychającego Dominika. Damien już miał wystrzelić grot, jednakże pod modrzewiem, na którym czatował, zjawił się największy z wilków o żółtych jak pełnia księżycy ślepiach i ot tak, niczym zwinna małpa, począł wspinać się po pniu, zanurzając w korze swe ostre pazury. Ostatnie, co Damien spamiętał, to szpony wbijane w jego biodro, powodujące przeszywający ból rozrywanej skóry, oraz bełt roztrzaskujący pysk człowieka o atramentowej sierści. Damien, upadając z drzewa, uderzył potylicą w ziemię i odpłynął w nicość.

– Zbudź się – słyszał gdzieś z oddali. – Wstawaj!

Ktoś uderzył go siarczyście w twarz.

Ocknął się, a świat i postacie nad nim wirowały. Wciąż była noc. Drzewa zdawały się nie mieć końca. On również się kręcił. Ktoś z tyłu podparł jego tułów i nalał mu do ust przyjemnie lodowatej wody. Czuł, że wraca do sił. W prawej dłoni uformował coś na kształt łódki, do której z bukłaku nalano mu tej samej cudownie chłodzącej cieczy. Oblał nią twarz. Wsparł się na czyichś ramionach, usiłując wstać na nogi.

Bezskutecznie.

Zranione ciało dało o sobie znać – gdyby nie pomocne barki, runąłby na ziemię. O dziwo, ból w okolicach miednicy był do zniesienia, jedynie głowa nie dopuściła do powstania. Jeśli tylko chwilę odczekam, pomyślał, jeśli tylko dam sobie czas na zebranie energii, to dam radę.

– Odpocznij.

To był Karol. Tak mu się przynajmniej zdawało.

– Ile tu leżę? – powiedział, choć bardziej przypominało to bełkot.

– Aż dziw bierze, ale stosunkowo niedługo. Grzmotnąłeś o grunt tak mocno, że myśleliśmy, że jesteś już po drugiej stronie. Chwała niebiosom, że zostałeś wśród nas.

– To chyba nie niebiosom należy zawdzięczać to, że wciąż żyję, ale niech będzie. Co się stało?

– Wygląda na to, że ich przegoniłeś. Roztrzaskałeś łeb największemu dziwołagowi i pozostali uciekli, aż się kurzyło. Dokładnie tak jak przewidziałeś.

– To zwykli ludzie jak ty i ja, prawda? – Chciał utwierdzić się w przekonaniu, że to, co widział przed upadkiem, nie było jedynie ułudą.

– Niby tak, a jednak do złudzenia przypominają to, czego się obawialiśmy.

Wioska ponownie ożyła. Niektórzy wiwatowali na cześć niewątpliwego zwycięstwa, inni z kolei przyglądali się pięciu trupom leżącym w brunatnych kałużach. Jednym z nich był strażnik. Greg zawołał kobietę, która odkaziła alkoholem ranę Damiena, a następnie owinęła ją w miarę czystą szmatą.

– Co z Dominikiem? – zmartwił się Damien.

– Żyje, drogi panie!

Dominik leżał w tym samym miejscu, w jakim dopadli go barbarzyńcy. Kilka osób kucąco w jego otoczeniu.

– Nic mu nie jest – dodał uśmiechnięty od ucha do ucha Greg. – Prócz blizny na czole jest cały i zdrow.

- To dobre wieści. Co z twoim strażnikiem?
- Niestety, to miasteczko nie posiada już żadnego obrońcy. Ale przynajmniej już takiego nie potrzebuje.
- Nie byłbym tego taki pewien. Osiodłajcie konie. Ruszamy za resztą.
- Pan żeś chyba zmysły postradał. Nie będę gonił za bojaźliwą garstką, jaka została – oznajmił Greg, nie uznając sprzeciwu.
- Masz pan pewność, że nie wrócą?
- W czwórkę? – spytał drwiąco. – Bo tylu ich uciekło. Kto miałby tyle odwagi po takiej klęsce?
- Chcesz pan zaprzestać? Teraz? A jeśli tam jest ich więcej? – dopytywał otrzeźwiały już Damien. – To najlepszy moment, by uderzyć – przekonywał. – Jeśli nie my i jeśli nie teraz, to zapewniam, oni tu wrócą. Może nie dzisiaj, nie jutro, lecz wrócą na pewno. Najprawdopodobniej zabiliśmy ich przywódcę, zabijmy resztę, nim wybiorą kolejnego.
- Nie no, pan naprawdę żeś mocno przypierdolił w łeb – wtrącił się Dominik. – Widzisz, jak oni wyglądają? Spójrz tylko. Metalowe pazury, na ramionach futro, czupryny przykryli pyskami wilków. Nie mam zamiaru więcej z nimi wojować.
- Szczerze mówiąc, drogi Dominiku, jeśli leżakowanie przed watahą nazywasz wojowaniem, to może faktycznie zostać. Bo planu też się trzymać nie umiesz.
- Ha! – zaśmiał się grubo. – Pragnę przypomnieć, że jako pierwszy opuściłem bezpieczne miejsce!
- I mieczem powietrze ciążęś, kłopotów żeś nam narobił! Zresztą tyś ostatni, którego winienem przekonywać. Posłuchaj mnie – spojrzał na Grega. – Krótki spokój kupiłeś, to gwarantowane. Pewne jest, że ci ludzie wrócą i zatłuką was bez namysłu. Dzisiaj masz okazję pozbyć się ich raz na zawsze, zapewnić harmonię swej osadzie. Dosiądziemy koni i zbierzemy kilku mężczyzn. Dojrzeli, że to zwykli ludzie przebrani za zwierzęta. Niech wezmą widły, siekiery czy co im wpadnie w ręce i ruszajmy, pókim nocą przykryci. Morale jest po naszej stronie. Ja mogę wrócić do siebie, cieszyć się zdrowiem i długim życiem, tobie przewiduję koniec wraz z nadejściem następnej pełni. Jak sam wspomniałeś, nie masz już straży.
- Osiodłać konie – nakazał Greg.
- Nigdzie się nie ruszam, jestem ranny – zaprotestował Dominik.
- Wstawaj, tłuściochu, albo sam wbiję ci miecz prosto w zad – zagroził Karol, zmierzając do stajni.

Błądzili pośród bagnistych terenów, nasłuchując najdrobniejszych dźwięków, wypatrując najmniejszego światełka.

– Jak w dupie – rzekł Dominik, podskakując na koniu. – Ciemno jak w krowiej dupie.

– Zagadkowe miejsca odwiedzasz – wyśmiał go Karol.

– Tak się tylko mówi.

Twarz Dominika spowijała zupełna ciemność, a mimo to można było założyć z całym przekonaniem, że ta jest czerwiejsza, aniżeli wschodzące lipcowe słońce.

– W życiu ich nie znajdziemy – mruknął. – Nie ma na to żadnych szans. Mówię wam, panowie, prędzej się zgubimy i zginiemy.

– Jak się nie zamkniesz, to gwarantuję ci, że ty na pewno – pogroził Karol.

– Zamknijcie się. Nie mogą nas usłyszeć. Spójrzcie tam. – Wskazał na lewo Damien. – Widzicie?

To, co pokazywał, wyglądało niczym malutki świetlik, niemal niedostrzegalny z tej odległości. Pierwszy wypatrzył go Greg.

– Faktycznie. Coś tam się pali.

– Nie coś, tylko ognisko – poprawił go Damien. – Wszyscy schodzą z koni. Dalej idziemy pieszo. Dostaniemy się tam bezszelestnie, jasne? – To był rozkaz, nie pytanie.

– Tak jest, generale – rzucił ironicznie Dominik.

Damien tylko westchnął, nie chcąc rozpoczynać dalszej, nikomu niepotrzebnej dyskusji, która tylko zakłócałaby to, co starał się usłyszeć.

Do ich zacnego grona dołączyło dwóch wieśniaków z widłami. Szóstka mężczyzn parła gęsiego w stronę zwięższającej się łuny ognia. Przedzierając się przez mokre, wysokie na trzy metry trawy, na które co rusz kłął gruby Greg, ledwo przebierając girami, wypatrzyli drugie palenisko.

– Może być ich więcej niż czworo – poinformował towarzyszy LeBrun.

– Do jasnej panienki! Nie wiem, czy jestem tak mokry od tej wody, czy tak się spociłem – jęczał Dominik. – Jajca i nogi mam obdarte. Nie dam rady.

– Nie każ się niańczyć. Zachowujesz się jak dziecko – szeptał Karol. – Zróbmy, co do nas należy, i wróćmy do zamku na wino.

– Ty stawiasz – uśmiechnął się na samą myśl Dominik.

– Niech będzie – zgodził się. – Jaki mamy plan?

– Na początku warto skończyć gadać głupoty i skupić się na drodze. Zaraz ci obetnę jajca i zamknę nimi usta. Nic nie będzie cię już obcierać i zapanuje upragniona cisza – wściekł się Damien. – Uważajcie pod nogi i na głowy. Mogą być jakieś pułapki lub zwiadowcy. Zachowajcie ostrożność! Jesteśmy już niedaleko. Podejdę teraz sam, przyjrzę się z bliska, jak to wygląda. Jeśli się odezwiesz, Dominiku, i narobisz kłopotów, to wierz mi, trafię cię z kuszy nawet w tej ciemnicy.

Ten kiwnął tylko głową.

Błoto, przez jakie się przedzierał, zmieniło się w grzęzawisko, nad którym wciąż unosiły się opary, dając mu idealny kamuflaż. Zanurzył w nim niemal całe ciało, wystawiając tylko głowę do wysokości nosa. Wierzgał stopami w poszukiwaniu stabilnego podłoża, od którego z trudem odpychał się w stronę wioski, której kontury coraz wyraźniej kształtowały się w świetle powoli wschodzącego słońca.

Naliczył nie więcej jak pięć szałasów stojących na wysokich, wbitych w ziemię palach. Dokoła owinięte były grubymi warstwami iglastych gałęzi. Miały kształt spiczastego trójkąta z wejściem dostosowanym bardziej dla karłów niż ogromnych prymitywów, z jakimi mieli do czynienia. Stwierdzenie to jednak było obraźliwe dla tego ludu, zważywszy na kamuflaż, jaki stosowali, oraz śmiertelnością broń wytwarzaną siłą własnych mięśni.

Im bliżej osady się znajdował, tym łatwiej było mu poruszać się w coraz to rzadszej brei, która przeobraziła się w głębokie jezioro. Na kilka metrów przed celem jego ruchy stały się na tyle swobodne, że pozwolił sobie na wyjęcie ostrza w obawie przed nieprzewidzianym atakiem. Szarpiąc za rękojeść, ponownie poczuł ukłucie w okolicach miednicy. Czuł, że rana się rozwiera, a warunki, w jakich przyszło mu spędzać poranek, nie służyły gojeniu. Chciał podpłynąć i dotknąć brzegu, gdy poczuł, że coś owija się na jego nodze. Coś, co mimo założonych nogawic sprawiało wrażenie obślizgłego, ale i delikatnego w dotyku. Im zwawiej manewrował kończyną, tym chętniej tajemnicza podwodna postać opatulą jego mięśnie. Gdyby wierzył w legendy, mity i bajki, to właśnie podjąłby walkę z czymś, co ludzie na Wschodzie nazywają Topielcem. Jednakże był człowiekiem małej wiary, większe nadzieje pokładał w rozumie, toteż zwinnym ruchem przeciął swoim niewielkim sztyletem oplatające łydkę rośliny i uwolnił się w mgnieniu oka.

Dobił do brzegu, gdzie wynurzył się wprost pod nogi jednego z barbarzyńców. Byliny wodne w pełni skupiły jego uwagę, przez co nie zauważył stojącego teraz nad nim mężczyzny, z wystawionym członkiem, gotowym do oddania moczu wprost na jego twarz. W całej tej sytuacji uratowała go poranna mgła, dzięki której barbarzyńca dostrzegł Damiena dokładnie w momencie wynurzenia. Mężczyzna zdążył warknąć ponuro, ostrzegając resztę. LeBrun, nie tracąc rezonu, pospiesznie wbił ostrze noża w gołą kostkę zaskoczonych bestii, która bezwarunkowo się do niej nachyliła.

Tego oczekiwał Damien.

Napełnił płuca powietrzem, chwycił nadgarstek mężczyzny i zanurzył się z nim w otchłań wody. Pod lustrem bajora puścił przegub, odwrócił pchnięciem w łopatkę swoją ofiarę i oplótł jego szyję, gotów zadać ostateczny cios w nozdrza wielkiego jak tur mężczyzny. Niestety, ten przewidział jego ruch, osłaniając się przedramieniem, a szponami zaczepionymi na pięści wbił się w biceps Damiena. Opór wody dopuścił tylko do lekkiego nakłucia, aczkolwiek Damien zmuszony był wypuścić sztylet, by odciągnąć łapę oprawcy, chroniąc się przed większymi obrażeniami. Ten wyczuł moment, podrywając się do góry w celu zaczerpnięcia tlenu. Damien zdawał sobie sprawę, że jeśli do tego dopuści, to nie tylko nakieruje na swoją pozycję pozostałych, ale będzie miał znikome szanse na przeżycie, a tego obawiał się najbardziej.

Nie spanikował.

Dopadł twardego kołnierza wilczura, ponownie przyciągając potężną sylwetkę do siebie. Biorąc pod uwagę utratę broni oraz to, że pod wodą walka na pięści nie miała kompletnego sensu, odszukał usta mężczyzny, a następnie włożył do pyska palce wskazujące i z całych sił rozciągnął je na boki. Te rozwarły się niczym wielki lej. Zaskoczony wilczur pochłonął haust życiodajnego trunku, który teraz stał się jego trucizną. Dopadły go konwulsje, rozpaczliwie łaknął tchu. Ostatkiem sił wierzgnął kilkukrotnie nogami, raniąc parokrotnie Damiena, aż w końcu uspokoił się na wieki. Damien jeszcze chwilę nie luzował mięśni, a dopiero upewniwszy się, że mężczyzna umarł, wypuścił truchło z rąk.

Wciąż na tym samym oddechu Damien odnalazł w piasku zgubioną broń, odpłynął od miejsca walki tak daleko, jak tylko zdołał, i prawie bezdźwięcznie się wynurzył. Wypełnił klatkę piersiową tlenem i raz jeszcze pod wodą zwiększył dystans od topielca.

– Jasna cholera – szepnął do siebie, wydobywając się na powierzchnię – całego mnie pokaleczył. Pieprzone zwierzęta.

– Co ci się stało? – spytali go, gdy powrócił z pięcioma równo oddalonymi od siebie cięciami na policzku, z których wciąż spływała krew.

– Sprawa wygląda następująco: dalej nie wiem, z iloma mamy jeszcze do czynienia, ale na pewno z jednym mniej. Przy ognisku dojrzałem tylko pięć dość dużych szafasów. U nas zabiliśmy czwórkę plus jeden tutaj. Algebrę pozostawiam wam. To bagno na końcu zmienia się w jezioro, więc, Dominiku, jeszcze kawałek musisz się pomęczyć, potem już z górki, o ile umiesz pływać. Robi się jasno, zaraz będzie znikać mgła. Nie ma na co czekać, ruszamy.

Do osady dotarli tą samą trasą. Z oddali usłyszeli nerwowe rozmowy mężczyzn. Znalazłszy się na tyle blisko, by można było ich zrozumieć, Damien zatrzymał grupę.

– Nie wrócimy tam – odezwał się chrapliwym głosem jeden z nich. – Na pewno nie dzisiaj.

– Musimy – sprzeciwił się ktoś o twardym i dużo donioślejszym tonie. – Zabili Karima, należy go pomścić, takie jest credo watahy.

– Nic nie musimy. Nie zostało nas wielu. I gdzie, do licha, podziewa się Margo?

– Nie wiem. Diago poszedł go szukać. Mówił, że słyszał, jak Margo coś krzyczał, ale jeszcze nie wrócili. Margo poszedł się odlać, najpewniej zaraz wróca.

– Tak więc z Margo jest nas piątka, a ty chcesz tam wracać? Nie ma mowy.

– Boisz się, Wito. Karim zawsze twierdził, że nie nadajesz się na przywódcę, na to, by go zastąpić.

– Jeszcze słowo, a nie dożyjesz wyboru nowego wodza! – mężczyzna zaczął mówić przez zaciśnięte zęby.

– Chryste Panie! – wykrzyknął Dominik, gdy ciało zabitego przez Damiena barbarzyńcy wypłynęło koło jego twarzy.

Damien doskonale zdawał sobie sprawę, że tamci ich usłyszeli, a w wodzie byli bez szans na jakąkolwiek obronę. Nie zastanawiając się ani chwili, wdrapał się na pokryty trawą brzeg, gdzie unosiła się para. Wyłonił się z niej niczym zmora i w pośpiechu rzucił do watahy:

– To koniec.

Stała ich trójka, wszyscy z tak samo zdziwionymi minami.

– Diago i Margo już nie żyją. Jeśli nie chcecie do nich dołączyć, to ściągnijcie to metalowe dziwactwo z pięści, przez które moja twarz wygląda jak po spotkaniu z zazdrosną kochanką.

Nikt się nie ruszył. Odezwał się raz jeszcze:

– Głusi jesteście?

– To ty! – Milczenie przerwał chrapliwy głos należący najpewniej do Wito.

– To ja – próbował zażartować Damien.

– Ty go zabiłeś. Zabiłeś Karima.

– Brzmi jak imię dla konia. A nie przypominam sobie, bym krzywdził zwierzęta.

Wito bez zastanowienia ruszył na Damiena, a wściekłość, jaka go opętała, przysporzyłaby pietra niejednemu doświadczonemu żołnierzowi. Nie zdążył przełknąć śliny, a koło Wito biegł już drugi wilkołak. Tylko jeden z wilczego stada pozostał w bezruchu.

– Panowie – odezwał się Damien do swoich przyjaciół. – Pora wyjść z kąpieli!

Damien wysunął stopę do przodu, zapierając się na drugiej o wystający kamień, gotów odeprzeć napór. W międzyczasie nabił kuszę i wystrzelił prosto w łeb Wito, znajdując go się od niego na wyciągnięcie ręki. Ten padł jak rażony piorunem. Nie trzeba było długo czekać, by Damien do niego dołączył za sprawą drugiego z agresorów, który skoczył na niego z całym impetem. Złapał go wpół, wyrywając z ziemi wraz z kamieniem mającym powstrzymać rozpęd. Kusza pofrunęła prosto do wody. Damien zmartwił się, że po walce ponownie będzie zmuszony przetrząsnąć dno zbiornika. Ponadstukilogramowe cielsko przetoczyło się po nim, niemal gruchocząc mu żebra, i wylądowało nieopodal.

Damien jęknął z bólu. Chciał się podnieść, ale najzwyczajniej w świecie brakowało mu tchu. Wykorzystał to napastnik, który w porę zdążył się zebrać, siadając na jego brzuchu. Lewą ręką złapał za grdykę Damiena, drugą uniósł wysoko w górę i zacisnął w pięść, by zadać śmiertelne uderzenie.

Jeszcze raz szczęście uśmiechnęło się do Damiena. Stojący nad barbarzyńcą Dominik odciął wojownikowi wpierw rękę i kolejno głowę, która to odbiła się dwukrotnie od podłoża, a następnie przeturlała do bajora, dzieląc los kuszy.

Usłyszał jeszcze pełen trwogi głos Karola, nawołujący Dominika do ucieczki. Ale ten już nie zdążył tego uczynić. Ni stąd, ni zowąd pojawił się Diago. Wbił się najpierw w plecy Dominika, nienaturalnie wyginając jego sylwetkę do przodu, a następnie rozdarł jego szyję, z której jak z fontanny trysnęła ciepła posoka. Karol równie prędko dopadł do Diago, przebijając go mieczem na wysokości serca.

Zaczęli upadać niczym domino. Uśmiechnięty Dominik, zanim Diago z lejącą się z ust krwią, a następnie Karol ze łzami w oczach opadł w bezsilności na kolana. Niestety nie udało mu się uratować przyjaciela.

Greg stał przy ognisku wraz z ostatnim żywym wilkołakiem, który jako jedyny nie ruszył do walki. Damien nie zauważył tylko dwóch wieśniaków, którzy, jak się okazało, w obawie przed kostuchą nie wyciągnęli nóg z mokradła.

– Jak się nazywasz? – spytał Greg, uderzając mężczyznę z całej siły pod żebra.

– Rodo – wymamrotał ostatni barbarzyńca pozostały przy zdrowiu.

– Kim jesteście? – dociekał Karol, który zdążył już pozbierać się po stracie i zbliżyć do Rodo. Całej sytuacji przyglądał się LeBrun siedzący na pniu. Stwierdził, że los Rodo zostawi w rękach Karola i Grega.

– Ciężko odpowiedzieć. Ładnych parę lat temu przenieśliśmy się tu na mokradła wraz z Karimem i innymi, łaknąc przygód.

– Zabijanie nazywasz przygodą?! – Greg się wściekł i ponownie uderzył Rodo w wątrobę. – Mordowanie kobiet uważasz za zabawę? – zdzielił go w kark.

– Ich nie zabijaliśmy, to znaczy część zmarła, ale nie chcieliśmy tego, to były nasze trofea.

Greg nie mógł uwierzyć w to, co słyszał. Poczuł nadzieję, że jego narzeczona wciąż może gdzieś tutaj być.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – wtrącił się.

– Traktowaliśmy je jak zdobycz. Nie chcieliśmy ich zabijać. Odurzaliśmy je, gdy szliśmy na łowy, i kilka padło.

– Łowy, tak to nazywacie. Czym je odurzaliście? – Greg domagał się odpowiedzi, a ze złości nabrzmiała na czole niebieska żyłka.

– Grzybami. Są w lesie takie, które usypiają na dłużej. To dawało nam pewność, że nie uciekną.

Greg puścił Rodo, przekazując go drugiemu z wieśniaków, i pobiegł do spiczastych chat w poszukiwaniu swej wybranki. Prócz skradzionych przez

osadników skarbów pod postacią klejnotów, zachwycająco przyozdobionych złotych pierścieni, egzotycznych rzeźb czy cudownych płócien nie zastał żywego ducha.

– Gdzie one są? – spytał Damien, wstając z pnia.

– Powiem wam, jeśli obiecacie mi, że puścicie mnie wolno.

– Nie będzie żadnych deklaracji. Mogę poczekać. Dziewczęta się obudzą i zaczną nawoływać tak długo, aż odpowiedzą, a wtedy nie zaznasz żadnej litości. Spytam ponownie. Gdzie je ukryłeś?

– Ja ich nie dotykałem, przysięgam. Nie atakowałem też waszej wsi. Nie było mnie tam. Ubłagałem Karima, by pozwolił mi zostać tutaj. Pilnowałem kobiet.

Damien wyciągnął sztylet. Groźba poskutkowała.

– Są zakopane. Wskażę wam miejsce.

Przedzierali się bujnie zarośniętym borem. W pewnym momencie wkroczyli na wydeptaną ścieżkę, na której końcu zatrzymał ich Rodo. Dotarcie do wydrążonej siłą mięśni, głębokiej na dziesięć stóp jamy, przykrytej czerwonobrazowymi liśćmi, zajęło im stosunkowo niewiele czasu. Rodo bez dodatkowych ponagleń podniósł klapę wykonaną ze zbitych desek, wlewając do środka smugi świeżego światła i oślepiając nim pół tuzina młodych dziewcząt. Leżały gołe, na ich twarzach umorusanych piachem nie można było dostrzec nawet strachu. Tak jakby grzyby halucynogenne podane im wczoraj dalej siały zamęt w umysłach. Kobiety przyglądały się Gregowi, nie rozpoznając go. Mężczyzna zjechał po podstawionej drabinie na sam dół. Kolana ugięły mu się pod wpływem ciężkiego zeskoku, niemal doprowadzającego do upadku. Podparł się łokciem o ścianę i zabrał się do uwalniania pokrzywdzonych. Rozcinał po kolei więzy, przypatrując się twarzom w poszukiwaniu swej lubej.

– Prócz gwałtów służyły wam do czegoś jeszcze? – spytał Damien stojący u góry i przyglądający się Gregowi.

– Nie.

– Na pewno? – dociekał, nie dając wiary w zapewnienia Rodo.

– Karim lubił sprawiać im ból. Nacinał je na brzuchu, plecach, między udami. Ja nie mam z tym nic wspólnego. Zresztą, gdy narkotyk przestanie działać, same powiedzą ci, że nic im nie robiłem. Właściwie dzięki mnie żyją.

– Niesamowite. Wypada cię pochwalić i podziękować! – Damien nie krył sarkazmu.

Targały nim mieszane uczucia. Prawda jest taka, że gdyby Rodo dołączył do dwóch swoich kolegów, napadając na niego, nie stałby tu teraz i z nim nie rozmawiał. Rozważał zlikwidowanie Rodo, aczkolwiek jego kodeks mówił, iż każdy zasługuje na drugą szansę. A ten wskazał jamę pełną porwanych kobiet oraz znieruchomiał przy ognisku, dając mu szansę przeżycia. Odległość jamy od osady wraz z wąskim wejściem do niej stłumiłyby wszelkie głosy wydobywające się z wnętrza. Dziewczyny mogły tam umrzeć w męczarniach z głodu lub pragnienia.

– Jesteś! – wykrzyknął Greg, a jego radość mimowolnie wywołała szczere spełnienie na pokiereszowanych twarzach Karola i Damiena po tej uciążliwej, krwawej i męczącej misji.

Greg odnalazł Mariettę, niemniej jednak jego luba rozpoznała go dopiero późnym wieczorem. Postanowili zaopiekować się pozostałymi dziewczętami, oczyszczając je z ziemi, ubierając w znalezione w domach szaty, karmiąc i pojąc. Piły łapczywie, wylewały znaczną część płynów na świeże ubrania. Nazajutrz, gdy kobietom wróciła świadomość, wysłuchali historii o nieustających gwałtach odbywających się w nocy i za dnia, o tym, jak były obiektem jakichś rytuałów, jak przywódca watahy ciął ich ciała tęnym narzędziem, i o tym, skąd i w jaki sposób zostały uprowadzone. Odwieźli je do pobliskich wiosek, z których pochodziły, stając się dla mieszkańców bohaterami. W końcu uwolnili sołectwo od kipiących żądzą barbarzyńców mordujących niewinnych sąsiadów.

– Gdyby ten cały Rodo także skoczył na ciebie, nie wracałbyś dzisiaj z nami – zauważył Karol, podziwiając swoje dłonie przyozdobione nowymi pierścieniami, które wydobył wraz z innymi błyskotkami z trójkątnych szafasów.

– „Gdyby” nie istnieje, przyjacielu. Nie da się przewidzieć i osądzić chwil, jakie nigdy nie nastąpiły. Dlatego też Rodo zasłużył na łaskę.

– Rachunkowość jest ci obca, prawda? – spytał Karol.

– Nie na tyle, by nie wiedzieć, że jedna trzecia łupu należy do mnie. Masz jednak rację. Zdobywam pieniądze inaczej niż zwykli śmiertelnicy.

Może nie powinien przyznawać się do tego przed Karolem i Gregiem. Nigdy jednak nie walczył z emocjami. Po raz pierwszy od zjednania sobie Jacoba poczuł, że poznał ludzi godnych zaufania. Tak mu się przynajmniej zdawało.

– W jaki sposób?

– Słucham? – Nie zrozumiał.

– Jak napełniasz sakwy? – ciągną Karol.
– Krwią niewdzięcznych ludzi.
– Jesteś najemnikiem? – drążył temat. Wszystkiemu z uwagą godną jastrzębia przysłuchiwał się Greg.

– Nie – odparł bez namysłu. – Najemnik działa pod wpływem prostych pobudek. Widzi tylko worek pieniędzy i zadanie, jakie trzeba wykonać, aby go otrzymać. Konflikt, ludzie, a przede wszystkim powód, dla którego mu płacą, jest mu obojętny. Mnie nie interesują pieniądze, tylko dobro drugiego człowieka.

– To pocziwe słowa. Ale ostatecznie i tak jesteśmy subiektywni, przyjacielu.

Damien zastanowił się nad tym.

– Koniec końców, to my decydujemy o tym, co słuszne, a co nie – kontynuował Karol. – O tym, która prawda jest nam bliższa, o tym, w imię czego warto walczyć, a przeciwko czemu stanąć.

– Zgadza się. Aczkolwiek lepiej samodzielnie wybrać ścieżkę, którą chce się podążać, aniżeli ślepo gonić za światłem. Bo nawet ono może poparzyć.

– Kim byś nie był i w imię czego byś nie walczył, winien ci jestem przysługę.

– Nie wymagam tego od ciebie.

– Ja też nie naciskałem na ciebie, a jednak pomogłeś memu bratu...

– Trochę naciskałeś – przerwał mu rozbawiony LeBrun.

Zaśmiali się głośno niczym serdeczni przyjaciele, którzy znają się zdecydowanie dłużej, niż tych kilka poprzednich dni, jakie przyszło im spędzić razem. Wpierw bawili się, tańcząc i pijąc alkohol do białego rana, ażeby potem walczyć ramię w ramię, na śmierć i życie, z futrzastą bandą z mokradel.

Nim wrócili do Lyonu, spędzili w zamku Grega parę suto zakrapianych wieczorów, w których to brała udział niemal cała wioska. I tylko Greg nie wypełniał kielicha alkoholowymi trunkami, nieustannie obawiając się utraty ręki bądź uświadamiając sobie, iż życie w trzeźwości ma znacznie słodsze barwy.

Rozdział X

Bastian usłyszał dobiegające zza drzwi komnaty jednostajne, miarowe kroki. Niezapowiedziany gość nie spieszył się lub do perfekcji opanował sztukę skradania, jaką on, mimo widocznych już efektów, wciąż starał się przysposobić. Klamka apatycznie opadła, drzwi uchyliły się, a w nich, czego najmniej by się spodziewał, stanął uśmiechnięty od ucha do ucha inkwizytor.

– Gratuluję – pochwalił go Jacques, nie kryjąc podziwu nad sprawnie wykonanym zadaniem. – Cały Awinion jak długi i szeroki trąbi o człowieku, który przechytrzył silnego jak tur mężczyznę okładającego na targu chevalierów. Plotki głoszą, że prawie wam uciekł.

– Prawie nijak się ma do okratowanej celi, w której znajduje się ów bandyta – oznajmił pyszałkowato Bastian.

– Może jeszcze będą z ciebie ludzie, Bastianie. Długo masz zamiar tak leżeć? – Radosna mina Jacques’a nagle zniknęła.

Bastian nie odpowiedział, dalej leżał pod kocem.

– Potrzebujesz specjalnego zaproszenia?

– Jestem goły – odparł zawstydzony.

– Masz tam coś innego niż ja?

– Wzwód – oznajmił nieśmiało.

– Oszczędź mi, proszę, żartów, które bawią tylko ciebie. Ubieraj się – nakazał. – Czekam na dole, brzask to idealna pora na przesłuchanie.

Nic więcej nie dodając, opuścił małą komnatę papieskiego pałacu, w jakiej umieścił Bastiana kardynał. Pierre Fillion zagwarantował Bastianowi schronienie i posiłki, które smakowały o niebo lepiej, niż sobie wyobrażał. Do tej pory był przekonany, że jedzenie zakonników jest jałowe i rozgotowane. Nic bardziej mylnego. Dostał zapewnienie o dostępności pokoiku aż do przyjazdu Jacquesa. Jak zwykle miał w zwyczaju, godziwie opłacił gościnność kardynała, licząc na dobre słowo i zaprzysiężenie jako nowego inkwizytora.

Czekali na niego przy filarze, gestykulując i rozmawiając o czymś, co wydawało się niezwykle interesujące. Nie słyszał, czego dotyczy rozmowa, a jej ton nie był ani podniosły, ani nerwowy. Był nijaki. I tylko twarz kardynała zdradzała, że konwersacja jest istotna. Czego jednak mógł spodziewać się po Jacques'u, osobie wyzbytej wszelakich emocji? Zresztą dalej nie miał pewności co do człowieczeństwa Jacques'a Begreona. Nie był nawet pewien, że ten działa w imieniu Boga. Bardziej skłaniał się ku myśli, iż to sam Lucyfer sprowadził go na ziemię i umieścił w Kościele, by zrealizował jego nieczne cele. Jacques pozbawiłby życia nawet Boga, jeśli tylko ten nie wyznawałby ideologii Kościoła, jaką zażarcie pielęgnował inkwizytor. Posłałby całą Trójcę Świętą na stos, przyglądając się temu z najbliższej odległości i pilnując, by auto da fe się dokonało. Gdyby sama matka Jacques'a zadała mu podważające Biblię pytanie, nie zawahałby się na ułamek sekundy, rozszarpując ją na oczach wiernych, dając tym niepodważalny przykład wiary. Dokładnie tak malował się obraz wielkiego inkwizytora w jego oczach.

– Szczęść Boże – powitał go Pierre, którego nieprzyjemna woń nie była tak intensywna jak zwykle. Najwidoczniej zmienił habit, jednakże dalej nie był za pan brat z kąpielą. Bastiana aż swędział język, ażeby wspomnieć o uzdrawiającej sile wody, która zmywa nie tylko grzech pierworodny, ale i smród kumulujący się tygodniami na cielesnej powłoce.

– Pochwalon bądź, Panie – odparł melodyjnie. – Domyślam się, iż zmierzamy do lochów.

– Wy zmierzacie – mówił Pierre. – Ja już się cierpień naoglądałem. Ufam Jacques'owi bezgranicznie. Uczyni, co trzeba, i dotrze do wartościowych informacji. Ty zaś, chłopcze, jesteś bliżej swojego skarbu, niżes był kiedykolwiek. Czyń to, co on ci wskaże – wbił palec w Bastiana – a podążać będziesz u jego boku w płaszczu, na którego widok się bezwstydnie ślinisz. Nadzieję tylko skrywam, iż to marzenie ze świętych pobudek, nie z powodu władzy, jaką niewątpliwie daje boskie powołanie.

– Muszę się przyznać, również przed sobą, że dopiero Jacques objawił mi, jakie zadania stoją przed inkwizycją i jak katorżniczy jest to kawałek chleba.

– Dość tych zapewnień, do których pokrycia trzeba świadectwa – przerwał mu kardynał. – Idźcie już i czyńcie z bożą łaską to, co należy.

Prócz ciemności panującej w lochach posępnej osobliwości dodawał także cykliczny dźwięk kości uderzanej o metalowe kraty. Jeden

z więźniów raczył tą grobową melodią pozostałych, doprowadzając ich do szwskiej pasji.

– Od razu mnie zabijcie albo zabierzcie mu tego gnata – błagał ktoś zza krat, ciągnąc przy tym Jacques’a za rękaw płaszcza. Ten, nie główkując za wiele, zdzielił więźnia po paluchach tak mocno, że tylko zaskamlał mimowolnie, po czym zniknął w głębi okratowanego pokoju.

– I tam masz pozostać, aż wyjdę – pogroził inkwizytor.

Tak duże miasto jak Awionion potrzebowało licznych izb więziennych, toteż zanim doszli do Jacoba, kilkakrotnie skręcali to w prawo, to w lewo. Chociaż Bastian wizytował już komnaty, to wciąż obawiał się, czy zapamięta drogę powrotną. A za żadne diamenty tego świata nie chciał utknąć w labiryncie świrów, złodziei i skrytobójców, czyhających na jego gardziel, którą bez kłopotów rozpruliby w mgnieniu oka, tarzając się przy tym ze śmiechu we własnych odchodach.

Cela Jacoba i jego syna była niewielka, bez okien, do cna przesiąknięta uryną, czyli dokładnie taka sama jak znajdująca się tuż obok izba Mathieu i jego potomka.

– To może być niezwykle długi dzień, Jacobie – rozpoczął inkwizytor, stojąc z pochodnią, której płomienie wrogo odbijały się w jego źrenicach – albo niebywale krótki, jeśli tylko będziesz grał w grę, jaką ci zaproponuję.

– Nic ci nie powiem – odpowiedziała sylwetka skryta w cieniu.

– Najwidoczniej zdecydowałeś, że będziemy zabawiać się do zmierzchu. Ubolewam, ale musi to oznaczać, że jesteś nadzwyczaj odporny na psychiczny ból, jaki mam zamiar ci zadać. Bo wybacz, że nie skupię swej uwagi na tobie. Twój syn – jak mu na imię?

– Nie waż się go tknąć! – zagroził. – Jeśli tylko go ruszysz...

Zbył go machnięciem ręki.

– Któż by zastanawiał się nad tym, jak go zwa, gdy ja będę zaglądał do wnętrza jego ciała. Jak myślisz, Jacobie, ile może ważyć wątroba? Niezwykle mnie to frapuje. Niedługo poznam odpowiedź.

– Jeśli tylko włos mu z głowy spadnie...! – krzyknął Jacob, choć sam nie bardzo wierzył w siłę wypowiedzanych słów.

– Dajże spokój, Jacobie. Wiesz, co nastąpi. Mam zamiar urządzić twojemu pierworodnemu istną drogę krzyżową. Będę łamał kosteczkę po kosteczce, tłukł mięsień po mięśniu, a na sam koniec obedrę go ze skóry. A najciekawsze w tym wydarzeniu jest to, że nawet tego nie ujrzysz.

– Słucham? – Jacob wyszedł z cienia, z całych sił ścisnął kraty. Jego knykcie poczerwieniały.

– Dobrze pojmujesz. Gdybym robił to przy tobie, kłamałbyś. A ja potrzebuję szczerości. Na już.

Zdzielił Jacoba prosto w nos rękojęścią sztyletu, niepostrzeżenie wydobytego spod poły czarnego jak węgiel odzienia. Jacob od razu stracił przytomność. Osunął się na twardą posadzkę. Bastian i Jacques wtargnęli do środka i w akompaniamencie wrzasków Mathieu i jego syna wywlekli drugiego z osadzonych na zewnątrz celi.

– Zaprowadź go na górę – rozkazał Bastianowi. – A jak się zbudzi – zwrócił się do Mathieu, wskazując na leżącego Jacoba – przekaz mu, żeby gotów był odpowiadać na pytania, bo inaczej będę przysłał mu syna w kawałkach.

– Jak śmiesz? – spytał Mathieu, przytulając do piersi swojego syna. – Jakim cudem wysłannik Boga może postępować w tak parszywy sposób?

– Wyjaśnij, proszę – zachęcił.

– Posyłasz na śmierć niewinne dziecko – oznajmił z całą nienawiścią, na jaką było go stać.

– Cel uświęca środki, starcze.

Nie spoglądał za siebie mimo nawoływań i obelg ze strony Mathieu. Pora na ciebie jeszcze przyjdzie, pomyślał. Układał w głowie plan idealny, plan tak prosty i niewymagający wielkich nakładów sił, że pierwszy raz w życiu mógł stwierdzić przed własnym obliczem, że jest z siebie dumny. Po co ganiać za chmurą, kiedy chmurę można ściągnąć do siebie? – stwierdził w myślach.

Wkraczając do sali, w której znajdował się Bastian z synem Jacoba, potknął się o wystający próg, tracąc równowagę, i tylko refleks uchronił go przed upadkiem. Spojrzał na Bastiana, który właśnie masował sobie szyję z dziwnym grymasem, kompletnie nie zwracając uwagi na jego niezdarność. Nienawidził pokazywać się w infantylnych sytuacjach. Raniło to jego dumę, która nieustannie miała jawić się jako wartość bez skaz. Najmniejszych.

– Jak cię zwa? – spytał chłopca, masując przy tym obity o ścianę łokieć.

– Nic nie muszę ci mówić – burknął młodzieniec.

– Oczywiście, że nie – zgodził się Jacques. – A szkoda, bo to nie was chcę skrzywdzić.

Chłopak spojrział spode łba na Jacques'a, starał się wyglądać groźnie, co nie bardzo mu wychodziło. Niemniej jednak słowa inkwizytora rozpały w chłopcu iskrę nadziei, że wszystko jeszcze może wrócić do normy, że pozwoli odejść mu z ojcem do domu, by dalej mógł pobierać nauki o handlu i lichwie dla ubogich. Smutne oczy i zapadnięte łopatki młodzieńca ukazywały brak gotowości na zaistniałą sytuację. Chciał być zły na ojca, że znalazł się w tym miejscu, z tym człowiekiem, ale nie potrafił. Kochał go nade wszystko, to on nauczył go życia, dobroci dla bliźnich, spędzali razem każdą wolną chwilę. Jacob był jego tarczą od samych narodzin. Chłopak cały buzował w środku, chciał doskoczyć do szyi inkwizytora i szybkim uderzeniem w tchawicę pozbawić go oddechu, choć na moment. Tak dla samej satysfakcji.

– Georges. Georges Rieul, po ojcu – poddał się w końcu.

– Dobry początek. Ja jestem Jacques – przedstawił się – a to jest Bastian. Czy wiesz, dlaczego się tu znalazłeś?

– Ojciec zabronił mi z wami rozmawiać – powiedział łamiącym się głosem.

– Tak się składa, że twojego ojca tutaj nie ma. A ty możesz uratować zarówno jego, jak i siebie.

– Wiem, że nas zabijesz. Jak tylko dostaniesz to, czego pragniesz, nie będziemy ci już potrzebni i wypatroszysz nas jak ryby.

– Cóż! – Klasnął w dłonie. – Schlebia mi, że mam opinię tak bezwzględного tyrana, jednak to dalej tylko opinia. Możesz zaryzykować, wydać ludzi, których szukam. Dzięki temu przeżyjesz. Ty i twój ojciec. Co masz do stracenia?

– Honor – stwierdził bez wahania. – A tak mogę uratować ludzi, których pragniesz unicestwić.

– Co za czasy. Ludzie cenią dumę, odwagę i honor, rzucając na szafot swoje życie. Nie mam zamiaru cię namawiać ani prosić. Nie należę do takich osób. Mam w zwyczaju pytać dwukrotnie, potem zabijam. Zbyt istotne są dla mnie mijające minuty. A wizja rychłego powrotu do Maguelone jawi się słodko.

– Czego chcesz się dowiedzieć? – wyszeptał z żalem.

– Czy twój ojciec wie, gdzie jest Damien? Czy ty wiesz, gdzie on może być?

Georges nie zastanawiał się, chciał ratować ojca.

– Jaką mam gwarancję, że nic nam nie zrobisz?

– Żadnej. Jednak nikt nie podejmie dzisiaj decyzji za ciebie. Od teraz jesteś mężczyzną i bierzesz odpowiedzialność za słowa i czyny. Ja daję ci nadzieję, tylko i aż nadzieję. Nie mam zamiaru cię krzywdzić, bo w całej tej sytuacji znalazłeś się przypadkiem, z winy ojca lub Damiena. Lecz jeśli będę wiedział, że ukrywasz coś, co pomoże mi dopaść tego żywego trupa, to nie zawaham się, by wszelkimi znanymi mi metodami wyciągnąć z ciebie informacje.

– Wiem, że mój ojciec otrzymał list od Damiena, ale co w nim było, nie mam pojęcia. Nie daję mi czytać swojej korespondencji.

– Gdzie ją trzyma?

– W domu, w skrzyni zamykanej na klucz – westchnął. – Nie wiem jednak, gdzie on jest.

– Nie będzie nam potrzebny. Spisałeś się. Niestety nie wrócisz do ojca, nie możesz mieć z nim kontaktu. Nakarmię cię i napoję, zamknę w przyjemniej celi z oknem w pałacu papieskim. Znaj moją łaskę. A ty – zwrócił się do Bastiana – odnajdź skrzynię i przynieś mi całą jej zawartość.

Kłęczał z dłońmi ułożonymi do modlitwy, gdy Bastian wrócił z pakunkiem pod pachą. Jacques szybko zakończył rozmowę z Bogiem.

– Co tak długo? – spytał. – Nie było cię dobre trzy godziny.

– Mieliśmy mały problem – tłumaczył. – Skrzynia jest z żelaza i nie mogliśmy jej otworzyć. Dopiero Anthony podważył zamknięcie mieczem i rygle strzeliły.

– Masz to, co nas interesuje?

– Tak. – Wyciągnął rękę z zawiniętym pakunkiem. – Listów nie jest wiele. Raptem tuzin.

– Zaglądałeś?

– Założyłem, że wolisz być pierwszy.

– Słusznie. Daj. – Wyciągnął rękę po zbiór korespondencji. Prześledził dokumenty i już przy czwartym trafił na ten, którego szukał.

Drogi Jacobie,

mam nadzieję, że u Ciebie sprawy przebiegają tak płynnie jak u mnie. Miałem okazję zwiedzić piękne miasteczko Aiglun, w którym nie wszyscy ludzie byli równie uroczy. Załatwiłem tu ważną dla siebie sprawę, ale więcej opowiem ci po powrocie. Nie spodziewaj się mnie jednak w najbliższym czasie. Gdy zaś to nastąpi, wierzę, że uraczysz mnie jakąś niebrzydką, zdrową panną o blond włosach i jędrnej piersi, chętną figli

i czułości, jakich – jak wiesz – nie mogę dawać tyle, ile bym chciał, zważywszy na moje ciągłe podróże.

Muszę Ci również wspomnieć o kobiecie poznanej w mieście zwanym Crest, której krasa niewiele miała wspólnego z moim kanonem piękna, a mimo to nie tylko sprostała wyzwaniu, a i zdecydowanie podniosła poprzeczkę moich łózkowych oczekiwań. Na samą myśl mnie mrowi. Nie zakochałem się, rzecz jasna, dalej będę piewczą zabawą i czułych słówek dla płci pięknej. A samo miasto? Urocze, otoczone zewsząd górskimi szczytami, skąpane w rzece dzielącej miasto na wskroś! Ale po co ja ci to mówię? Krain zwiedziłeś równie dużo co ja.

Tymczasem, mój serdeczny bracie, udaję się do Lyonu, gdzie spędzę następne tygodnie. Nie wiem jeszcze dokładnie w jakim miejscu, ale jak znam życie i ludzi, to na pewno będzie to ciepłe ustronne domostwo. Tobie życzę, byś uraczył w miłości z kobietą tyle radości, ile czerpiesz z pożyczania pieniędzy!

Twój przyjaciel, Damien

Po przeczytaniu korespondencji Jacques zdecydował, że czas na ponowne odwiedziny w podziemiu.

– Twój syn nie potrzebował żadnej zachęty. Prawił jak na spowiedzi.

Jacob siedział na wilgotnym podłożu z łokciami opartymi na kolanach. Po policzkach spływały krople łez, a nos miał umorusany w zaschniętej krwi. Głowił się, jak odpowiedzieć na te zachepliwe słowa. Myśli przerwała mu kolejna wypowiedź Jacques'a:

– Nie warto wylewać łez.

– Daruj sobie! – Mathieu stanął w obronie przyjaciela. – Odpuść już temu człowiekowi.

– Nie pogarszaj swojej sytuacji, starcze – prychnął w jego kierunku inkwizytor i ponownie zwrócił się do Jacoba: – Mam listy.

– I o tym powiedział ci mój syn? Ha, ha – zaśmiał się szyderczo. – Potrzebowaliście dziecka do przeszukania domu? Inaczej byście tego nie zrobili?

– Prędzej lub później. Kim dla ciebie jest Damien?

– Nic ci nie powiem – odrzekł. – Jesteś wart tyle, ile głośzą twoje słowa, a te są puste jak katedra nocą.

– Powiesz – zagroził. – Powiesz albo...

Wywód przerwał mu Jacob.

– Zrób ze mną, co chcesz, zabij mnie, katuj. Niczego się ode mnie nie dowiesz. Nie teraz. Zabrałeś mi syna, który nie miał z tym nic wspólnego. Nie można równocześnie wyznawać wiary w Boga, będącego przykładem cnót i miłosierdzia, i zabijać niewinnych ludzi dla ziemskich interesów. Zmartwię cię czymś. Jak już dopuścicie ludzi do ksiąg, wiedzy i zezwolicie im myśleć samodzielnie, to Kościół i tacy uzurpatorzy wiary jak ty runiecie na ziemię niby liche zboże w rześistej ulewie.

– Nawet jeśli to nastąpi, nie będzie to za twojego życia ani za życia twojego syna, który wypoczywa w przyjemnej komnacie najedzony i napity.

Prawie niezauważalnie, tylko na moment, Jacoba ogarnął niepochamowany optymizm, szybko się jednak zreflektował.

– Ufać tobie to jak wejść do klatki z wygłodniałym tygrysem, naiwnie wierząc, że wspólnie poczekamy na obiad.

– Zrozum, że nie jesteś mi potrzebny – przekonywał szczerze Jacques.

– Nie pojmuję.

– Bo nie chcesz pojąć. Usilnie starasz się stworzyć rzeczywistość, jakiej nie ma. Atakujesz Boga i Kościół, lecz my nie mamy zamiaru cię skrzywdzić. Twój syn oddycha i ma się doskonale. Przyprowadzę go tu, jeśli odpowiesz mi na kilka pytań, potem będziecie żyć długo i szczęśliwie.

– Do momentu, aż schwytasz Damiena.

– Zgadza się. Dopadnę go, a wy odzyskacie wolność. To chyba uczciwy układ. Skoro Damien, jak prawi w liście, jest twoim przyjacielem, to nie przeżyłby, gdyby z jego winy zginął twój syn. Chyba się ze mną zgodzisz, prawda?

– Przyprowadź Georges'a, to powiem ci, co chcesz.

– Odpowiesz mi teraz, a to dlatego, że nie jestem na twoje posyłki i jeśli zechcę, to skrzywdzę Georges'a. Wiesz o tym. Nie chcę tego robić, ale jeśli nie dasz mi wyboru... – Uśmiechnął się. – Chcę możliwie najszybciej dobrać się do skóry Damiena. Twój syn nie wie o nim nic, ale zginie, jeśli jego ojciec mu nie pomoże. On zawałczył o ciebie, teraz ty zawałcz o niego i opowiedz mi o Damieniu, a potem dalej rozdawaj pieniądze ubogim.

Więźniowi nie pozostało nic prócz zawierzeniu słowom inkwizytora. Na szali miał przyjaźń oraz własne dziecko. Wybór, choć bolesny, był oczywisty.

– Damien jest moim przyjacielem, to wiesz. Ale co tak naprawdę jest ci potrzebne?

- Gdzie się udał?
- Do Lyonu.
- Zabawne.
- Wiem tyle co ty. Nie otrzymałem żadnej innej korespondencji.
- Znał tam kogoś, do kogo mógł jechać?
- Choć wiem, że będziesz sądził, iż kłamię, to zaprawdę powiadam ci, nie mam pojęcia. Udał się do Lyonu.
- Jego pełne nazwisko – rozkazał w pośpiechu. – Podaj mi jego nazwisko.

Jacob chwilę bił się z myślami. Targały nim skrajne emocje, lecz znów musiał się poddać.

- Damien LeBrun – wyszeptał niewyraźnie.
- Nie słyszę.
- Damien LeBrun! – krzyknął tak donośnie, że nawet Jacques lekko się wzdrygnął.
- Jaką sprawę miał do załatwienia w Aiglun?
- Skąd mogę wiedzieć? – odrzekł szczerze. – Nie spowiada mi się ze wszystkiego.
- Ale jest twoim przyjacielem i jestem przekonany, że informował cię o celu podróży.
- Naprawdę nie mam pojęcia – skłamał.
- Zwodzisz mnie. Nie pozostawiasz mi wyboru. Nie chcę krzywdzić twojego syna.

Jacques odwrócił się na pięcie.

- Damien nigdy nie mówi mi o swoich planach – wykrzyknął. – Wiem, że coś zrobił. Nie siedziałbym tu, gdyby było inaczej. Zapewne kogoś zabił lub oszukał. Jednak zawsze powtarzał mi, że dla mojego dobra lepiej, żebym nie wiedział, czym się zajmuje. Chciał mnie chronić. Mnie i Georges’a.

Jacques nie zawierzył temu krótkiemu monologowi, ale odwrócił się i oznajmił:

- Zabił inkwizytora. – Oczekiwał jakieś reakcji, jakiegoś znaku od Jacoba, jednak nic prócz lekkiego zdziwienia nie ujrzał. – Teraz wystarczy poczekać.
- O czym mówisz?
- Straciłeś swoją szansę. A ja nie uwierzyłem w ani jedno twoje słowo. – Nie dodając nic więcej, zniknął w cieniu korytarza.

– Wyznaczę ludzi, którzy wyruszą do Lyonu – powiedział Jacques. – Rozwieszają na bramach kościoła i ratusza anons.

– Co ma głosić? – zaciekał się Bastian.

– Zaproszenie na ścięcie człowieka imieniem Jacob Rieul za pomoc w zabójstwie inkwizytora, której dokonał wraz z Damienem LeBrunem. I każdy, kto dostarczy o nim czy o miejscu jego pobytu jakiegokolwiek informację, może liczyć na godziwą zapłatę. Wykonanie wyroku ziści się w połowie drugiego tygodnia września. Dokładnie w południe. A dzień wcześniej, ku uciesze tłumu, kat zetnie głowy Mathieu i jego syna za pomoc w próbie ucieczki mordercy.

– Toż to ponad tydzień. Po co tyle czekać?

– Na Damiena – oznajmił z satysfakcją w głosie. – Na Damiena LeBruna.

– Nie pojmuje.

– Damien udał się do Lyonu – to pewne, ale czy przebywa tam na stałe, czy tylko bywa, nie wiemy. Dlatego musimy dać mu czas.

– By ujrzął informację o swoim przyjacielu.

– Dokładnie. I albo będzie próbował odbić go wcześniej, na co będziemy gotowi, albo w dzień egzekucji.

– Na co również będziemy przygotowani – dopowiedział sobie Bastian.

– Brałem pod rozwagę twoją obecność w Lyonie.

– On mnie zna, wie, jak wyglądam. – Bastian brzmiał, jakby zgłaszał skargę na sąsiada niepłacącego podatków.

– Dlatego poczekaś tu ze mną. Nim informacja dotrze na miejsce, ty zostaniesz inkwizytorem.

Tego się nie spodziewał. Nie dzisiaj. Nie teraz. I nie dlatego, że nie chciał, że temat zaczął być mu obojętny. O nie. Bardziej zastanawiające było, dlaczego Jacques nagle wyraził gotowość do mianowania go inkwizytorem, mimo że sprzeciwiał się temu, od kiedy tylko Bastian stanął na jego drodze.

Niestety tej tajemnicy nie było mu dane odkryć. Bynajmniej nie teraz.

Rozdział XI

– Zadry najlepiej goją się w doborowym towarzystwie, a takowe mi zapewniliście, drodzy przyjaciele, za co wam serdecznie dziękuję – rzekł wyraźnie upojony Damien, stojąc w bramie z Karolem. Zamierzali udać się do Lyonu na ponowne spotkanie z kobietą, którą LeBrun był w stanie pokochać. Tak po prostu. I jakież zdziwienie malowało się na jego twarzy, gdy ujrzał pędzącą konno w ich stronę Veronicę.

– A to ci zagwozdka – stwierdził równie mocno zaskoczony Karol, gdy jego wzrok utknął w tym samym punkcie. – Mówiłeś jej, gdzie się wybierasz?

– Tak, odradzała mi to – oznajmił.

– Nie wygląda na zadowoloną.

– Cóż – powiedział zaniepokojony – obiecałem jej, że nie usłucham twych próśb, jakie by one nie były.

– Jesteś zaskoczony? – spytał. – Wyruszyłeś na bitwę, z której mogłeś nie wrócić. No i załamałeś obietnicę daną kobiecie. A Veroniki się nie okłamuje.

– Obawiam się, przyjacielu, że nie to jest powodem jej wizyty.

Damien zamknął drzwi zamczyska, by goście nie słyszeli nadchodzącej rozmowy.

– Zatem co? – spytał zaintrygowany Karol.

– Nie mam pojęcia – odparł szczerze. – I to przeraża mnie jeszcze bardziej.

Veronica zeskoczyła z konia i, nie tracąc rezonu, wspięła się żwawo po schodach do gapiących się na nią z niepokojem Damiena i Karola.

– Coś się stało? – zaczął Karol.

Veronica nie odpowiedziała. Zamiast tego ściągnęła rękawiczkę i plasnęła Damiena otwartą dłonią w policzek. I już chciała to samo uczynić drugą dłonią, lecz Karol powstrzymał ją, chwytając za nadgarstek.

– Uspokój się. Powiedz, co się stało – polecił. – Skąd ta złość?

– Puść mnie – nakazała z wściekłością w oczach i wyrwała się z uścisku Karola.

– Powiedz, co się stało – powtórzył.

– Niech on ci powie – wskazała na Damiena.

Damien tylko wzruszył ramionami i dodał:

– Cóż, rozumiem, że nie chodzi o to, że cię nie posłuchałem i wyruszyłem z Karolem.

– Tego nie powinnam nawet komentować. Oszukałeś mnie i to nieraz! Skryłeś przed nami wszystkimi, kim naprawdę jesteś!

– Droga Veronico – próbował mówić z największą sobie znaną rozwagą – widzę, że jesteś wściekła, ale nie czytam w myślach. Racz, proszę, wyjaśnić nam, coż jest przyczyną twego wzburzenia.

– Wzburzenia? – Wzięła się pod boki. – Nazywasz to wzburzeniem? Kim ty w ogóle jesteś, morderco?!

Karol zerknął na Damiena, który nawet nie drgnął.

– Cały Lyon już wie, co żeś uczynił. Wszyscy goście z twojego wesela – zwróciła się do Karola – pytają o niego.

– Byłabyś tak uprzejma wyjaśnić dokładnie, co się, do jasnej cholery, dzieje?! – rzekł Karol.

– On zabił inkwizytora! – wystrzeżiła.

Karol nie udawał zaskoczonego. Spytał od razu:

– To prawda?

Damien nie odpowiedział.

– Odpowiedz – prosił. – Veronica mówi prawdę?

– To nie jest wasz interes – burknął.

– Otóż nasz – odezwała się Veronica – a już na pewno jesteś mi winien wyjaśnienia.

– Zrobiłem to, co było słuszne. I nikomu nie muszę się z tego spowiadać.

– Wiesz, co grozi za zabójstwo inkwizytora? – Karol chciał przekonać się, iż Damien rozumiał, co uczynił.

– Śmierć – wzruszył ramionami. – O ile zdołają cię złapać.

– Twojego współnika już mają – oznajmiła Veronica.

– Słucham?

– Dobrze słyszałeś – potwierdziła. – Schwytali twojego współnika.

Damien stracił rezon, który jeszcze przed sekundą był jego tarczą nie do przebicia. Chwycił Veronicę za ramiona i z całą sympatią, jaką ją darzył, zapytał:

– Proszę cię. Powiedz mi wszystko, co wiesz. Okłamałem cię, ale nigdy nie zwodziłem w sprawie moich uczuć względem ciebie.

Veronica, choć niechętnie, poddała się czułym zapewnieniom Damiena. I wprawdzie nie знаła go dobrze, poczuła, że sprawa ta niezwykle go zmartwiła.

– Wczoraj przyszedł do mnie jeden z twoich przyjaciół obecny na weselu.

– Jej wzrok przeskoczył na Karola. – Dopytywał o Damiena. Chciał wywiedzieć się, gdzie jest i co mnie z nim łączy. Odparłam tak jak ty – wróciła do Damiena – że to nie jego interes. Ten mi na to, że jeszcze się okaże. Nie rozumiałam jego słów. Jednak zaraz potem przyszła do mnie moja służba, oznajmiając mi, że powinnam uciekać. Nie miałam zamiaru ich słuchać, lecz moja gosposia wspomniała o anonsie wiszącym na drzwiach kościoła.

– Anonsie? – dociekał Karol. – Co głosi?

– Damien LeBrun jest poszukiwany za zabójstwo inkwizytora i kilku innych jegomości. Schwymano już Jacoba Rieula wraz z synem, którzy ci w tym pomagali, oraz jakiegoś Mathieu. Ten podobno pomagał w próbie ucieczki tego całego Jacoba przed strażą inkwizycji. Chciałam to potwierdzić, samodzielnie zapoznając się z anonsem, ale moja siostra przekazała mi, że ludzie gadają o mnie i że szykują się na mnie. Nie miałam wyboru, skierowałam się tutaj, sama nie wiem po co.

Nogi ugięły się pod Damienem, w jego oczach zagościły rzadko widywane strach i troska. Jednakże było w nich coś jeszcze – wściekłość. Nieopisana wściekłość.

– Co z twoimi dziećmi? – zmartwił się Damien. – Są bezpieczne?

– Pieniądze potrafią chronić lepiej niż zbroja – oznajmiła. – Mam ludzi, którzy do mojego powrotu zaopiekują się dziećmi i rodzicami z dala od Lyonu.

– A Joanna? – zapytał przełknięty Karol. – Została w Lyonie?

– Nie. Jest razem z moimi ludźmi. Bezpieczna.

Karol odetchnął z niekłamaną ulgą.

– Czy ktoś mógł cię śledzić? – spytał Damien, skupiając wzrok daleko za plecami Veroniki.

– Nie mam pojęcia. Nikogo za sobą nie widziałam.

– Myślę, że jesteś nam winien wyjaśnienia. – Karol poparł tezę Veroniki.

– Nic nie jestem wam winien – mruknął groźnie. – Jest to moja prywatna sprawa.

– Posłuchaj mnie – nalegał Karol. – Pomogłeś mi, za co jestem ci dozgonnie wdzięczny, ale wygląda na to, że teraz cała moja rodzina oraz rodzina Veroniki jest w niebezpieczeństwie. Nie znamy się długo, ale wystarczająco, bym mógł bez żadnych wątpliwości stwierdzić, że nie jesteś bezdusznym człowiekiem, który za nic ma nieszczęście innych. Tym bardziej nie wierzę, że możesz być ich bezpośrednią przyczyną.

Damien rozważył słowa Karola. Połowę swojego żywota poświęcił pomocy ciemżonom i niesprawiedliwie osądzanym ludziom, których – kiedy tylko nadarzyła się ku temu stosowna okazja – ratował z opresji. Teraz sam sprowadził na przyjaciół Świętą Inkwizycję i tylko on mógł wyciągnąć Jacoba z kłopotów. A pierwszym do tego krokiem było wyjaśnienie Karolowi i Veronice powodów, dla których jego wieloletni przyjaciel, co gorsza – wraz ze swoim synem, miał stracić głowę.

– Tak. Zabiłem Casimira, inkwizytora, o którym mówisz, wraz z jego nic niewartymi pomocnikami. – Opowiedział im o potyczce w Aiglun, oszczędzając krwawych szczegółów. Veronica wraz z Karolem cierpliwie, w pełnym skupieniu wysłuchali historii, która pozwoliła im pojąć bodziec pchający Damiena do tak samobójczej misji.

– Nie zostawimy cię z tym samego – rzekł Karol, gdy tylko Damien skończył swą opowieść.

– Nie – uciął krótko. – I tak już wystawiłem was na niebezpieczeństwo.

– Ale wyjątkowo dużo zyskaliście dzięki tobie – przekonywał go Karol. – Zwróciłeś mi brata, a on odzyskał swoją ukochaną.

– Przecież to jak zaproszenie was na śmierć.

– Jeśli nic nie zrobimy, ona i tak nadejdzie. Będą nas szukać. Ciebie, Veroniki, jej dzieci. Skoro gotowi są zabić twojego przyjaciela, mimo iż nic nie zrobił, to wydaje ci się, że nam dadzą spokój?

– Zrozum, Karolu, że próba odbicia mojego przyjaciela, nawet jeśli zostanie zakończona sukcesem, nie spowoduje, że Kościół przestanie mnie ścigać. Zostaniecie tutaj, a jeśli ktoś was schwyta, będziecie mogli powiedzieć, że o niczym nie wiedzieliście. A jak nie przepadam za Kościołem, tak wiem, że czasem i oni potrafią być sprawiedliwi.

– Tylko że ja uciekłam – wtrąciła się Veronica. – A to jest jednoznaczne.

– Veronica ma rację – potwierdził Karol. – Już jesteśmy w tę sprawę wciągnięci.

– Nie mogę o nic was prosić.

– I nie musisz – oznajmił przyjaciel. – Pozwól sobie pomóc tak, jak ty pomogłeś nam. Ja, ty i mój brat, wspólnie damy radę. Raz jeszcze.

– Inkwizycja to coś więcej niż ludzie w wilczych skórach. Poza tym będą na mnie czekać.

– Na ciebie. Nie na nas. To daje nam przewagę.

Damien zdał sobie sprawę, że nic nie wskóra, próbując odwieść Karola przekonanego już do działań od jego pomysłu, i wbrew swoim pierwotnym założeniom uległ przyjacielowi.

– Kiedy ma się odbyć wykonanie wyroku? – zapytał Damien.

– Jacob z synem mają zostać straceni w środku drugiego tygodnia dokładnie w południe. Ten drugi, dzień wcześniej, czyli...

– Pojutrze. Mamy szansę zdążyć – kończył Karol.

– Wszystko na to wskazuje – wtórowała mu Veronica.

– Tylko dlaczego robią z tego osobne wydarzenia? – zachodził w głowę Damien. – Dlaczego nie chcieli zabić ich razem?

– Przecież wiesz, jaka jest inkwizycja. Chodzi o pokazanie siły i pogrozenie palcem, żeby innym nie przyszło na myśl buntować się przeciwko wierze.

– Niby tak – zgodził się. – Poza tym to rozrywka gromadząca największą publiczność.

– Spróbujmy więc przekonać Grega i ruszajmy, póki nie jest za późno.

Weszli z powrotem do zamku, by omówić zaistniałą sytuację. Greg przytulał się właśnie do piersi narzeczonej.

– Nie pomogę wam – odparł. – Dopiero co odzyskałem ukochaną.

– I zaraz możesz ponownie ją stracić – przekonywał Karol. – Tym razem na zawsze.

– Zrozumcie – tłumaczył. – Nie możecie mnie o to prosić. Dopiero ją odzyskałem i ponownie mam ją opuścić? Przecież to niedorzeczne! Dziękuję ci, Damienie, że mi pomogłeś, ale pojmujesz, czym jest twa prośba?

– Tym samym, czym twoja – wtrącił się Karol, skutecznie zabierając głos Damienowi. – Gdyby nie on, nie obzerałbyś się dzisiaj dziczyzną, tylko gryzłbyś piach, a twoja Marietta ze związanymi nogami leżałaby piętnaście stóp pod ziemią!

– Wiem – zgodził się potulnie. – I jestem za to dozgonnie wdzięczny, ale nie mogę!

– No niech mnie piorun trafi, żeśmy z tej samej gliny ulepieni – wycedził Karol przez zęby. – To się nie...

– Daj spokój, Karolu – wtrącił się Damien. – Nie możesz mu się dziwić.

– Ale ja mogę – odezwała się Marietta, odpychając Grega od swojej piersi. – Że jeszcze trzeba cię prosić po tym, co dla nas zrobili. Gdyby nie on – pokazała na Damiena – dzisiaj obejmowałbyś co najwyżej puste krzesło. On dał nam nadzieję, że jeszcze możemy być razem. Bierzmy się i ruszajmy.

– Dokładnie – uniosła się ze swojego krzesła Veronica.

– Na to nie pozwolę! – sprzeciwił się Damien. – Na to nie zgodzi się żaden z nas. Wy nigdzie się nie ruszacie.

– Nie ma mowy! – oburzyła się Veronica, krzyżując ręce na piersi. – Czyś to nie ty prawil, że kobieta równa jest mężczyźnie?

– I zdania nie zmieniam, aczkolwiek twoje dzieci potrzebują cię znacznie bardziej niż my. Schrońcie się, a gdy już będzie po wszystkim, spotkamy się i uciekniemy tam, gdzie nawet długie macki Kościoła nie zdołają nas osiągnąć.

Jeszcze przez moment drobna, acz zadziorna jak kogut Marietta stawiała opór, lecz za namową Veroniki dała w końcu za wygraną, decydując się puścić narzeczonego na wyprawę do Awinionu.

Greg pakował na konie jedzenie, bukłaki z wodą i tyle rodzajów broni, ile znalazł w swoim niewielkim, acz pojemnym arsenale. Damien musiał interweniować, gdy nogi wierzchowców zaczęły się niebezpiecznie uginać.

– Przyjacielu – westchnął. – Cztery miecze? Nie sądzisz, że to nazbyt duży ekwipunek? Nie będziemy okopywać się w rowach, czekając na szturm wroga, i rzucać nimi w najeźdźców. W tej walce nie będzie zmian pozycji, tylko jedna cicha bitwa. A kto wie? Może uda nam się odbić Jacoba bez rozlewu krwi. Wybierz ten, który wygodnie leży ci w dłoniach, i błagam, nie męcz koni. One mogą być naszym jedynym ratunkiem, dlatego tym bardziej upraszam cię o powściągliwość w okładaniu ich metalem.

– Masz rację, przepraszam. Ale to – pokazał na srebrne pazury – biorę ze sobą.

Damien uśmiechnął się. Greg odebrał to jako zgodę.

Cała szóstka zegnała się bez końca, nie szczędząc sobie czułości i zapewnień o rychłym spotkaniu. Tylko Damien nie był w stanie złożyć podobnych obietnic.

– Polubiłem cię. – Pogłaskał Veronicę delikatnie po policzku.

Nie płakała i nie dała po sobie poznać, że w jakikolwiek sposób cierpi. Jeśli w ogóle tak było. Już raz straciła męża, ale pozostały jej dzieci. I to nimi musiała się zaopiekować.

– I ja ciebie, Damienie – zapewniła szczerze. – Wrócisz.

– Cieszę się, że chociaż ty w to wierzysz. – Puścił jej oczko.

– Oni też wierzą. Spójrz na nich – Wskazała na uśmiechającego się Karola poklepującego po barkach brata, który właśnie całował dłonie swej ukochanej. – Nie szliby z tobą, gdyby ci nie ufali i nie byli przekonani o kolejnym tryumfie. Poradzisz sobie z uwolnieniem skazanych tak, jak zrobiłeś to z wilkami.

– Niech tak się stanie. Bywaj, przyjaciółko. – Ucałował ją mocno i wskoczył na Cezara.

– Będę czekać. Gotowa – dodała kokieteryjnie.

– W takim razie nie mam wyboru i do zobaczenia!

– Do zobaczenia.

Veronica nakreśliła Damienowi położenie obozu, w którym miała czekać nie dłużej jak do piątego dnia po wykonaniu wyroku. Potem rozjechali się w przeciwne strony. Veronica prowadziła swój kondukt, w mgnieniu oka znikając w gęstwinie.

– Wrócimy? – zapytał Karol.

– Wrócimy? – powtórzył Damien. W jego głosie dało się słyszeć powątpiewanie.

Rozdział XII

Skwarny dzień wrzosowego miesiąca z wolna dogasał, słońce chowało się za monstrualny pałac papieski, rzucając na plac cień dwóch przytwierdzonych do piaskowego przybytku krzyży. Dzień jak każdy inny. Pasterze wypasali bydło na pobliskich łąkach. Kramarze wystawiali złociste zbroje, garbarze miękkie skóry, rzeźnicy krwiste i żylaste mięsa, rybacy świeżo złowione ryby, a ogrodnicy kolorowe warzywa i soczyste owoce. Wszyscy głośno zachęcali przechodniów do kupna swojego towaru, zapewniając o jego wyższość względem produktu sąsiada. Skrybowie zmuśnięcie przepisywali dokumenty, a jubiler z należytą starannością szlifował diament, opracowując idealny kształt. Dekarz pokrywał strzechą jedno z domostw, podczas gdy tkacz wykańczał niebieską farbą tkaninę. Mieszkańcy razem i każdy z osobna zanurzeni w codziennym trybie życia.

Jednak nie Bastian.

Dla niego wszystkie te czynności były dziś niczym płynący gdzieś w oddali strumyk. I zdawał sobie sprawę, że ów strumyk jest źródłem życia, jednakże teraz i bez tego unosił się metr nad ziemią, gdyż miał zaspokoić swoje pożądanie, swój głód istnienia, którego zwykła woda nie ukoi. Szczypał się po stokroć, upewniając się, że nie śni.

Pomieszczenie, w jakim się znajdowali, było tak szerokie i tak wysokie, że najmniejszy stuk czy słowo szeptane cicho wybrzmiewały jeszcze trzykrotnie, tak by każdy zdążył usłyszeć, przyswoić i w przyszłości wykorzystać zasłyszane prawdy. Wrażenie potęgował fakt, iż salę okupował raptem tuzin dostojników Kościoła z kardynałem Pierre'em Fillionem i Jakiem Begreonom na czele. Prócz nich ceremoniał chroniło pięciu strażników.

Casimir byłby z niego dumny, pomyślał Bastian. Stał w samym centrum sali. Ostatnie promienie słońca wdzierające się przez okna oświetlały jego sylwetkę, a członkowie papieskiej enklawy bacznie obserwowali jego

ruchy. Mimo iż znajdowali się z dala od niego, w ciemnych zakątkach pawilonu, czuł na sobie ich przenikliwy wzrok.

Pierwszy podszedł do niego Pierre Fillion.

– Jesteś gotów? – wyszeptał kardynał, jakby chciał ukryć przed resztą nadchodzące wydarzenie.

Bastian uklonił się nisko.

Nie bacząc na pusty, przerywający od czasu do czasu tę podniosłą chwilę wewnętrznymi odgłosami żołądek, twardo stał na nogach, czekając na następne słowa kardynała.

– Bastianie, złożysz przysięgę przede mną oraz prowincjałem. Jaques’u – zawołał, nie odwracając się za siebie – podejdź, proszę, i przyjmij nominację jako generał zakonny Awinionu.

Jacques zbliżył się, dzierżąc w dłoniach Biblię. Uklonił się biskupowi i zwrócił się do Bastiana:

– Zgodnie z prawem złożź Iusiurandum.

Bastian ponownie uklonił się, tym razem generałowi, położył prawą dłoń na Piśmie Świętym i rozpoczął monolog:

– Ja, Bastian Gauthier z Nimes, przysięgam na Ewangelię, jednego prawdziwego Boga oraz Święty Kościół, że zachowam w sercu i duchu i bronić będę jedynej słusznej wiary. Przysięgam na grób Jezusa Chrystusa występować przeciwko herezji w każdej postaci i wszelkich jej wyznawcach, i sympatykach, i obrońcach. Obiecuję oskarżać ich, aresztować i osądzać zgodnie z boskim prawem. Przysięgam przesłuchiwać tych, wobec których takie podejrzenie zaistnieje, nie chroniąc przy tym sąsiadów, przyjaciół czy rodzin, jeżeli takowa zaraza i ich obsiadzie. W każdym zobowiązaniu, jakie dotyczy inkwizytora, przysięgam swe oddanie i wieczne posłuszeństwo Bogu i Świętemu Kościołowi.

– Czyś dostąpił chrztu świętego jak nakazuje wiara Kościoła rzymskiego? – spytał Jacques.

– Za sprawą matki i ojca w rodzinnym mieście Nimes.

– Czy wyrzekasz się herezji? – kontynuował procedurę papieską.

– Wyrzekam – zapewnił z całą stanowczością.

– Czyś kiedykolwiek zawierzył heretykowi, wyznając jego poglądy?

– Nigdy – mimowolnie pokręcił głową. – Tak mi dopomóż Bóg.

– Ja, władzą namaszczony przez samego Stwórcę i na mocy urzędu generała prowincji, jaki zaszczyt mam sprawować, mianuję cię inkwizytorem, byś dumnie i sprawiedliwie służył Bogu, a twa wiara niech

nigdy nie będzie zachwiana. Twa dusza niech nigdy nie splami się wstydem, byś zawsze kroczył ścieżką Boga.

– Tak mi dopomóż, Ojcze Wszechmogący.

Bastian ukląkł i zatopił się w długotrwałej modlitwie. I – o dziwo – prócz pacierza jego głowy nie zaprzętały żadne inne myśli. Stał się inkwizytorem z krwi i kości.

Rozdział XIII

Drzwi uchyliły się, do izby wszedł Jacques.

– Niebawem czeka nas skazanie Mathieu i jego syna – rzekł do Bastiana podziwiającego swój czarny inkwizytorski płaszcz. – Jesteś gotów poprowadzić to wydarzenie dla gawiedzi?

Chwilę zajęło, nim Bastian raczył odpowiedzieć.

– Tak.

– Nie lękasz się?

– Czego? – spytał, prostując zagięcia płaszcza.

– Damiena – odparł. – Może wykorzystać ten dzień, by zaatakować.

– Jeden człowiek przeciwko dwóm inkwizytorom i gromadzie strażników? – odparł ironicznie. – Obawiam się, że kiedy my będziemy bawić się w ścięcie Mathieu, on może próbować odbić Jacoba z lochów. Wolałbym całą swą uwagę skupić na celi jego przyjaciela i tam wzmocnić wartę. Ważne, że jesteśmy na niego gotowi. Nie to mnie jednak nurtuje.

– Hm? – ciągnął Jacques.

– Dlaczego nagle zgodziłeś się mianować mnie inkwizytorem? – zagadnął. – Opuszczając Crest, nienawidziłeś mnie całym sobą. Byłbyś pierwszy, który wbiłby mi sztylet w serce, gdyby tylko nadarzyła się taka okazja.

– Uczyniłbyś dokładnie to samo ze mną, nieprawdaż, Bastianie?

– Taaak – wyznał szczerze. – Jednakże wciąż nie rozumiem, jaki masz w tym cel.

– Jeśli chcesz wiedzieć, czy coś zmieniło się w moim postrzeganiu twojej osoby, to nie. Wciąż uważam, że nie zasłużyłeś na to, by być inkwizytorem, i to nie ja podjąłem decyzję, byś nim został, tylko Pierre Fillion. Na moją prośbę schwytałeś Jacoba, dodaj do tego wszystkie fundusze, jakie przeznaczyłeś kardynałowi na rozwój Kościoła, i otrzymasz odpowiedź, jak ci się to udało.

W Bastianie narastała frustracja, nie uciszyło to Jacques'a.

– I niezmiernie bawi mnie twoje podniecenie tym faktem. Jesteś jak Casimir, który plamił ten strój, zmuszając ludzi do oddawania wszystkich oszczędności za wymyślone przewinienia oraz zabijając niewinnych ludzi. Teraz ty, Bastian z Nimes, uśmiechasz się durnie i choć jeszcze nic nie zrobiłeś, już przynosisz wstyd organizacji. Casimir przynajmniej dostąpił tego zaszczytu słusznie, za zasługi, dopiero później stał się ropniakiem Kościoła. Ty po prostu miałeś pieniądze. Ale nawet z nimi nie jesteś nic wart.

– Powszechnym zjawiskiem w naszej już organizacji – odpowiedział Bastian – jest przyzwolenie na pojmowanie świata i uczynków wedle własnego sumienia. Bo jakże wytłumaczysz mi zabicie Stanisłasa, człowieka przecież niewinnego, o czym tak wesoło i z przekonaniem godnym aktora opowiadasz? A skoro pieniądze są dla ciebie nic niewarte, to jakim kłopotem było dać miedziaka Bogdanowi w Crescie, zamiast przebijać mu dłoń zimnym żelastwem? No i w końcu może uruczysz mnie opowieścią o twojej wizycie w Valence? Chociaż wiesz co? Nie musisz. Domyślałam się, że o sprawiedliwym wyroku kobiety te mogły tylko pomarzyć. Jesteś taki jak ja, Jacques’u.

Jacques skoczył do Bastiana, popchnął go wprost na ścianę i przystawił do szyi sztylet. Bastian jeszcze nigdy nie widział go tak wzburzonego. Tak wściekłego. Odchodził od zmysłów.

Czoło Jacques’a wygładziło się niczym perski dywan, nie pozostawiając żadnej zmarszczki, klatka piersiowa zwiększyła objętość dwukrotnie, przez co i tak ogromna sylwetka generała wyglądała teraz monstrualnie. Oczy zaszklily się, nie z poddania się czy smutku, lecz niepohamowanej nienawiści.

– Nie jestem taki jak ty – wycedził przez zaciśnięte zęby.

– Czyż to nie ten sam nóż, którym zamordowałeś Stanisłasa i zraniłeś karczmarza? – prowokował dalej Bastian. – Jak wytłumaczysz przed swoim Bogiem ten występki? Że zabiłeś mnie, bo powiedziałem ci prawdę? Bo w końcu ktoś przestał się ciebie bać?

Jacques zwolnił uścisk, Bastian nie przestawał mówić.

– Na każde morderstwo, na każdy niegodziwy uczynek masz wytłumaczenie. Jesteś taki jak ja. I Casimir. My lubujemy się w pieniądzach, władzy. Tobie zaś wydaje się, że jesteś jednym słusznym piewcą wiary, że jako jedyny postrzegasz ją taką, jaka jest, jaką być powinna.

– Zabiłbym samego Boga, gdyby w sobie zwątpił! – wykrzyczał Jacques, po czym zniknął w korytarzach papieskiego pałacu, pozostawiając Bastiana w samotności.

Rozdział XIV

Gwieździste niebo nad suchą polaną, na której postanowili spędzić noc, oświetlało ich zmęczone twarze równie mocno, co dogasające z wolną ognisko. Karol dołożył liściastych gałęzi, które przy spotkaniu z iskrą puściły gryzący dym, a ten z pomocą wiatru wywołał natychmiastowy kaszel wśród trójki mężczyzn.

– Pierwszy raz? – zaśmiał się Damien.

– Bardzo zabawne. Skąd mogłem wiedzieć, że wiatr zawieje akurat w naszą stronę?

– Gdybyś częściej bywał na łonie natury, zamiast bawić się w medyka, to byś wiedział takie rzeczy – dorzucił Greg.

– Oj, zamknij się i jedz – odmruknął. – Żebyś zawsze był taki mądry jak przy ogniu.

W niewielkim garnuszku podgrzali mięso zabrane z ostatniej uczy. Obawiając się przypalenia, podlali je niewielką ilością wody i wina. Pozostałą część alkoholu Karol z Damienem wykorzystali do nieustającego płukania gardła. Greg zadowalał się ciemnym pitnym miodem, zagryzając go kurczakiem i długo dojrzewającym, twardym serem. Zaraz potem ściągnął śmierdzące buciska i z założonymi rękami na brzuchu uwalił się na ziemię. Zapachy, jakie wydobywały się z naczynia, zaprosiły całą gromadę leśnych zwierząt, których ślepa błyszcząły w wysokiej trawie.

– Musisz uraczyć nas historią – powiedział Karol, siadając na pniu znalezionym nieopodal – jaka zjednała ciebie i przepiękną Veronicę.

– Nie sądzę, by Veronica sobie tego życzyła – wymamrotał z pełnymi ustami Damien, zalewając je obfitym łykiem wina.

– Nie daj się prosić – ciągnął za język Karol. – Równie dobrze jutro może nas nie być, a ja nie zasnę, jeśli nie usłyszę, jak tego dokonałeś.

– Napij się tego wstrętnego sikacza – przekazał mu nad ogniem butelkę wina – a padniesz, nie zdążywszy przykryć się kocem.

– Zaciągnąłeś ją siłą? – nalegał Karol.

– Skądże! – oburzył się. – Jak w ogóle mogłeś tak pomyśleć? Wyglądam ci na szelmę, huncwota jakiego, co kobiet o zdanie nie pyta?

– Nie mam cię za nicponia, wszakże znam Veronicę. Po śmierci męża pół Francji smaliło do niej cholewy. Z jakim efektem, donosić chyba nie muszę.

– Znajome są mi te sensacje, wszakże nijak mają się one do naszego spotkania.

– Co masz na myśli?! – zaciekawił się gorliwiej.

– Teraz to i mnie żeś wciągnął w tę powiastkę – wtrącił, do tej pory głuchy na dysputy, Greg. Podniósł tułów i oparł się na ręce. – Mówże! – nalegał.

– Jak dzieci. Albo i gorzej – wyszeptał. – Śpijcie już.

– Co to, to nie. Nie położę się dopóty, dopóki nie dowiem się, jak zachęciłeś tę niewiastę.

– Nie dacie za wygraną, co?

– Damien – mówił Karol. – Nazajutrz ta historia będzie już echem tej polany. Idziemy z tobą na śmierć, nie jesteśmy głupi. Wiemy, jakie mamy szanse.

– A raczej, że ich nie mamy – poprawił go Greg.

– Dokładnie – kontynuował. – Bądźże powodem ostatniego uśmiechu w naszym życiu.

Damien uniósł głowę, zerknął na czubek najwyższej z sosen i uśmiechnął się na wspomnienie, które tak wyraźnie malowało się w jego głowie.

– Pod jednym warunkiem – zaznaczył.

– Czego tylko sobie życzysz. Co nam zostało, obiecanki?

– Że zawierzycie mi w pełni jutro, a obiecuję wam, że wyjdziemy z tego cali i zdrowi.

Greg spojrział na brata.

– Pewnie! – zgodzili się bez wiary.

Wtedy opowiedział im, jak zażywał kąpieli w wodach Rodanu. O tym, jak nie zauważył zbliżającej się do niego kobiety, którą okazała się Veronica. Sportretował im jej i swoją fizjonomię, nie szczędząc szczegółów dotyczących piersi, pośladków, a nawet swojego przyrodzenia. Ze względu na swoją bogatą wyobraźnię upraszali, by ominął ten niuans. Nie usłuchał ich, z rozkoszą oglądając wykrzywione w grymasie twarze. A skoro pojutrze mogło nie nadejść, chlapanął jęzorem o tym, jakie niestworzone cuda wyczyniali w rwącej, zimnej rzece, którą wspólnie zagotowali tarciami jędrnych ciał.

– Ależ bzdury! – skwitował Karol, gdy Damien skończył opowieść.
– Nie powie nam, tylko będzie wymyślał jakieś niestworzone bajki – dodał Greg, kładąc się z powrotem na ziemię.

– Kiedy to najszczerza prawda! – zdumiał się ich niedowiarstwem.

– A idź w pizdu z takimi kocopołami! – zbulwersował się Greg. – Takie szwindle to na deskach teatru można głosić, nie nam. Przyjacielem się zwiesz? Jeszcze ta anegdotka o grzybach, co niby we Francji największe. Idę spać.

– Masz tupet. O Veronice takie komeraże prawić – dociskał go Karol.

– Kiedy mówię wam, że nie zmyślam. Niech mnie dunder świśnie, jeśli łże!

– Zaraz ja cię świsnę za te dyrdymały – postraszył Greg, już z zamkniętymi powiekami. – Lepiej też wyciągnij nogi, bo we łbie na wieczór ci miesza.

Karol Pacal wstał, kiwając głową z niedowierzaniem, dorzucił do ognia kolejną warstwę chrustu i rozłożył koc. W międzyczasie jego brat usnął, a na potwierdzenie tej tezy rozpoczął okropne chrapnie.

– Już wiem, czemu jego panna kazała mu iść z nami na wojenki. Kto by zniósł takie świńskie zawodzenie noc w noc – zmienił temat LeBrun.

Te słowa rozbawiły towarzysza.

– Wystarczyło im parę wspólnych nocy, by przekonała się, że ta dziura, co w niej leżała od kilku dni, nie była taka zła – żartował Pacal. – Powiedz mi lepiej, przyjacielu, jaki masz plan? Jak chcesz odbić... no, jak mu tam było?

– Jacoba – odpowiedział Damien.

– Właśnie, Jacoba. – Pstryknął palcami. – Wymyśliłeś już, jak go uwolnić?

– Częściowo. Nie wiem, czego się spodziewać, prócz tego, że należy spodziewać się wszystkiego. Niezbędnym jest wywiedzieć się, jak oni są przygotowani. Zapewne strażę są poinformowane i wyczulone na odwiedzających, toteż lepiej byłoby ominąć północną bramę, przy której straż została dodatkowo poinstruowana. Szczególną uwagę zwrócą na pojedynczych przybyszów, a nas jest troje. Tu mamy korzyść. Nieopodal Awinionu w malutkiej wsi zwanej Sorgues mam znajomego o uszach tak długich, że słyszy nawet szepty z zakamarków miasta. A ponadto to przemiły wieśniak, co handluje w soboty jarzynami i fruktami na targu.

Załadujemy wóz towarem, pod którym skryjemy broń. Miejmy nadzieję, że nie będą nas przeszukiwać tak dokładnie.

– A jak już przekroczymy bramę, co wtedy?

– I tego jeszcze nie rozpracowałem – oznajmił. – Zdrzemnijmy się. Do tego czasu coś wykombinuję.

– Oby nie takie głupoty jak z Veronicą.

Nie zamierzał powtórnie składać zapewnień o prawdziwości swojej historii. Zwalił cielsko na względnie wygodną trawę, pod głowę wcisnął koc, pod którego przykryciem byłoby mu zdecydowanie za gorąco. Długo nie mógł zasnąć. Wiercił się, zwracając się czołem raz w stronę ognia, by po chwili odwrócić się do niego plecami. We znaki dawała mu się trawa, imitacja poduszki, chrapanie Grega, do którego pośpiesznie dołączył Karol, jak również owady latające nad nim i ogniskiem.

Leżąc na plecach, sięgnął pod płaszcz leżący nieopodal. Poklepał dłonią po ziemi i gdy znalazł już to, co go interesowało, chwycił mocno i przejechał kciukiem po grawerze. Nie był już tak przekonany do znajdujących się tu słów. Podniósł do oczu przedmiot i przeczytał napis raz jeszcze, tym razem na głos: „Ten, który dostrzega prawdę”.

Jak nigdy dotąd zaczął wątpić w słowa, które wypowiedziane w pustkowiu zaczęły go coraz mocniej i mocniej przytłaczać. Poczł duszności. Odczuwał dyskomfort tak spory, że zmuszony był wstać, by nabrać powietrza.

Z mojego powodu najbliższy przyjaciel może stracić głowę, myślał. Wraz z nim na śmierć podążą jego syn oraz Mathieu, sąsiad, którego dobrze znał. Na dodatek prowadzi teraz dwójkę braci prosto do paszczy lwa. Ile warta jest prawda? – zastanawiał się. I jaki mam dowód, że moja jest tą słuszną?

Nie mógł tego zrobić. Nie mógł pozwolić, by kolejne osoby cierpiały.

Byłem weredykiem i gdzie mnie to doprowadziło? – skarcił się w myślach. Ciągnę za sobą wstęgę śmierci i rozwijam przed sobą jej drugi koniec. W imię czego? Czy naprawdę chodzi o ten jeden moment, o tę jedną chwilę, w której przysięgałem wytłuc wszystkich w tej maszynie obłudy i mistyfikacji, jaką karmią głupi lud, który sam zresztą tworzą, zabierając im dostęp do ksiąg, myśli i własnych przekonań? A może już dawno przestałem być strażnikiem wartości, strażnikiem indywidualizmu i stałem się tym, czego najbardziej nienawidzę? Bo czyż można stwierdzić z całą stanowczością, iż ktoś jest zły bądź dobry? Czyż racja nie jest po stronie tego, który mocniej ciągnie sznur? Kto daje nam prawo do

osądzania według własnych przekonań? Czyż to nie doświadczenia, z którymi mierzymy się na co dzień, przyjaciele, na których widok pojawia się uśmiech na twarzy, rodzina będąca od narodzin wodą dla usychających korzeni, i miłość, dzięki której gotuje się serce, sprawiają, że żyjemy? Czyż to nie one finalnie decydują, za czym się opowiadamy? Czyż nie winno być tak, by każdy żył wedle własnych zasad? Jednakże zasady obcych nierzadko łamią nasze. Jaki jest więc medykament na ludzką pychę, chciwość, fałsz i egoizm? – pytał siebie w myślach. Lecz czy egoizm nie potrafi być też ratunkiem? Fałsz i prawda ranią równie mocno, a wiara we własne wartości pozwala zdobywać niezdobyte. I w końcu co złego jest w bogactwie?

Jaki jest złoty środek? – chciał zapytać. Jednakże nie wiedział, czy nie kieruje pytania wyżej, w pustkę, która nieodgadniona, nie musi oznaczać próżni.

Rozważania nie przyniosły mu żadnej odpowiedzi. Prócz jednej. Zawiódłby siebie i wiele innych bliskich mu osób, gdyby pozwolił braciom udać się z nim do Awinionu.

Rozdział XV

Rosa stopniowo ulatniała się w powietrzu, a wschodzące słońce z łagodnym śpiewem słowików koło zszargane nerwy oraz dodawało ikry po nieprzespanej, pełnej refleksji i kalkulacji nocy. W czterotaktowym cwale kopyta Cesara naprzemiennie – to z prawej, to z lewej strony – wyrzucały spod siebie grudy ziemi z krzepkością równie rzeźką, co uderzenia młota o rozgrzaną stal. Lejce, na których miał zaciśnięte spocone dłonie, intensywnie obcierały wzgórki, tworząc wypełnione wodą odciski.

Rad był z decyzji, jaką podjął w stosunku do braci. Nie miał prawa zaprzętać ich głów swoimi kłopotami, będących pokłosiem wcześniejszych działań. Spakował bezdźwięcznie swój miecz, broń palną i kuszę i skierował się do swojego znajomego w Sorgues.

Płaski teren zasilany ospałą wodą rzeki Ouveze umożliwiał skromny, acz pracowity żywot, jaki wiódł Oscar. Ojciec Oskara, z zawodu cieśla, zmuszony został do wyprowadzki z papieskiego miasta i wyuczenia nowego zawodu. Zawodu rolnika, który ostatecznie wykonywał Oscar. Z biegiem lat nauczył się uprawy ziemi na nowo i przeorganizował sianie i zbiory, które jego ojciec zaniedbywał, czym doprowadził ziemię do użytku godnego podziwu nawet dla zamkowych sługusów.

Piwosznik – jak go zwali ze względu na długie uszy i włosy, piętrzące się już tylko na potylicy – doglądał właśnie swojego ogrodu. Rumiana od słońca twarz, perkaty nos w kolorze dojrzałej jarzębiny, szeroko rozstawione oczy i brak zębów tylko przypieczętowały przydomek karłowatego mężczyzny.

– Co za cholera łązi mi po sadzonkach? – pieklił się Oscar, nie poznawszy znajomego. – Złaż natychmiast.

– Piwoszniku! – rzucił, zeskakując z Cezara. – A co mi zrobisz, zapędzisz mnie do karczmy?

– Toć to Damien – uradował się szczerze. – Młody Damien LeBrun!

– We własnej osobie.

Przywitali się serdecznie.

– Zapytałbym, co cię do mnie sprowadza...

– Ale...

– Ale niestety znam odpowiedź. Cały Awinion czeka na to wydarzenie, nieczęsto zdarza się ścięcie dzień po dniu. I przykro się człowiekowi na sercu robi, gdy chodzi o znajomego. Cóż ten Jacob narobił?

– On nic – rzekł z uczuciem. – To moja wina.

– Jak to?

– Długo by opowiadać, a na to brak mi czasu. Dzisiaj ma odbyć się ścięcie Mathieu... – Damien zasmucił się wyraźnie.

– Prawda – potwierdził. – Tylko co jego synowi do tego?

– Nie pojmuję – zdziwił się Damien.

Oscar poprowadził go wytyczoną dróżką, karcąc co rusz za stąpanie po warzywach.

– W mieście gadają, że osadzili go razem z Mathieu. I on też ma stracić głowę. Wyglądasz na zaskoczonego, nie wiedziałeś?

– Skądże – odparł głośno. – Byłem z dala od Awinionu. Wiesz coś jeszcze?

– O co pytasz?

– Kto ich skazał, w jaki sposób? Cokolwiek, co może wydawać się istotne. To, co nieistotne, zresztą też.

– Ja nic nie widziałem.

– A co mówią ludzie, Piwoszniku? – zachęcił.

– Do miasta przybył jakiś magnat...

– Bastian – przerwał mu LeBrun.

– Co? A ja tam nie wiem.

– Nieważne – machnął ręką. – Kontynuuj.

– W mieście pojawił się ten Bastian, skoro tak mówisz, i wojował z pomocą strażników z naszym Jacobem. Kazali mu złożyć broń w zamian za uwolnienie Georges'a. Jacob się zgodził, a ten cały, no...

– Bastian – pomógł Damien.

– ...i tak pojmał ich obu. Gadają też, że Jacques jest w mieście.

– Begreon? – zdumiał się Damien. Spodziewał się wielu inkwizytorów z Tuluzy czy Carcassone, ale sprowadzenie Jacques'a spod Motpelliere oznaczało potraktowanie sprawy wyjątkowo poważnie. Jednakże pozbawienie życia Casimira i Henriego, dwóch inkwizytorów prowincji Awinionu, musiało takie skutki wywołać.

– Tak. Begreon – potwierdził krótko.

– Zdajesz sobie także sprawę, że potrzebuję twojej pomocy?

– A jak ja, stary, bezzębny, zwykły zjadacz chleba mogę posłużyć ci ramieniem?

– Potrzebuję twojego wozu i tygodniowego zbioru.

– Słucham?! – wybałuszył oczy. – Synu! Wielkim szacunkiem cię darzę, wiele jestem ci winien, ale co to, to nie. Toć to mój cały dobytek!

– Opłacę ci to tak sownie, że kupisz sobie czterech nowych Leniuchów.

– Nie ma mowy, że oddam ci poczciwego, starego Leniucha. To mój jedyny wół, jaki mnie słucha i nie gada tyle, co moja stara.

– Zrozum. Ratuję mojego przyjaciela. I ty go znasz, Piwoszniku. Nie prosiłbym cię o to, gdybym nie musiał. Poza tym zwrócę ci Leniucha, jak tylko uwolnię Jacoba. Dla pewności zostawiam ci Cezara, byś się nim zaopiekował równie czule, co ja Leniuchem. Zgadzasz się? – zapytał błagalnym tonem. – Powiedz, że tak.

Piwosznik próbował podjąć sensowną decyzję. Świadczyły o tym rozbiegane źrenice oraz wargi, które w pośpiechu tarły puste dziąsła.

– Ja się zgadzam – wydusił wreszcie. – Ale nie wiem, jak ci za tobą.

Za plecami Damiena niepostrzeżenie zjawily się sylwetki dostojnych mężczyzn. Odwrócił się i zamarł w bezruchu.

– Wstydzilibyś się – powiedział wysoki mężczyzna, wbijając tęgi paluch w brzuch Damiena.

– Ja tam chciałem cię zostawić – przyznał Greg.

– Oj, daj już spokój – wściekł się Karol.

Ten tylko wzruszył ramionami.

– Jak mnie znaleźliście? – odezwał się Damien, który na dłuższą chwilę zapomniał języka w gębie.

– Gdybyś w nocy nie zdradził mi, gdzie się wybierasz, zapewne tyle byśmy się widzieli – rzekł Karol. – Co nie zmienia stanu rzeczy, żeś zachował się jak ćwok.

– I huncwot – dopowiedział Greg. – A żeś zarzekał się, że ty nie z tych.

– Kimże są ci panowie? – wtrącił Piwosznik. – Raczysz nas zapoznać, czy będziesz stał jak pień i słuchał epitetów, jakże zresztą pasujących do ciebie?

– Wybacz – przeprosił. – To są moi przyjaciele Karol i Greg, poznani w Lyonie, a to – zerknął na Oscara – Piwosznik, również mój serdeczny przyjaciel.

– Zwiąż mnie Oscar – oburzył się. – I nie waż się przedstawiać mnie inaczej. Akceptuję to głupie przezwisko tylko ze względu na naszą znajomość.

Mężczyźni wymienili się serdecznie uściskami.

– Masz nam coś do powiedzenia? – spytał Karol.

– Przyjaciele, bracia. Dziękuję, że chcecie mi pomóc, ale nie wyrażam na to zgody.

– A co myśmy dzieci – zdenerwował się Karol – że potrzebujemy twojej aprobaty?

– Skądże znowu. Masz rację, przepraszam. Jednakże to ja ściągnąłem kłopoty na Jacoba i nie godzi się wciągać w nie kolejne Bogu ducha winne osoby.

– Bogu ducha? Takowej wypowiedzi się po paniczku nie spodziewałem. Ja nie miałem podobnych dylematów, wołając cię na pomoc memu bratu. I dalej nie pojmuję, że zobowiązany jestem na okrągło o tym przypominać. Nie zbawisz całego świata, a już na pewno nie samodzielnie. Przeto pozwól sobie pomóc i – co najważniejsze – dajże ludziom decydować za siebie, o co tak na potęgę walczysz.

Damien przeczesywał swą głowę, starając się znaleźć jakiś powód do odwołania przyjaciół, jednakże armata argumentów, jaką wystrzelił Karol, przyćmiła wszystkie jego riposty.

– Skoro taką decyzję podjęliście – powiedział wreszcie.

– On podjął – wytłumaczył się Greg.

– Oj, stul dziób! – starał się uciszyć brata Karol. – Już nie mogę znieść twojego zrzędzenia.

– Czy przekroczę granicę gościnności – zmienił temat Damien – prosząc cię, Piwoszniku, o coś do picia? Na ząb też byśmy coś wrzucili.

– Wydaje ci się, że ci możni panowie przełkną obrzydlistwa przygotowane przez moją połowicę?

– Nie może być aż tak źle – próbował wkupić się w łaski Greg. – Małżonka na pewno zna się na rzeczy!

– To się jeszcze okaże – zaśmiał się gospodarz. – Zapraszam do mojej posiadłości.

Do wspomnianej posiadłości przylegał chlew, którego wygląd zewnętrzny nie różnił się niczym od części mieszkalnej, toteż czekali, aż właściciel pierwszy przekroczy próg, coby nie wejść przypadkiem otworem dla świń. Wnętrze w zasadzie także nie odbiegało od charakteru świniarni.

Zachowując resztki uprzejmości, nie chcąc ranić gościnności Oscara, spoczęli na stołkach, niczego nie komentując. Jednak woń dobiegająca z chlewu zmusiła Damiena do złożenia propozycji nie do odrzucenia.

– Ostatki ciepła pozostały przed jesienią, zjedźmy może na zewnątrz, na trawie.

– Jak świnie? – zdumiał się Oskar.

– Od razu jak świnie – próbował tłumaczyć się, nie chcąc zdradzić prawdziwych powodów. – Ciemno tu i duszno od paleniska. Nie daj się prosić.

– Gość w dom, Bóg w dom, jak mawiają. Skoro połacie ziemi należą do mnie, a możliwym panom będzie tam wygodniej, to nie mam zamiaru się buntować.

– Podaj nam na dwór! – wydarł się w kierunku świniarni, gdzie urzędowała jego małżonka.

Rozsiadłszy się wygodnie, zaczęli zawzięcie dyskutować o sposobie odbicia aresztowanych, a rozmowom towarzyszyły odgłosy wiejskich zwierząt. Wtem z pełnymi misami wylazła Gertrude. Żona Oscara przewyższała go o głowę, zwały tłuszczu odkładające się pod piersiami mogły rzucić wyzwanie piętrzącym się za jej plecami wzgórzom o to, kogo trudniej byłoby obejść. Damien przysięgłby, że z górami poradziłby sobie bez trudu. Co do Gertrudy – nie miał takiej pewności.

Półmiski pachniały smakowicie. I na tym kończyła się lista walorów dania. Warzywa, o ile nimi były, przypominały rozpaćkaną breję, z kolei mięso było giętkie jak sprężyna, nie chciało odejść od kości. Sól, przyprawa rzadka i droga jak egipskie płótna, zdominowała jakimś cudem potrawę, wykręcając gościom twarze.

Nie uszło to uwadze Piwosznika, który nie omieszkał wspomnieć o tym współmałżonce.

– Na rany Chrystusa! Zużyłaś chyba roczny zapas soli.

– Panom smakuje. – Wzięła się pod boki, nie kryjąc zadowolenia. – Prawda, panowie?

Damien uniósł kciuk do góry, ciężko przełykając.

– Widzisz, warchole? – zwróciła się do Oskara. – Tylko ciebie mierzi moja kuchnia. Niczego nie doceniasz.

– Oni są grzeczni, ja ci prawdę powiem. I te warzywa. Jak można tak zmaltrretować owoc mojej pracy?

– Obrażasz mnie przy gościach. Jak śmiesz, łajdaku! – Gertruda rozpląkała się i uciekła do chaty. Jej lament trudno było odróżnić od dochodzącego z tej samej zabudowy świńskiego kwiku.

– Poczekajcie tu, panowie – rzekł Piwosznik, podnosząc tyłek z trawy. – Zaraz wracam.

– Słuszna decyzja – powiedział Karol. – Warto przeprosić i pogratulować zdolności kulinarnych żonie. – Podniósł miskę do góry.

– Co pan pleciesz? – zdziwił się. – Idę po jakie piwo, może przełknjemy te wydaliny.

Jak się okazało, Piwosznik powziął myśl genialną. Gorzkie jak cholera piwo, jakim zapijali każdą kolejną łyżkę brei, skutecznie zabiło smak nieapetycznej potrawy.

Po skończonym posiłku przyprawiającym o odruchy wymiotne przeszli do sporych gabarytów Leniucha, do którego podpięli czterokołowy wóz. Na nim umieścili miecze, kuszę, kolczugi oraz drewniany kloc z wyżłobionym napisem.

– A to co? – zainteresował się Greg, biorąc do ręki broń palną. – Cóż to za dziwadło?

– Moje cudeńko, choć w tej walce raczej się nie przyda – wypalił bez namysłu Damien, po czym zdzielił Grega po łapach, nakazując mu odłożyć sprzęt do powozu. Następnie przykryli broń kapustą, marchwią, burakami i jabłkami. Na koniec wrzucili śliwki, które wpadły w szczeliny, skutecznie kamuflując świecące żelastwo.

– Pozwólcie, że zadam pytanie, mości panowie – wtrącił nieśmiało Piwosznik. – Chcecie iść – rozłożył ręce – o tak?

– Co masz na myśli? – zapytał Karol, dokonując ostatnich poprawek przy powozie. – Coś nie tak?

– Nie chcę się wtrącać, ale gdyby stać mnie było na takie odzienie, w życiu nie handlowałbym warzywami.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Że żaden strażnik nie będzie aż tak głupi, by uwierzyć wam, że handlujecie towarem w takim okryciu.

Przyjaciele spojrzeli po sobie.

– Na coś żeś się przydał, drogi Piwoszniku. Daj nam swoje łachy – rzekł Damien.

– Przecież prócz tych na sobie mam tylko jedną koszulę i stare jak świat spodnie, a i tak nie wiem, czy się w nie wciśnięcie.

– Greg je założy, on jest najszczuplejszy. A żona?

– Co żona? – Nie rozumiał pytania.

– Ma jakieś koszule? – wyjaśnił.

– Toć nie dam wam jej ciuchów – oburzył się, a jego twarz stała się jeszcze bardziej czerwona.

– Piwoszniku – zaczął współczującym tonem. – Twoja żona obkupi się za monety, jakie masz w tej sakwie – rzucił podarunek łysemu znajomemu. – Sam zapewne marzyłeś, by ujrzeć ją w sukni, prawda? – I nie czekając na odpowiedź, nakazał: – A teraz leć po nie czym prędzej, bo goni nas czas.

– Ech – westchnął. – Niechętnie, ale znowu nie mam wyboru.

Piwosznik wnet wrócił z koszulami małżonki, które pasowały do ich sylwetek jak ulał. Swoje spodnie obtarli trawą i ziemią, a dla lepszego wrażenia podziurawili je w wielu miejscach.

– Piwoszniku – zaczął Damien. – Bardzo ci dziękujemy.

– Nie ma za co – klepnął życzliwie Damiena po ramieniu.

– Mam jeszcze jedno pytanie.

– Mów – polecił.

– Czy twój syn dalej jest chevalierem?

– Proszę – rzekł błagalnym tonem. – Nie mieszaj go do tego.

Damien kiwnął głową, akceptując prośbę. Zostawiwszy konie i pożegnawszy Piwosznika, powlekli się na wschód.

Rozdział XVI

Po minięciu drogowskazu do bram Awinionu przytrafiła im się rzecz, jakiej przewidzieć nie mogli. Wóz, zjeżdżając z uskoku, wylądował na spiczastym kamieniu, przez co starej daty koło roztrzaskało się na tysiące kawałków. Impet uderzenia był tak silny, że połowa zieleniny wypadła na błotnistą drogę, ukazując wszystko to, co tak usilnie starali się ukryć.

– Do jasnej cholery! – zaklął Greg. – Jak tak dalej pójdzie, to my nigdy tam nie dotrzemy!

Damien obszedł wóz dookoła.

– Jakież pomysły? – spytał braci.

– Zostawmy to w diabli, zakładajmy kolczugi, bierzmy broń w łapy i lećmy na nich – zaproponował Karol.

– Równie dobrze możemy wejść w las, odnaleźć jaskinię i gołymi rękoma klepnąć w zad niedźwiedzia z nadzieją, że to wystarczy, by go pokonać. Chciałbym uratować przyjaciół, nie zginąć razem z nimi.

– Więcej propozycji nie mam – stwierdził Karol.

Damien przeniósł wzrok na Grega.

– Na mnie nie patrz – powiedział. – Mnie tu siłą zaciągnięto.

– Jakim cudem w naszych żyłach płynie ta sama krew? – zaczął wzburzony Karol. – Nasza matka chyba miała bujniejsze życie erotyczne, niż nas zapewniała, bo nie potrafię pojąć, czemuś taki tchórz.

– Wolę, gdy zwą mnie oportunistą – odparł z przekąsem.

– Niewiele różni się to od tchórze.

– Jednakże znacznie korzystniej brzmi! – Greg nie ustępował.

– Dajcie spokój, panowie – przerwał dyskusję rozdrażniony Damien. – Toczycie boje jak panienki przy wyborze sukni. Zrobimy tak – polecił. – Wpierw Greg pochwyci tył wozu, trzymać będzie poziom do drugiego koła, które, jak widziałem, jest całe. Będziemy zmieniać się na trasie, aż przekroczyliśmy bramę i jakoś dotrzemy.

– Z jakiej racji to ja mam zaczynać? – oburzył się Greg.

– Matko przenajświętsza! – złapał się głowę Karol. – Przesuń leniwe dupsko. – Odepchnąwszy brata, stanął przy wozie, w miejscu, gdzie jeszcze niedawno zaczepione było koło. – Pomóż chociaż unieść powóz.

Po paru nieudanych próbach w pocie czoła zdołali wyrównać poziom wozu. Po wyciągnięciu z błota części warzyw i poukładaniu ich na miejscu wyruszyli w dalszą drogę.

Wschodnią bramę z ziemi obstawiało trzech żołnierzy uzbrojonych w giewie. Na baszcie zaś stało dwóch łuczników gotowych do wystrzału.

– Stać! – krzyknął mężczyzna z małą główką o krótko ściętych włosach i kłami opartymi na dolnej wardze. Do złudzenia przypominał nietoperza. Trójka chevalierów wyciągnęła podłużną broń w kierunku nowo przybyłych, po czym jeden z nich zapytał:

– Z czym jedziecie?

Damien chciał pokusić się o żart, powiedzieć coś o brylantach i diamentach ukrytych w burakach, ale nie sądził, by był to dobry moment na prześmiewki.

– Zieleninę i trochę owoców na sprzedaż. – Aby być bardziej przekonującym, Damien zmienił akcent na wiejski.

– We trzech? – nie dowierzał Nietoperz.

– Sam panicz wie, ilu bandytów lata po pobliskich lasach. Należy być ostrożnym.

– A kto by chciał kraść kapusty i jabłka? – prychnął Nietoperz. Zaśmiali się wszyscy. Także łuczniczy.

Słońce było w zenicie, a to oznaczało, że wykonanie wyroku już się rozpoczęło. Damien myślał, jak przyspieszyć wywiad.

– Puśćcie nas, panowie. Próbujemy tylko zarobić na chleb.

– Nic z tych rzeczy – ściągnął brwi Nietoperz. – Przeszukać ich i wóz.

Karol zerknął na Damiena, jednak ten znacząco pokręcił głową. Wskazał przy tym na łuczników, którzy nawet jeśli nie byli uzdolnieni, zdołaliby zabić przynajmniej jednego z nich.

– Proszę, drogi panie – przekonywał łagodnie. – Co my, brudasy, możemy skrywać?

– Taki mamy rozkaz. Odsunąć się od wozu! – rzekł stanowczo.

Damien i Karol wykonali rozkaz. Tylko Greg wciąż podtrzymywał wóz.

– Ty! – zwrócił się wprost do niego Nietoperz. – Odejdź od wozu, natychmiast.

– Kiedy nie mogę.

– Odciągnijcie go – nakazał swoim żołnierzom. – Raz, dwa!

Z dala doszedł ich dźwięk głośno wiwatującego tłumu. Damien wystąpił przed szereg, zwracając się raz jeszcze do Nietoperza błagalnym tonem:

– Drogi panie, za nami cholernie długi i ciężki dzień, a to dopiero południe. Mój kuzyn nie może odejść od wozu, bo jak sam podejdiesz i zobaczysz, nie mamy koła, roztrzaskało nam się po drodze. Staramy się zarobić na medyka. Syn krewniaka choruje, a bez pomocy nie dożyje końca tygodnia. Chcemy sprzedać, co się da, i ratować dzieciaka. Masz pan dzieci?

Nietoperz nie odpowiedział od razu, zwątpił na moment. Spojrzał na łuczników, dając im znak, by przygotowali się na ewentualny strzał. Pochylił się, minął w skupieniu Leniucha i dotarł do Grega. Ujrzawszy brak jakże istotnej części wozu, wyprostował się i powiedział:

– Niech będzie. Idźcie, tylko prędko, nim się rozmyślę!

Przekroczywszy bramę, udali się wąską ulicą na plac, na którym aż roiło się od gapiów. Ich wzrok skierowany był na podest, po którym dumnie przechadzał się kat z twarzą skrytą pod czerwonym kapturem.

Niestety, dotarło do nich, że było już za późno. Na szafocie stał Mathieu. Nie walczył, nie szamotał się. Zapłakany i zrezygnowany po stracie syna ułożył głowę na pniu. Bezgłowe truchło młodziana spoczywało tuż obok cierpiącego ojca, tak aby do końca zdawał sobie sprawę z tego, do czego dopuścił.

Kat uniósł topór. Damien wyciągnął miecz z wozu i trzymając go blisko łydek, zaczął biec w kierunku platformy, i gdy już miał się wydrzeć w ostatecznym szale bitewnym, ktoś złapał go za ramię. To był Karol.

Topór runął na kark Mathieu, pozbawiając go głowy. Ta spadła pod nogi cieszącego się bezmyślnie tłumu.

– Puść mnie! – Chciał krzyknąć, jednak głos ugrzązł mu w gardle.

– Nic już nie zrobimy – przekonywał najczulej jak potrafił Karol. – Nie dla nich. Przykro mi.

– Wytłuczmy ich, teraz!

– Wiesz, że nie możemy. Nie zdążyliśmy. Przykro mi, ale jutro jesteś potrzebny Jacobowi. Jeśli podniesiesz teraz miecz, sprowadzisz na nas śmierć. I zarówno my, jak i twój przyjaciel zginiemy, a tak mamy jeszcze cień szansy.

– Ale, ale.... – Nie był w stanie dodać nic więcej. Karol miał rację. I choć chciał zrobić coś, cokolwiek, co ukołoby żądzę krwi, to musiał przełknąć

gorycz porażki.

– Zapamiętaj to uczucie, niech narasta. Wykorzystaj je jutro. Teraz myśl, jak możemy uratować Jacoba. Jesteśmy w mieście, dotarliśmy tu, wykiwaliśmy straż. Myśl.

Damien podniósł głowę. Rozejrzał się po placu. Jego wzrok zatrzymał się na kacie machającym toporem w geście jakiegoś chorego tryumfu.

– To może się udać – wyszeptał.

– Co?! Mów! – ponaglił go Karol.

– Należy obserwować kata – rzekł wyraźnie skupiony. – Koniecznie trzeba dowiedzieć się, kim on jest, a w zasadzie gdzie zamieszkuje.

– Hę? – Nie rozumiał. – W jakim celu? Co nam to da?

– Bliskość – odrzekł tajemniczo Damien.

Greg miał zająć się Leniuchem, przenieść niezauważenie broń do wynajętej izby w lichej gospodzie, podczas gdy oni skupili się na śledzeniu zakapturzonego mężczyzny. Publika długo jednak nie opuszczała placu, obserwując hycli usuwających ciała i głowy straconych. Damien przyglądał się temu z narastającą frustracją, gdy z odrętwienia wydobył go Karol.

– Widzisz gdzieś Bastiana?

– Nie – odparł bez namysłu.

– Nie dziwi cię to? Nie dziwi, że nie wziął udziału w ceremonii?

– Ani trochę – oznajmił.

– Jak to? – Karol podrapał się po głowie.

– Założyli, że za wszelką cenę będę chciał odbić Jacoba. Nawet nie wiem, czy zdają sobie sprawę, że znałem Mathieu. Oczywiście mogli przypuszczać lub wypytać Jacoba, jednak to na nim się skupili.

– Mogę zadać ci niewygodne pytanie?

– Mów – przykazał stanowczo. – Nie musisz pytać mnie o zgodę.

– Skąd pewność, że Jacob żyje?

To pytanie okazało się jak najgłębsze miejsce oceanu. Nie mógł go ujrzyć i do tej pory się za nim nie rozglądał. Chęć ocalenia przyjaciela przysłoniła mu wszelkie możliwe realia. Po schwytaniu na targowisku Jacoba było wielce prawdopodobne, że poddano go torturom. Chcąc chronić syna, Jacob mógł wydać Damiena i powiedzieć wszystko, co o nim wiedział, a ci mimo to mogli zamordować go w zimnej celi. Całe jutrzejsze wydarzenie może okazać się farsą, pułapką na niego. Nazajutrz wystawią dwóch rzezimieszków z podobnymi wyrokami i gawiedź będzie usatysfakcjonowana. Ktoś straci głowę, będzie poklask, a inkwizycja

dopadnie jego. To mogłoby tłumaczyć ich dzisiejszą nieobecność. Jaki mieliby cel narażać się dzisiaj, skoro sprawa dla nich już dawno jest zamknięta, pomyślał.

– Nie mam pewności – odpowiedział wreszcie. – Aż do teraz brałem za pewnik jego życie.

– Przepraszam – powiedział współczująco Karol.

– Nie masz za co. To niczego nie zmienia. Uczynię, co miałem uczynić. Jutro przekonam się, czy zginę w obronie przyjaciela, czy obcej mi osoby.

Karol szturchnął łokciem Damiena. Kat zaczął schodzić po drewnianych stopniach, z wolna przepychając się przez wciąż ściśnięty tłum. Ci ludzie najwyraźniej nie mają nic innego do roboty, wkurzał się Damien. Wystający ponad głowy spiczasty, czerwony kaptur był idealnym punktem nawigacyjnym.

– Niech ci nie zniknie z oczu – pogroził Damien. – Ja sprawdzę, jak rozstawione są stráže. Nic nie może nas zaskoczyć. I staraj się iść tak, by nie wzbudzać niczyich podejrzeń.

– Tak jest, generale – odparł rozradowany. – Muszę przyznać z niepohamowaną rozkoszą, że ganieanie łotrów i zabijanie ich jest znacznie ciekawszym fachem od uzdrawiania.

– Jeszcze mnie słuchy nie doszły o medyku, który woli uśmiercanie niż ratowanie życia. Nie chciałbym okazać się twoim pacjentem.

Przyjaciel puścił uwagę mimo uszu.

Kat, przepchnąwszy się przez ławice stóp, skierował się na drogę przeciwległą do pałacu papieskiego. Pogwizdując, z toporem w dłoniach, ślimaczym tempem skręcił w prawo za dobrze zachowany cech kotlarski. Awinion w godzinach pracy poza placem świecił pustkami, toteż nim skręcili za katem, pozwolili sobie na chwilę udawanej bezczynności. Po upływie paru za długich dla nich sekund znowu puścili się jego tropem.

– Jak go zabijemy? – spytał Karol.

Damien zdębiał. Przystanął i wbił wzrok w przyjaciela.

– Pytam, jak chcesz go zabić – powtórzył Karol.

– Słyszałem, co powiedziałaś, i nie wierzę własnym uszom.

– Przyjacielu, albo zaczniesz akceptować moją metamorfozę, albo się nie dogadamy – westchnął.

– To nie metamorfoza, a objaw choroby. Radzę znaleźć lekarza gotowego podjąć się rozpoznania tych symptomów. I żebyśmy się dobrze zrozumieli, nie zabijemy kata.

- Jakże to? – zdziwił się. – Przecież zabił twych przyjaciół.
- Zawód jak każdy inny. To nie on ich oskarżał. Dostał zapłatę i uczynił, co musiał. Nie mam zamiaru go z tego rozliczać.
- A to machanie toporem? – ciągnął. – To również akceptujesz?
- Nie oklaskuję tego, co zrobił, ale zarabiał na chleb. W ohydny sposób co prawda, jednakże i takie profesje są niezbędne.
- Dziwne masz metody do określania, kto zasługuje na śmierć, a kto na łaskę. To brzmi jak wyliczanka.
- Dla ciebie to takie oczywiste?
- Tak – odparł bez wahania.
- Gdyby ten kat ściął głowę człowiekowi, który zabił, założmy, twojego brata, też zasługiwałby na śmierć?
- Już pojąłem.

– Wyśmienicie. Skupmy się teraz i podążajmy za katem. – Pociągnął za rękaw Karola. – Dziś zobaczymy, gdzie mieszka, jutro do niego wrócimy.

Mężczyzna w czerwonym kapturze, opuszczając centrum miasta, jeszcze parokrotnie skręcał to w lewo, to w prawo, nim dotarł na brudne, popadające w niełaskę rządzących, peryferie Awinionu. Stojąc przy drzwiach, zaczął czegoś szukać pośród ubrań. Klucze, znalezione w końcu w sakwie, wypadły mu z rąk na ubity piach. Podniósłszy je, zaklął srogo i wytrzepał, trzających nimi na wietrze. Upewniwszy się o ich czystości, umieścił je w dziurce, przekręcił zamek i zniknął za mocnymi drzwiami swojej chaty.

- Czego tu szukacie, prostaki? – powiedział szorstki głos za ich plecami.
- Szukamy dziewczki – znalazł szybko wytłumaczenie Damien. – Poruchać chcemy.

Mężczyzna wyraźnie się rozradował na samą myśl o igraszkach, jakie zapewne nie były mu obce w towarzystwie francuskich ładacznic.

- To nie tutaj. Najlepsze dziwki znajdziecie w Mokrej Muszli, po drugiej stronie miasta.
- Drogie? – próbował ciągnąć wątek Karol.
- Tanie nie są – odrzekł z kwaśną miną. – Ale jeśli chcecie poruchać coś ładniejszego od konia, to warte swej ceny.
- Kłaniamy się nisko. – Za słowem podążyły czyny. – Skorzystamy!
- No już, uciekać mi stąd – warknął mężczyzna.

Damien i Karol zgodnie z wolą obcego wycofali się, znikając za rogiem. Damien wychylił głowę zza budynku, próbując wywiedzieć się, dokąd

zmierza ów mężczyzna. Ten zapukał do drzwi kata i już po chwili również zniknął w głębi pomieszczenia.

– Zakładam, że to jeden z hycli – zaczął Damien. – Przyszedł pewnie po swoją dolę.

– Zaraz powinien być drugi – dopowiedział Pacal.

Damien potwierdził skinieniem.

– Poczekamy na niego? – spytał.

– Owszem – uśmiechnął się Damien. – I zmieniamy plan.

– Hę!?

– To, co słyszysz. Dopadniemy ich teraz. Kat zapewne jutro wraz z hyclami będzie musiał zjawić się w celi po Jacoba. Widziałeś hycli, mają na głowach worki. Założymy je i bez rozlewu krwi wyciągniemy go z więzienia.

– Samobójstwo! – powiedział nieco za głośno Karol, za co wnet przeprosił.

– Pietra masz? Jak twój brat?

– Skądże znowu – oburzył się. – Ale wchodzić do wąskich tuneli, gdzie aż roi się od straży, to zamach na własne życie. A jak który każe ci ściągnąć kaptur, co zrobisz?

– Pójdziemy z katem. On może iść bez kaptura, a z nami nawet nie będą rozmawiać.

– Co za dyrdymały. – Złapał się za głowę. – To się nie może udać.

– Zmusimy kata do współpracy – przekonywał Damien.

– I zawierysz mu, że nas nie wyda.

– Pewnie, że tak. Musimy tylko mieć coś wartościowego.

– Pieniądze masz na myśli?

– Nie gadam o pieniądzach. Mówię o żonie, dzieciach. O czymś, na czym będzie mu zależało bardziej niż złocie, jakie otrzymałby za nasze głowy.

– O to chodzi – pojął wreszcie Karol.

– Cieszę się, że zrozumiałeś. Stąd już krótka droga do wdrożenia planu – zażartował. – Musimy porwać kogoś, na kim mu zależy, i negocjować.

– Chcesz powiedzieć „zastraszyć” – poprawił go.

– Ponegocjować brzmi lepiej.

– Skąd wiesz, że ma kogoś, na kim mu zależy? – spytał. – A jeśli jest sam?

– Niedługo się przekonamy. Przypilnuję ich, ty biegnij w tym czasie do Grega i weź broń. Wystarczą sztylety.

– On ma tam topór długości chłopa, a ty chcesz atakować nożykiem na grzyby?

– Nie dyskutuj i rób, co mówię – odepchnął Karola. – No już, nie traćmy czasu.

Karol nie kazał długo na siebie czekać. W międzyczasie zgodnie z przewidywaniami do chaty wszedł drugi z hycli. Karol Pacal i Damien LeBrun, trzymając sztylety w rękawach, podeszli do drzwi.

– Jak działamy? – dopytywał Karol.

– Nie mam zielonego pojęcia – odparł. – I to w tej pracy jest najlepsze.

Damien zapukał do drzwi.

– Nie podzielam twojego entuzjazmu – powiedział Karol, przestępując nerwowo z nogi na nogę.

Drzwi otworzyły się, stanął w nich ten sam mężczyzna, który polecał im Mokrą Muszlę.

– Mówiłem, że zamtuż jest po drugiej stronie miasta.

– Był zamknięty – mruknął Damien, z całych sił uderzając mężczyznę w tchawicę. Ten padł na ziemię jak długi i zaczął nierówną walkę o łyk powietrza.

– Co się dzieje?! – wykrzyknął kat. – Kim jesteście?!

Damien z Karolem przeskoczyli nad płaczącym się pod nogami hyclem i wciągnęli go za łachy do izby, zamykając za sobą drzwi.

– Bierzesz tego! – Damien wskazał na drugiego z hycli.

W chacie oświetlanej jedną dymiącą się pochodnią dostrzegł, jak kat podnosi topór i odsuwa się od kozła, na którym rozłożone były trzy kupki monet. Jedna większa od pozostałych.

Karol wystrzelił jak z frondiboli prosto na siedzącego na stołku, wciąż nierozumiejącego, co się właśnie dzieje, hycła. Dopadł jego szyi, co odwzajemnił nieprzyjaciel, i turlali się po podłodze w przedziwnym uścisku.

Chata nie była wysoka, co przeszkodziło katu podnieść topór nad głowę. Wziął zamach z biodra i z całą siłą wycelował w biegnącego Damiena. Ten, widząc, co nadchodzi, runął na tyłek i wślizgiem ze skuloną głową ominął ostrze topora, którego podmuch poczuł na karku. Czub bronii trafił w kozła, roztrzaskując go na drobne kawałki. Monety poleciały bezwładnie we wszelkich kierunkach. Jedna z nich trafiła Damiena w skroń, natychmiast ją rozcinając. Druga wpadła do rozwartych ust leżącego na plecach hycła, który mimowolnie wypuścił z dłoni szyję Karola i próbował wykrztusić

z siebie miedziaka. Pełen zaskoczenia Karol również zwolnił uścisk z gardzieli przeciwnika.

– To nie ja! – wykrzyczał Karol. – Ja nic nie zrobiłem!

Kat zerkający w stronę wijących się mężczyzn nie spodziewał się pięści, jaka trafiła go prosto w krocze. Upadł w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą stał cały kozioł, i zwijając się z bólu, wymamrotał:

– Ratujcie mojego brata. Uratujcie go, proszę!

Damien spojrzał jednym niezakrwawionym okiem na Karola machającego rękami w geście niewinności.

– To nie ja – powtarzał. – To nie moja wina. Moneta wpadła mu do gardła.

– Uderz go z całych sił w pierś. Zaciśnij pięści i walnij go prosto w klatkę piersiową! – krzyknął Damien.

– Co mam zrobić?

– Do licha! Przecież jesteś medykiem!

Damien, podnosząc się, chwycił topór.

– Odsuń się – nakazał Karolowi. Wyskoczył w górę na tyle, na ile pozwalał mu sufit, i spadł łokciem powyżej brzucha mężczyzny. Topór wyrzucił w locie z dala od kata.

Moneta ponownie wzbiła się w górę niczym gorące źródła gejzerów i opadła na ziemię, gdzie jeszcze długo kręciła się wokół własnej osi.

– Znajdź sznur – powiedział Damien i zerwał się na równe nogi. – Trzeba ich związać.

Odnalazłszy linę, skrępowali mężczyzn, kneblując im dodatkowo usta, co miało ustrzec ich przed niepotrzebnymi krzykami, jakie mogły zwabić straż miejską.

– Zaznaczam, że nie chcemy wam zrobić krzywdy – odezwał się wreszcie Damien po zatamowaniu niewielkiego krwotoku. – Potrzebujemy waszej pomocy. I jeśli wykonacie wszystko, o co was prosimy, wróćcie do waszej codziennej pracy, do której zresztą nic nie mam, mimo iż przed chwilą zabiłeś mi przyjaciela.

Kat zrobił duże oczy.

– Nie obawiaj się. Rozumiem, że to twój zawód. Wyjmę ci teraz szmatę z ust. Pokiwaj głową, że nie będziesz krzyczał. I tak już narobiliśmy za dużo hałasu.

Kat wykonał polecenie zgodnie z prośbą. Damien wyjął wilgotną szmatę.

– Jak cię zwał? – spytał.

– Peter – odrzekł pośpiesznie.

– Posłuchaj, Peter, dzisiaj zabiłeś niewinnego człowieka. Jutro również masz być katem w procesie Jacoba Rieula?

Mężczyzna pokiwał nerwowo głową.

– Czyli on żyje! – Damien krzyknął uradowany do Karola, po czym zwrócił się do kata: – Musisz mi pomóc. Inaczej twój brat zginie. Czy możemy się kogoś dzisiaj jeszcze spodziewać? Masz żonę, dzieci?

– Nie. Mam tylko jego. – Wskazał na brata.

– Jutro masz odebrać tych więźniów, prawda?

– Tak.

– Jak to ma się odbyć? – dopytywał niecierpliwie.

– Tak jak zawsze. Przed południem razem z bratem idę do lochów, stamtąd wyciągamy więźnia. Drugi z hycli czeka już na placu.

– Doskonale – rzekł rozradowany. – Kto przekazuje ci więźniów?

– Jacques. Dzisiaj i jutro. Normalnie robi to kto inny.

– Dlaczego dzisiaj Jacques nie był na placu?

– Chyba z twojego powodu – mówił Peter. – Przekazali mi Mathieu i powiedzieli, że bez zbędnych ceregieli mam go ściąć. Jego i jego syna.

– To by tłumaczyło, dlaczego nie zdążyliśmy – rzekł do siebie Damien. – Nieistotne. Jutro w kapturze twojego brata pójdę z tobą do lochów, tam przekażą nam więźniów, wyjdziemy na plac i się rozstaniemy. Pozwolisz mi odejść z przyjaciółmi, a ty wrócisz do swojego brata. Jeśli będziesz próbował jakichś sztuczek, on zginie. Jest z nami jeszcze jeden bardzo krnąbrny człowiek, który przypilnuje twojego brata z ostrzem na gardle. Zrozumiałeś?

– Tak – pokiwał głową. – Zrozumiałem.

– I żeby było jasne – kontynuował Damien. – Jesteśmy gotowi na śmierć. Jeśli więc w jakiś sposób będziesz chciał ostrzec Jacques'a, to nim strażę tu dotrą, twój brat będzie martwy.

– Pojąłem – odpowiedział.

– Niezmiernie mnie to cieszy. Pozwolisz, że spędzimy z wami noc?

Było to bardziej stwierdzenie niż prośba czy pytanie, a mimo to otrzymał odpowiedź.

– Tak.

– Twój brat – wskazał palcem na związanych – bądź ten drugi ma rodzinę, która może nas odwiedzić?

– Mój brat. Ma żonę i czworo dzieci.

– Gdzie mieszkają?

Kat przyciśnięty do muru niechętnie wskazał miejsce zamieszkania szwagierki. Damien nakazał Karolowi, by ten wraz z Gregiem przyprowadzili do chaty rodzinę. Prośbę wykonali natychmiast i już w izbie związali im za plecami nadgarstki, usadawiając ich pod ścianą.

– Nie chcę tego robić, ale muszę mieć pewność, że nas nie wydasz – wytłumaczył Damien.

Dzieci wraz z żoną hycła tulili się, łkając bezdźwięcznie. Damien nie był zadowolony z takiego obrotu spraw, jednak musiał mieć przekonanie, że Peter nie poinformuje Jacques'a gestem lub słowem, że pod kapturem nie skrywa się brat Petera, lecz ten, którego śmierci wyczekują od dawna.

Damien napoił dzieci, kobietę oraz mężczyzn obecnych w chacie. Następnie ponownie zakneblował im usta i nakazał drzemkę. Ustanowił wartę, którą tym razem bez zażaleń rozpoczął Greg. Sam wyszedł w ciemną noc załatwić jeszcze jedną drobną rzecz. Wróciwszy po północy, przejął wartę, zaczynając od duchowych medytacji.

Rozdział XVII

Zbudziło ich pukanie. W ciasnej jak mysia nora izbie panował zaduch, a pot kleił się do ubrań.

Ponowne pukanie.

Trójka przyjaciół spojrzała po sobie, potem na związanych, by w końcu ich wzrok utknął na drzwiach, które ponownie zadygotały od silnych uderzeń.

– Halo! – wołał głos z zewnątrz. – Peter!? Jesteś tam?

– Cisza – wyszeptał Damien z palcem przyłożonym do ust. Podeszedł na palcach do opartego o ścianę Petera. – Poznajesz głos?

Peter nerwowo pokiwał głową.

– Kto to? – spytał szeptem.

– Strażnik – odparł bez namysłu. – Tak mi się przynajmniej wydaje.

– Wyjdiesz na zewnątrz i dowiesz się, czego chce, tylko nie rób głupstw – poinstruował. – Kiedy odejdzie kawałek od drzwi, dogonisz go i grzecznie porozmawiasz. Karol – zwrócił się do przyjaciela – pójdziesz za nim, tylko tak, by nikt cię nie widział.

Drewniane drzwi chaty jeszcze kilkakrotnie łomotały, tworząc prześwity między framugą. W jednej chwili uderzenia stały się tak silne, że z drzwi poleciały wióry i gdyby nie przekątne metalowe wzmocnienie, to pewnie roztrzaskałyby się w drobny mak.

Żaden z osadzonych nawet nie pisnął. Pukanie ustało. Oczekali dłuższą chwilę i ostrożnie podeszli do klamki. Upewniwszy się, iż przy drzwiach nie stoi żaden ze strażników, Karol uchylił katowi przejście na tyle wąskie, by mógł się zmieścić, lecz nie na tyle szerokie, by ukazać związaną rodzinę przechodniom. Kat wybiegł na ulicę i skierował się w prawo za strażnikiem podążającym w sobie tylko znanym kierunku. Karol policzył w duchu do dziesięciu i niezauważony wyszedł na drogę śladem Petera. Zatrzymał się na rogu ulic, patrząc, jak kat dyskutuje o czymś ze zbrojnym. Nie mógł

usłyszeć rozmów, toteż pozostało mu tylko cierpliwe wyczekiwanie na powrót kata. Ten nie miał zamiaru wracać.

Razem ze strażnikiem zwrócili się w przeciwnym do Karola kierunku i ramię w ramię dreptali pospiesznie uliczkami, raz w lewo, raz w prawo, wchodząc w końcu do pałacu papieskiego.

Karol zastanawiał się, czy nie powinien ostrzec Damiena. Peter zapewne informuje teraz o wszystkim inkwizytorów, ale przecież wiedział, że go śledzę, że zdążę nie tylko wrócić do chaty, powiedzieć, co widziałem, ale i dam radę wymordować całą jego rodzinę, pomyślał. Nie mógł być na tyle głupi i narażać brata i jego dzieci. A jeśli dał znak strażnikowi, że jest w niebezpieczeństwie? Odciągnął mnie od chaty i właśnie inni strażnicy aresztują Damiena i Grega? A ja tu stoję i gapię się na mury katedry, katował się w myślach.

Wtem ktoś uderzył go w ramię. Karol odskoczył do tyłu, wpadając na jeden z kamiennych budynków. Zimno przeszło go po plecach, włosy na rękach i karku stanęły dęba. Czyżby miał rację? Znaleźli ich, a teraz przyszli po mnie. O nie! – pomyślał. Nie będzie tak łatwo!

Już miał wyciągnąć sztylet, gdy jego oczom ukazał się równie mocno wystraszony Greg.

– Co ty robisz? – wyszeptał. – Wszystko dobrze?

– Chryste Panie! – odparł przerażony. – Chyba narobiłem w gacie.

– A ja razem z tobą. Nieważne – machnął ręką. – Damien zastanawiał się, co się dzieje, kazał mi was poszukać. Gdzie jest Peter?

– Tam – pokazał na pałac. – Wszedł do środka, nie ma go już dobre dwadzieścia minut.

– Wracamy? – spytał, rozglądając się energicznie na boki.

– Nie – pokręcił głową. – Nigdzie się nie ruszamy.

– Przecież mógł na nas donieść.

– Ma za dużo do stracenia.

– My też! – oburzył się. – Bracie, jak cię kocham, tak nie wytrzymam. Wiem, że jestem tchórzliwy jak zając, ale to ta cecha pozwoliła mi dożyć dnia dzisiejszego. I chciałbym ujrzeć jeszcze kilka wschodów u boku mojej ukochanej.

– Ujrzysz, nie siej paniki.

– A jeśli wyszli tylną bramą? Jeśli cała armia straży poszła do chaty Petera? Myślisz, że sam Damien sobie poradzi? Myślisz, że nawet

gdybyśmy byli w chacie, to dalibyśmy im radę? W zamkniętym pomieszczeniu? – dopytywał Greg.

Tego Karol nie przewidział.

– Co proponujesz? – spytał.

– Wrócić do Damiena – przekonywał. – Upewnić się, że nie mam racji.

– Dobrze – zdecydował. – Podejdziemy, ale nie na tyle blisko, by budzić podejrzenia.

W tym momencie na schodach bez jakiegokolwiek obstawy pojawił się Peter. Nie wyglądał na wystraszonego. Nie przypominał też kogoś, kto miałby coś do ukrycia.

– Biegnij do chaty, ale bądź ostrożny – powiedział Karol, popychając brata. – Sprawdź, czy Damien jest bezpieczny. Przekaż mu, że będę stał na straży w ukryciu. Musimy założyć, że kat mógł powiedzieć o nas inkwizycji. Gdy tylko przekażesz wiadomość, dołącz do mnie. Będziemy mieli większe szanse w razie nieprzewidzianych wydarzeń.

Greg zgodnie z poleceniem brata popędził do izby, tymczasem Karol zaczął się na Petera we wnęce jednej z wąziutkich uliczek, w której ledwo mieściło się dwóch przechodniów. Chwycił swój sztylet, ostrze skierował w stronę łokcia, dobrze je zasłaniając. Gdy tylko Peter minął jego kryjówkę, natychmiast wyskoczył za jego plecy, przystawiając mu nóż do kręgosłupa.

– Nawet nie drgnij – ostrzegł. – Co im nagadałeś?

– Nic, przysięgam – odparł Peter.

– Nie wierzę ci.

– Chcę wyjść z tego cały – prosił. – Razem z bratem i jego rodziną. Strażnik przekazał mi, że Jacques pragnie mnie widzieć. Miałem stawić się natychmiast.

– Czego chciał? – spytał. – Mów jak na spowiedzi.

– Nie powiem ci, dopóki nie ujrzę rodziny.

– Nie ty tu stawiasz warunki! – odparł bez przekonania. – Pójdziemy tam dopiero, jak się wypowiedasz.

– Tak samo jak ty boisz się, że was wydałem – ciągnął – tak samo ja nie mam pewności, że moja rodzina jest cała i zdrowa.

Karol dźgnął delikatnie skórę na plecach Petra. Nie chciał go ranić, ale nakłonić do stawiania kroków. Ten nie potrzebował dodatkowej zachęty i zwawo wystrzelił naprzód. Karol zatrzymał się ulicę przed domem Petera, gdy przed drzwiami zobaczył swojego brata unoszącego kciuk do góry.

Zaraz potem Greg oddalił się od domu Petera, rozplývając się w wąskiej alejce.

Damien stał pośrodku pokoiku, dłuþiac coś przy klocu drewna z namalowanym smokiem i napisem, którego Peter nie potrafił odczytać. Czwórka dzieci oparta o załzawioną matkę siedziała dokładnie w tym samym kącie, w jakim znajdowali się podczas jego wyjścia. Brat Petera siedział w drugim rogu, dokładnie przyglądając się wchodzącemu katu.

– Mamy powody do obaw? – spytał bez ogródek Damien.

– Na pewno nie z mojej przyczyny – oznajmił. – Nie zrobiłem nic, co powinno cię martwić.

– Dlaczego tam poszedłeś? – Obrócił się w jego stronę. – Czego tam szukałeś?

– Wezwał mnie inkwizytor.

– Jacques?

– Jacques – potwierdził.

Damien nie odezwał się, pozwolił kontynuować Petrowi wypowiedź. Trochę to trwało, nim zrozumiał.

– Zmienił ustalenia co do wykonania kary śmierci. Nie mam odbierać więźnia, tylko czekać na szafocie. Ktoś ma przyprowadzić oskarżonych, a ja dokładnie tak, jak wczoraj, mam bez żadnych ceregieli ściąć im głowy.

– Kto ma ich przyprowadzić?

Wzruszył ramionami.

– Skąd ta nagła zmiana? – dociekał z przymrużonymi oczami, jakby to pozwalało mu więcej zrozumieć.

– Można się tylko domyślać. Spodziewają się ciebie, dlatego w ostatniej chwili zmieniają założenia. Wolą być pewni, że to ty będziesz zaskoczony, a nie oni.

– Dlaczego miałbym uwierzyć w twoją historię? – Zrobił krok do przodu.

– Może dogadałeś się z nimi, może próbujesz wpakować nas w pułapkę?

– Gdyby tak było, mógłbym nasłać na was teraz całą gwardię. Widzę, że nikomu nie chcesz zrobić krzywdy, mogłeś przecież pozwolić udusić się mojemu bratu, a jednak go uratowałeś. Zależy ci tylko na Jacobie i jego dzieciaku, nie mam zamiaru ci w tym przeszkadzać. Jak sam zauważyłeś, ja tylko wykonuję swój zawód. Nie należy on do najbardziej pożądaných, ale jest dobrze płatny, a ja po całym tym cholerstwie lubię się zabawić. Przekazuję ci jedynie informacje. To, co z nimi zrobisz, zależy tylko od ciebie.

– Przyprowadź tu Karola i Grega – polecił. – Natychmiast.
– Myślisz, że mnie posłuchają? Są przekonani, że ściągnąłem na was inkwizycję.

– Powiedz im imię: Veronica.

– Co? – zmarszczył czoło. – Nie rozumiem.

– I to jest sekret, by namówić ich do powrotu. Oni mają rozumieć, nie ty.

Minęło kilka minut, nim wszyscy ponownie znaleźli się w chacie. Damien zarygłował wejście i rozpoczął nerwową wędrówkę po izbie, intensywnie zastanawiając się nad sposobem pozwalającym wyswobodzić przyjaciela.

– Spłodziłeś jakiś błyskotliwy koncept? – spytał Karol. – Masz coś, co pozwoli nam przeżyć?

– Tak – westchnął Damien – Myślę, że tak.

– Nie brzmisz pewnie.

– Skłamałbym, gdyby tak było – odparł zgodnie z prawdą. – Wolę, byście to wiedzieli.

– Jeśli chcesz nas przekonać, byśmy poszli z tobą w ogień – wtrącił się Greg – to słabo ci wychodzi.

– Powinieneś wiedzieć, że w razie niepowodzeń na końcu czeka nas właśnie ogień. W najlepszym razie szubienica.

– Czy ten człowiek – Greg spojrzał na Karola – mógłby choć raz zadbać o nasze morale?

Karol zignorował pytanie. Zamiast tego próbował dowiedzieć się, co martwi Damiena.

– Co cię trapi, przyjacielu?

– Niewiedza – rzekł spokojnie. – Wolę nawet najgorsze informacje niż żadne. Do złego mogę się przygotować, nastawić. Niewiedza jest przepaścią, w której nie widać dna, tego, co się na nim znajduje.

– Pamiętaj, że oni stoją po drugiej stronie urwiska i skaczą razem z nami – odparł Karol.

– I tylko to może dać nam szansę – powiedział pokrzepiająco. – W tym musimy upatrywać naszych korzyści.

– Podziel się swoją ideą. Jaki to pomysł nas wyswobodzi?

Damien kilkakrotnie opisał schemat działania, tak by nikt nie miał wątpliwości co do metod, kolejności i przebiegu ataku. Krok po kroku, chwila po chwili, sekunda po sekundzie przedstawiał im szczegóły bitwy. Starał się zobrazować różne alternatywy, zakorzenić w nich przestrożę, że żadna z wymienionych scen może się nie wydarzyć, że muszą być gotowi

na zmiany. Kiedy wszyscy zrozumieli swoje role, pozostało im tylko unieruchomienie więźniów. Uprzednio każdemu z osobna skrupowali ruchy do minimum. Chcąc mieć pewność, że żaden jakimś cudem nie wstanie z ziemi i nie zawiadomi straży, spleli ich kostki oraz nadgarstki cienkim sznurem nad plecami, przez co wyglądali jak małe łódeczki z postawionymi żaglami. Zakneblowali usta, nie szczędząc dzieci. Ku przestrodze. Przebrali się w stosowne szmaty i wyszli na zewnątrz, ostrożnie zamykając za sobą drzwi.

Rozdział XVIII

Drewniany, wysoki na niemal siedem stóp podest pozwalał widowni na szczegółową obserwację ceremoniałów, jakie odbywały się tu średnio raz w tygodniu. Gdy na szafot wstępował dostojny kat, scena lekko zachybotwała. Mężczyzna w lewej dłoni ciągnął za sobą ostry, połyskujący w słońcu długi miecz, który uderzał o stopnie, wydając cmentarne pobrzękiwania przy każdym stawianym kroku. Mimo iż w pobliżu podestu wciąż nie było tłumów, kat wpadł w trans zabójcy, jakim miał się zaraz stać. Z uniesionym czołem krążył wokół grubego dębowego pnia zlanego zaschniętą krwią morderców, złodziei i czarownic. Zatrzymał się i wbił w niego czubek miecza. Uczynił to na tyle płytko, by delikatne szarpnięcie pozwoliło natychmiast dobyć go z powrotem. Grał rolę w swoim teatrze.

Kobiety krzątające się w poszukiwaniu świeżych towarów, rzemieślnicy wytwarzający swoje dobra czy nawet dzieci biegające do tej pory pośród kramów, dzierżąc długie patyki i imitując nimi walkę żołnierzy, porzuciły swoje działania, zauważywszy widowisko jednego aktora. Czerwony Kaptur prężył sylwetkę z założonymi rękoma w oczekiwaniu na dwóch mężczyzn, których należy pozbawić głów, jak Kościół przykazał.

Cała ekspresyjność i niemal na siłę wykonywane gesty wydawały się Damienowi komiczne. Uśmiechnął się mimowolnie i razem z innymi podszedł pod platformę. Po drodze rozglądał się niepostrzeżenie we wszystkich kierunkach. Na katedrze, prócz strażnika wybijającego godziny, dostrzegł łucznika. Po przeciwnej stronie, na wieży wartowniczej, sterczało dwóch kolejnych. Na ziemi roilo się od żołnierzy, których ciągle przybywało. W międzyczasie do kata dołączył hycel. Stanął przy schodach, co rusz poprawiając brązowy kaptur. Zawszony lub wełniany, pomyślał Damien. Albo jedno i drugie.

Tłum gęstniał z minuty na minutę, a wierzganie i przepychanie się między sobą w celu zdobycia najlepszego miejsca wzbily kłęby kurzu, który zaczął unosić się ponad głowy, gryzł nozdrza i powodował duszący kaszel.

Idealny moment, by się wycofać.

Damien narzucił na głowę cuchnący jak zmoczony skunks kaptur w kolorze zgniłej ziemi i nie wzbudzając niczyich podejrzeń, podszedł cichutko do drabiny opartej o wieżę wartowniczą. Wyglądał Jacques'a lub Bastiana.

Bez efektu.

Za to jego oczom ukazała się wychodząca z małego pałacu sylwetka zgarbionego starca opartego o ramię żołnierza. Przystanął na podwyższeniu ułożonym dziesięć stóp od szafotu. Damien zerknął raz jeszcze na katedrę w oczekiwaniu na dzwony.

Cisza.

Zbiorowisko głośno dyskutowało. Serce Damiena uderzało mocniej i mocniej. Oddech przyspieszał, a wzrok penetrował każdy najmniejszy ruch. Słuch stał się wyczulony na zwykły szmer. Czuł się jak zwierzę – połączenie polującego lwa i wyczekującej w skupieniu, potencjalnej ofiary – antylopy, którą za nic w świecie nie chciał się dzisiaj stać. Kombinacja tych cech: siły, sprytu, spostrzegawczości i ostrożności czyniła go zabójcą doskonałym.

Kusza nieprzyjemnie wbijała się w biodro, miecz haczył o łydkę, gdy z pałacu w towarzystwie trzech żołnierzy wyszli więźniowie. Ich głowy okrywały brudne, szare worki z wyciętymi dziurami na oczy. Zapobiegając zsunięciu, worek przewiązano sznurem wokół szyi skazańców.

Damien zachodził w głowę, czy pod siatką znajdują się ci, po których przyszli. Czarne scenariusze przyspieszyły tętno.

Za żołnierzami, ze złożonymi do modlitwy rękoma, kroczył Bastian, ubrany w czarny habit z poszerzonymi rękawami. Miał strój inkwizytora i broń.

Dzwon zadrżał. Raz, drugi i kolejny. Podczas dwunastu metalicznych uderzeń do obficie spoconego kata dotarli skazańcy z papieską obstawą. Wepchnęli ich na podest z takim impetem, że wyższy mężczyzna niemal wyrzucił się na oczach już skaczących z radości gapiów. Damien radował się w duszy, że tłum nie dostał dodatkowej satysfakcji. Tył platformy zabezpieczało dwóch strażników, z przodu wystawiono hycła w obstawie jednego z chevalierów.

Na platformę wszedł Bastian.

– Spokój! – rzucił donośnie. Zamknął oczy i uniósł wysoko dłonie. – Drodzy zebrani, proszę was o ciszę.

Rozmowy ustały.

– Drodzy mieszkańcy – mówił, nie ruszając się z miejsca. – Chciałbym powiedzieć choć jedno ciepłe słowo na temat dzisiejszych skazańców, niestety nie będzie mi to dane. Jak wam wiadomo, ci mężczyźni są współwinni śmierci dwóch wysłanników boskich oraz kilku innych niewinnych ludzi. I jak do tej pory... – Bastian wziął głęboki wdech. – I jak do tej pory żaden z nich nie okazał choćby najmniejszej skruchy! Dlatego też i my – rozejrzał się po tłumie, szukając zrozumienia – i my nie pozwolimy dzisiaj mordercom na wyznanie wiary, przyznanie się do winy. Nie damy im zaznać bożej łaski. – Odwrócił się do kata, po czym rzekł: – Ściąć ich.

I czym prędzej, niemalże w podskokach opuścił szafot.

– Odsuń się – powiedział ktoś za jego plecami, chwytając go stanowczo za ramię. To był jeden ze strażników pilnujących porządku. Odgradzał dostęp do drabiny.

Damien usłuchał żołnierza, postępując kilka kroków w bok. Nie mógł działać. Nie mógł atakować, dopóki nie utwierdzi się w przekonaniu, że na podeście pod maską jest jego przyjaciel. Nie chciał narażać Karola i Grega dla osób, które mogły być prawdziwymi złodziejaskami czy mordercami. Wyczekiwał umówionego znaku.

Kat uniósł dłonie, zachęcając tłum do ogłuszających nawoływań. Zewsząd lał się strumień żądań śmierci, flaków i sprawiedliwości. Kat złapał rękojeść miecza i zwinnym ruchem wydobył ostrze z brunatnego pnia. Złapał szmaty jednego ze skazanych i usadowił go na grubym pniu. Mężczyzna wyglądał na pogodzonego z losem. Nie szarpał się, nie walczył, tylko spokojnie usiadł, zgodnie z rozkazem.

– Jacob? – wyszeptał kat. – To ty?

Ten ani myślał odpowiadać.

– Nie mamy czasu – ciągnął dalej kat. – Zwą cię Jacob Rieul?

– Utnij mu łeb! – darł się ktoś z gromady. – No już! Zasłużył na to!

– Daj mi spokój – odpowiedział zrezygnowanym tonem mężczyzna z workiem na głowie. – Rób, co każą, dalej.

– Do jasnej cholery! Na Boga! – wściekł się kat. – Zaraz zginę tu razem z tobą, a miałem cię uratować. Gadaj, czyś Jacob Rieul, przyjaciel Damiena.

– To... To ja – odparł oszołomiony.

Damien nie słyszał, co dzieje się na scenie, zarówno przez odległość dzielącą go od kata oraz przez opętany, wykrzykujący hasła śmierci tłum. I to tłum przyciągnął jego uwagę.

Tajemnicza postać okryta szarymi szatami zaczęła przeciskać się przez gromadę, odpychając wszystkich na boki. Damien pojął, że dzieje się coś niedobrego.

Zdecydował się dłużej nie czekać. Spod usmolonych łańców dobył przytwierdzony do łydki sztylet i podszedł do strażnika stojącego w miejscu, z którego przed momentem został przegoniony. W pełnym skupieniu zatopił ostrze głęboko w szyi strażnika. Ten, tracąc mnóstwo krwi, nie mogąc wydobyć z siebie choćby najmniejszego słowa, oparł się o jedną z belek wieży i powoli, niczym spadający jesienny liść, osunął się na ziemię. Jeszcze przez moment roznosił się dźwięk bulgoczącej w krtani krwi.

Nikt nawet nie zauważył niewinnego morderstwa. Wszyscy byli przejęci głównym widowiskiem. I właśnie wtedy kat, trzymając oburącz swoje ostrze, począł machać nim w górę i w dół, zyskując jeszcze większy poklask otumanionego ludu. Przy okazji grał na zwłokę i dał znak Damienowi, że czas stanąć do walki w obronie przyjaciół.

Gdyby teraz Karol, ukryty pod postacią kata, przeciął sznury wiążące nadgarstki Jacoba, łucznicy natychmiast pozbawiliby ich życia. Musiał czekać, aż Damien będzie w miejscu, w którym mógł ich osłonić.

Ten niczym wytrawny kot wspiał się po drabinie i rzucił na łuczника. Zadał mu identyczny cios jak mężczyźnie opierającemu się o basztę. Drugi z łowczych skoczył na Damiena. Uderzając o ściankę zabezpieczającą, wybili jedną z desek, która pofrunęła na ziemię. Damiena zamroczyło. Żołnierz wykorzystał sytuację i, oparłszy dłonie na brodzie wroga, wygiął ją do tyłu, prawie uszkadzając kręgi. Damien, odzyskawszy świadomość, wykorzystał nacisk przeciwnika i delikatnie przekręcił głowę. Dłonie dusiciela ześliznęły się z twarzy, trafiając w lukę między deskami. Nie tracąc czasu, Damien wydobył się spod sylwetki mężczyzny, siadając mu na biodrach. Następnie złapał w garść jego gęste włosy, przyciągnął do siebie i poderznął gardło nieszczęśnikowi. Podniósł się, ciężko oddychając, i wychylił ostrożnie głowę za zabezpieczenie.

Nadal pozostawał niezauważony. Tylko jeden człowiek pośród tłumu rozumiał, co się dzieje. Biegł w stronę szafotu, przewracając zagradzające mu drogę żywe kolumny.

Kat przeciął sznury Jacoba. To samo uczynił jego synowi. W tej samej chwili na podeście pojawiły się dwa rzucone przez hycła miecze. Momentalnie dopadli do nich mężczyźni z prześwitującymi workami na głowach.

– Tego nie zdążę wam zdjąć! – wykrzyknął Karol, wskazując owinięte szmatą głowy.

– Sami sobie poradzimy – powiedział Jacob, przecinając linę na szyi. W ślad za nim poszedł Georges. Wszyscy trzej: Jacob, Karol i Georges, stanęli plecami do siebie gotowi do walki.

– Czyś ty zwariował?! – wykrzyczał strażnik do hycła, który przed momentem rzucił broń na podest. – Coś ty najlepszego zrobił?!

– Pomogłem, jak Bóg przykazał – odezwał się Greg, rozkładając ręce.

Karol ruszył do chevaliera stojącego obok Grega. Wziął wymach z biodra i zaatakował. Głowa strażnika odpadła, poturlała się do stóp milczącego jak grób tłumy. Pospólstwo rozpięzchnęło się we wszystkich kierunkach niczym spłoszone ptactwo.

Tylko jeden obserwator nie uciekał, wciąż napierając z mieczem wyciągniętym ku Gregowi. Niestety, śmierć była nieunikniona. Przyglądający się wszystkiemu kątem oka Damien nic nie mógł zrobić. Był skupiony na innym obiekcie. Wystrzelił bełt w katedrę, na której łucznik celował właśnie do Jacoba. I to jego chronił Damien.

Trafił.

Łucznik zleciał z katedry, roztrzaskując się na kamiennej posadce. Rozpędzony Jacques ugodził Grega prosto w mostek, łamiąc kości na drobniejsze kawałki. Miecz przeszedł na wylot, dla pewności inkwizytor szarpnął nim w dół, rozdzierając trzewia. Karol nie mógł uwierzyć w to, co się stało. Nie mógł też pomóc bratu, gdyż na plac zbiegła się chmara chevalierów i sam niemal straciłby życie, gdyby nie Damien strzelający zawzięcie w kierunku Jacques'a.

Bełt drasnął inkwizytora, zmuszając go do ucieczki. Nie chcąc zostać trafionym ponownie, biegał od prawej do lewej niczym przestraszona gazela. Na placu pojawiło się kilku nowych strzelców. Zaczęli mierzyć w walczących ze strażą Karola, Jacoba i jego syna.

Damien wycelował i nacisnął spust, bez trudu pozbawiając życia jednego z kuszników.

– Strzelać! – wykrzyknął wciąż uciekający pijackim krokiem Jacques. – Strzelać bez ostrzeżenia!

Ci zwątpili, obawiając się zabicia swoich, niemniej kolejny krzyk Jacques'a nie pozostawił im wyboru.

– Opuście szafot! – krzyczał Damien. – Prędko!

Koło jego ucha przemknął grot. Zezłił się i w parę sekund pozbawił życia jeszcze trójkę łuczników. W pośpiechu zjechał po drabinie na ziemię. Z dala dostrzegł wyczekującego dogodnej chwili do ataku Bastiana, na którego twarzy malował się głupawy uśmiech. Damien marzył o tym, by go zetrzeć. I przysiągł sobie, że tego dokona.

– Zamknąć wszystkie bramy Awinionu! – usłyszał głos Jacques'a. – Nikt nie wyjdzie stąd żywy!

Damien, biegnąc do otoczonych przyjaciół, przełożył kuszę do lewej dłoni, prawą podniósł miecz leżący przy jednym z trupów i całą siłą, jaka mu pozostała, poprzecinał ścięgna Achillesa dwóm agresorom stojącym na krawędzi szafotu. Padli jak ścięte próchniejące drzewa, tworząc korytarz do ucieczki.

– Biegniemy w stronę chaty Petera – polecił. – Ta uliczka jest na tyle wąska, by zapewnić nam względną ochronę, znajduje się dość blisko południowej bramy, do której musimy się dostać!

Gnali przez otwarty plac, mijając stragany, wozy i bydło. Niespodziewanie na drodze Damiena pojawił się kozioł, którego przeskoczył, rozdierając tkaninę o rogi. Mimo to nie stracił równowagi. Gdy jego stopy zetknęły się z podłożem, zwierzę wydało z siebie nienaturalny jęk i upadło, lądując pyskiem w suchym jak pieprz piachu. Strzała jednego z łuczników trafiła rogate zwierzę prosto w przełyk. Strzelec był fachowcem, tylko szczęście uratowało uciekiniera przed grotem. Damien zachodził w głowę, dlaczego właśnie teraz, walcząc o własne życie, pomyślał o powolnej agonii białego, brodatego zwierzaka. O dziwo dodało mu to jeszcze więcej energii. Skoczył w przód, omijając następną przeszkodę, przekoziółkował po twardym gruncie i wstał chwiejnie, podpierając się jedną dłonią. Odwróciwszy się w stronę hordy żołnierzy, wycelował z kuszy. Nacisnął spust, bełt pędzący między straganami minął wszystkich zainteresowanych, trafiając w kamienny budynek. Wyżłobił w nim dziurę wielkości małego cebrzyka. Jego przyjaciele, prując w stronę umówionego miejsca, zostawiali za sobą tumany kurzu. Damien wbiegł w samo centrum piaskowych chmur, utrudniając wrogom namierzenie swojego położenia. Nigdy przedtem nie czuł takiej adrenaliny. Nigdy też nie było mu dane biec z tak zawrotną

prędkością. Gdy kurz się ulotnił, ujrzał, jak Jacob bez większego kłopotu pozbawia życia kolejnych strażników, a zaraz potem wraz z Georges'em i Karolem znikają za rogiem. Przebiegł po śladach swoich przyjaciół i już miał skręcić w tę samą ulicę, gdy jakaś magiczna siła pociągnęła go do tyłu. Stalowy grot przedziurawił w locie jego płaszcz i utknął w drewnianej chacie, zatrzymując go. Upadł na tyłek, krusząc sobie kość miednicy. Nie zważając na ból, ścisnął materiał w dłoniach i szarpnął energicznie płaszcz, rozdzierając go na dwie równe części. Promień kolejnej strzały zadygotał obok jego policzka. Fortuna jest dziś po mojej stronie, pomyślał. Gdy to wszystko się skończy, zagram w kości, dodał na głos. W oddali dojrzał łucznika.

To był Jacques. Wraz z nim szło kilku strażników oraz Bastian. Cięciwa inkwizytora ponownie naprężyła się, a metalowa część strzały błysnęła w słońcu. Wszystko przestało mieć teraz znaczenie – świat, budynki i stragany nagle zniknęły. Cała jego uwaga skupiła się na małej, połyskującej, wyostrzonej blaszce.

Był tylko on i strzała.

On i strzała.

Jacques puścił sprężystą linę, która zadygotała w zwolnionym tempie. Szybkość lotu strzały narastała z każdym pokonywanym metrem, a skupienie, z jakim jej oczekiwał, niemal wyłobiło mu wyimaginowaną dziurę tuż nad nosem. Będąc już pełni przekonaniem, że wiatr nie wpłynie na kierunek jej toru, uchylił się na bok. Kawałki drewna spadły mu na ramię. Zdawały się ważyć tonę.

Słyszał, jak Jacques wezwał imię Syna Bożego. Damien poklepał otwartą dłońią po piasku w poszukiwaniu kuszy, która wypadła mu podczas upadku. Znalazłszy broń, przeturlał się po ziemi, aż cała jego sylwetka znalazła się za budynkiem. Podniósł się energicznie, po czym popędził za Karolem, który niczym duch rozplynął się w kolejnej alei.

Spotkali się umordowani, dyszący z wysiłku przy chacie Petera. Damien oparł się o kolana, próbując złapać dech.

– Mój brat – mówił rozdygotany Karol. – Muszę po niego wrócić, teraz, póki żyje.

Damien podniósł się, chwycił przyjaciela za barki, przyciągnął do siebie i mocno przytulił.

– Przykro mi, przyjacielu – powiedział pokrzepiająco. – Nie jesteśmy już w stanie mu pomóc.

– On by mnie tak nie zostawił! – krzyczał. Z jego oczu lały się słone krople. – Co ja narobiłem! Co ja powiem jego ukochanej!

Karol wpadał w obłąd, z którego wciągnął go Jacob uderzeniem otwartej dłoni w policzek. Ten natychmiast poczerwieniał.

– Współczuję ci, straty, twój brat nie zasłużył na śmierć i wiem, że moje słowa nie ukoją cierpienia – mówił Jacob. – Ale na pewno jest ktoś, kto cię kocha, kto czeka na ciebie. Masz do kogo wracać, prawda?

Karol, płacząc, przytaknął niechętnie głową.

– Zatem zrobmy wszystko, by do nich dotrzeć. Czasu na żałobę nigdy nie braknie, przyjacielu.

Karol otarł łzy, choć do oczu od razu napłynęły kolejne. Mimo to sprawiał wrażenie opanowanego. W międzyczasie Damien załadował kuszę, następnie zrzucił z siebie podarty płaszcz.

– Nie ma na co czekać – powiedział wreszcie. – Musimy kierować się do południowej bramy, zniknąć w pobliskich lasach. Może uda się nam dostać do Cavaillon. Tam wymyślimy, co dalej.

– Nie damy rady – przekonywał Jacob. – Zorganizują się, wytropią nas na koniach.

– Tutaj też nie możemy zostać.

Ruszyli. Damien i Georges osłaniając tyły, Karol z Jacobem obserwowali przód ich wędrowni. Mijali aleje, jedną za drugą pędzili co sił w nogach, słysząc za sobą gwar żołnierzy. Nie zatrzymując się nawet na sekundę, nierozważnie wyszli na otwartą przestrzeń przed bramę obstawianą przez czworo piechurów uzbrojonych w długie lance i dwójkę łuczników stojących na baszcie. To właśnie tam znajdowała się korba umożliwiająca podniesienie metalowej bramy.

– Tutaj są! – wykrzyknął jeden ze strażników, ruszając na nich z wyciągniętą giewią. Wnet za nim pobiegli następni.

– Tutaj! – ponownie nawoływał mężczyzna.

Jacob znajdował się najbliżej od wycelowanej prosto w twarz giewii. Rozpędził się, runął na kolana, przejeżdżając po piasku całą długość broni, aż znalazł się na wysokości łokci mężczyzny. Nim ten zdążył się zorientować, co się stało, miecz Jacoba utknął w jego ciele po sam jelec. Rieul przekreślił głównię we wnętrzościach żołnierza niczym stary, zardzewiały klucz. Następnie ściągnął z ostrza mężczyznę, odpychając go od siebie. Żołnierz chwycił ranę na brzuchu, z której lały się galony brunatnej cieczy, i zatoczył się do tyłu, wpadając na innego żołnierza.

Jacob nabrał w garść solidną kupkę piachu, którą wystrzelił w oczy przeciwnika. Ten, machając po omacku, trafił małym kolcem umiejscowionym na grzbiecie noża zaprawionego w boju Karola. Niespodziewane ukłucie w bark wytrąciło Karola z bitwy, upuścił miecz. Na szczęście na ratunek przybył Georges, który w walce był równie zręczny co ojciec, i zabił walczącego z Karolem żołnierza. Jacob podszedł od tyłu do wciąż machającego na oślep mężczyzny i zanurzył ostrze w jego karku. Upadł natychmiast niczym lalka, która straciła zainteresowanie w oczach dziecka na rzecz innej psoty.

Damien strzelił w jednego z dwóch stojących na wieży żołnierzy. Nie trafił, mimo to łucznik upadł.

LeBrun załadował kolejny bełt. Na dole pozostał jeden chevalier, który widząc brak szans w starciu z czterema świetnie wyszkolonymi napastnikami, rzucił swoją glewię przed siebie i uniósł dłonie w geście poddania.

– Podnieś bramę – zwrócił się Damien w stronę wieży, gdzie koczował łucznik.

– Zrób to! – wykrzyczał stojący na ziemi żołnierz. – Otwórz bramę.

Groźba podziała już po sekundzie. Usłyszeli lekki brzęk metalu, brona zaczęła się unosić. Nie tracąc chwili, przeturlali się pod nie w pełni otwartymi wrotami i ruszyli wzdłuż rzeki Durance.

– Konie! – usłyszeli za sobą. – Natychmiast przyprowadzić konie!

– Mamy więcej szczęścia niż rozumu – powiedział z uśmiechem Karol. – Po cóż on nam otwierał bramy? I tak nie trafiłbyś go na baszcie.

– To nie szczęście, a syn Piwosznika – wyjaśnił Damien. – On otworzył nam bramę. To u niego byłem wczorajszego wieczora.

Damien odwrócił się w biegu, dojrzał, jak Bastian zabija żołnierza składającego przed momentem broń. Łucznika zapewne czeka podobna kara, pomyślał.

Zebrał się silny wiatr, niebo spochmurniało. Z trudem łapali dech w piersiach. Zmęczenie ciągnęła walką, ucieczka oraz duszność panująca w powietrzu zmusiła ich do zaprzestania biegu. I tylko smagające po twarzach podmuchy łagodziły zmęczenie. Maszerowali, co rusz odwracając się za siebie. Czekali na deszcz.

Ledwie zdążyli dotrzeć do gęstwiny, gdy usłyszeli dochodzący z oddali tętent kopyt. Damien wyjrzał zza zarośli, naliczając blisko tuzin wojów.

– Nie mam już siły – powiedział Karol, trzymając się za zraniony bark.

– Przyjrę się temu – rzekł Damien, zaglądając pod rozerwaną tkaninę. – Powierzchnowa rana. Kolczuga uchroniła cię przed głębszym wbiciem ostrza.

– Nie mam siły już iść – powtórzył.

– I już nie będziemy – odparł Damien. – Mają konie, kolejna ucieczka tylko zabrałaby nam resztki energii. Musimy się rozdzielić, zaskoczyć ich.

Z gęstych, nisko osadzonych grafitowych chmur poleciał deszcz. Gdzieś, najdalej nad Nimes, zaczęło grzmieć.

– Fortuna wyjątkowo nam sprzyja, przyjaciele – dodał Damien. – Karol, pozbądź się kolczugi.

– Dopiero co uratowała mi życie! – oburzył się.

– I zrobiła już to, co do niej należało. Teraz potrzebujesz zwinności, kolczuga tylko cię spowalnia.

Karol zrzucił na trawę lekki pancerz wykonany z gęsto plecionych stalowych kółek. Przypominało to skórę pozostawioną przez opasłego węża.

Błyskawica rozświetliła grafitowe niebo. Grzmot następujący zaraz po niej zmieszał się z dźwiękiem kopyt będących już niezwykle blisko.

– Jacob, bierz syna, skryjcie się za tamtymi drzewami. – Damien wskazał miejsce, gdzie rosło mnóstwo dębów, jeden na drugim. – Karolu, schowasz się po tamtej stronie i gdy zabiję jednego z nich, staniesz się przynętą. Dzięki temu zdążę ustrzelić jeszcze kilku. Wtedy ty, Jacobie, skupisz ich uwagę na sobie, to ich rozproszy.

Karol oraz Jacob wraz z Georges'em rozbiegli się zgodnie ze wskazówkami. Damien wspiał się na wzgórze porośnięte krzewami, będącymi doskonałym kamuflażem dla jego zgniłozielonych szat. Położył się w miarę wygodnie na samym szczycie. Nie pozostało mu nic innego jak czekać na rozwój sytuacji. Na głowę zaczęły mu kapać coraz większe krople, aż w końcu nastąpiła straszliwa ulewa utrudniająca widoczność.

Gdy do lasu wjechali żołnierze z Bastianem na czele, rozpętała się burza. Niebo rozerwało się na pół. Wiatr, deszcz oraz osłona, jaką tworzyli żołnierze, nie pozwalały mu na oddanie strzału w Bastiana. Uporczywy deszcz zacinał ostro w brwi i powieki, prawie uniemożliwiając oddanie celnego strzału. Pojął, że rozsądniej będzie wycelować bełt w grupę żołnierzy, bo to dawało pewność, że przynajmniej któryś z nich otrzyma cios.

Oparł przedramię na gąbczastym mchu, pochylił kark do przodu, by wymierzyć z broni. Skupił się na grupie szarych postaci przemierzających kamienny szlak. Nacisnął spust.

Pocisk, lecąc pod wiatr, stracił nieco na swojej sile, jednak nie na tyle, by nie przebić żeber chevaliera, który wraz z wierzchowcem wpadł całym ciężarem na drugiego, powodując upadek obu żołnierzy. Deszcz tłumił niemal każdy dźwięk, jednakże wyobrażał sobie krzyki spanikowanych żołnierzy, którzy nie czekając na przynętę, jaką miał być Karol, rozpierzchli się we wszystkich kierunkach.

Wzrok skupił tylko na jednym uciekinierze. Nie patrząc na dłonie, umieścił bełt w łożu. Przycisnął dźwignię i ta z prędkością uderzającej w tym samym momencie błyskawicy trafiła w łeb konia, zrzucając szarą postać z siodła. Usłyszał trzask. Mógł to być dźwięk łamanego karku lub spróchniałego drzewa. Nie było mu dane dowiedzieć się, cóż tak naprawdę się wydarzyło.

Ujrzał wybiegającego za drzew Karola i wypadającą z drugiej strony rodzinę Rieul, gdy poczuł nieznany mu dotąd ból.

Coś utknęło w jego plecach. Jakgdyby jakiś ostry cierń wyrósł nagle w jego ciele, gruchocząc kości na niewielkie kawałki i rozrywając ścięgna na strzępy.

Tortura nie ustawała. Poczuł kolejne pchnięcie po drugiej stronie kręgosłupa, dochodzące aż do piersi. Czuł, jakby ktoś do jego wnętrzości wlał rozgrzaną oliwę, która z wolna wypełniała cały jego organizm.

Sprężył ramiona i wypchnął się na bok. Zrzucił z siebie przeklętą istotę żądlącą jego łopatki. Jacques przetoczył się po mokrej ziemi, upadając kilka metrów od atakowanego mężczyzny. Gdyby nie wystająca skała, stoczyłby się na sam dół, dając Damienowi nadzieję na przeżycie. Niestety, mimo iż inkwizytor kilka razy pośliznął się na mokrej bryle, wstał i zaczął podążać w jego kierunku.

W rześistej ulewie dostrzegął tylko dwie srebrzyste niczym księżyc żrenice. Gałęzie obsiadły kruki, przyglądając się rytuałowi, jaki miał się tu zaraz odbyć. A może była to tylko ułuda spowodowana znaczną utratą krwi? Jacques na tle czarnych ptaszysk wyglądał jak sam diabeł, w którego do tej pory nie wierzył.

Błogosławieni ci, którzy nie widzieli, a uwierzyli. Przypomniał sobie słowa Biblii, którą czytała mu matka za młodu. Jednakże te słowa odnosiły się nie do diabła, lecz do Boga. Kim więc była postać zmierzająca w jego

kierunku? Ostatkiem sił wyciągnął ostatni bełt. Niezdarnie załadował go do kuszy. Podniósł zwiotczone ramię i pociągnął palec do siebie. Ostrze ruszyło na wielkiego inkwizytora z całą mocą.

Chybił.

Pocisk trafił w rosnącą nieopodal sosnę. Roztrzaskane kawałki kory wtopiły się w krople deszczu.

Jacques stanął w bezruchu...

Jakim cudem? – pomyślał. Czyżby tylko wydawało mu się, że trafił w drzewo? Czy może jednak grot przebił pierś inkwizytora? Odpowiedź wyłoniła się za upadającym Jacques'em.

To Bastian, który wyrósł jak spod ziemi, zadał cios.

Kruki odfrunęły, a Bastian przeszedł nad ciałem inkwizytora.

– To mnie chciałeś dopaść, prawda? – odezwała się ciemna sylwetka zatopiona w strugach deszczu.

Damien milczał.

– Kim był dla ciebie Marcus? – ciągnął Bastian.

– Nieistotne jest, kim dla mnie był Marcus, tylko kim ty dla mnie jesteś!

Bastian nie wyglądał na zaskoczonego. Wręcz przeciwnie. Uśmiechnął się i zbliżył do opierającego się na dłoni Damiena.

– Była twoją matką? – zapytał bez żadnych wstępów. – I tylko dlatego gonisz mnie po całym świecie?

– Zabiliście ją – wymamrotał. – Ty i Casimir. Ona nie umarła, nie od razu. Żyła, gdy ją odnalazłem. Powiedziała mi, co żeście jej uczynili.

– I jakie to ma teraz znaczenie? – prychnął. – Leżysz tu w kałuży własnej krwi, uzalając się nad sobą. Ale chyba potrafię cię pocieszyć. – Oblizał ostrze, którym pozbawił życia Jacquesa. – Niedługo do niej dołączysz. Twoja matka była piękną kobietą. I smutno mi teraz, kiedy mówisz mi, że jeszcze żyła, gdy ją gwałciłem. Jej zwłoki malowały się w mym umyśle znacznie bardziej kusząco. Krew sączyła się z niej, tak jak teraz z ciebie.

Damien raz jeszcze, pełen furii próbował się podnieść, niestety i tym razem upadł na łokieć. Bastian ciągnął swój wywód:

– Nie wstawaj, bękarcie! – zaśmiał się, a las razem z nim. – Była zwykłą ladacnicą, a za nimi się nie płacze. Jesteś synem nierządniczy!

– Czym wam zawiniła?! – wymamrotał. – Kształciła mnie, łożyła na moją naukę. Płaciła takim bezdusznym i plugawym istotom jak ty! Wydawała na mnie każdy zarobiony grosz, bylebym tylko nie musiał żebrnąć czy trudnić się kradzieżą. Zarabiała niegodziwie, ale nikogo nie krzywdziła.

– Ty nic nie wiesz? – powiedział zdumiony Bastian. – Ty naprawdę nic nie rozumiesz.

– O czym ty mówisz? – spytał zmieszany, ocierając napierające do oczu łzy.

Na moment ból ustał. Wszystko ucichło, nawet las zdawał się uspokajać, by wysłuchać opowieści.

– Ona nic ci nie powiedziała?! Zdradziła ci, kto ją zabił, i nic więcej? – wciąż nie krył zdziwienia. – Myślisz, że twoja matka, że dochody zdobyte na ulicy pozwoliłyby ci na taki żywot? Że bycie kurtyzaną jest warte tyle, co nauki, jakie miałeś możliwość przysposobić? Że rozkładanie nóg w ciemnych ulicach Awinionu jest równie cenne, co wykształcenie pomiota? To twój ojciec łożył na ciebie, głupcze. To Casimir płacił za wszystkie twoje lekcje.

Ziemia zapadła się pod Damienem, a on spadał niżej i niżej w otchłań piachu, duszy i umysłu. Serce pękło mu na milion kawałków, które rozdzierały teraz wnętrzności od środka, ostre niczym bełty kuszy. To nie mogła być prawda, pomyślał. Przypomniawszy sobie wzrok Casimira, jego zdumienie, jego szeroko rozwarte usta, gdy celował mu kuszą prosto w twarz. Zachodził w głowę czy Casimir był przerażony tym, że zaraz zginie, czy że w zabójcy rozpoznał swojego syna? Czy to możliwe, że pozbawił życia własnego ojca?

– Kłamiesz – powiedział z wyimaginowanego krateru.

– Chciałbym. – Rozłożył ręce. – Wierz mi. Sam nie mogę uwierzyć, że w kimś takim płynie krew wielkiego Casimira.

– Dlaczego? – spytał. – Dlaczego to uczynił?

– Wierz lub nie – mówił łagodnym tonem – ale cię kochał. Inwestował w ciebie, bo wierzył, że jesteś stworzony do rzeczy wielkich. Chciał, byś poszedł kiedyś w jego ślady. Niestety twoja matka myślała tylko o pieniądzach, w końcu zagroziła mu, że powie wszystkim, że ma dziecko z dziwką. A Casimir ponad wszystko stawiał władzę i dobre imię. Dlatego zabił ją, gdy ta chciała go oczernić, zarobić na nim. Szkoda, że na niego nie poczekałeś.

– Nie pojmuję – powiedział ostatkiem sił. Czuł, jak brakuje mu tlenu.

– Zabił ją, lecz wyrzuty sumienia ogarnęły jego umysł. Przedumaliśmy całą noc w oberży. Wtedy wszystko mi wyjaśnił. Nie wiedział, co czynić. W końcu zdecydował, że cię odnajdzie, że zaopiekuje się tobą i zajmie

twoim wykształceniem. Kto wie? Może jednak byłeś ważniejszy niż władza? Dzisiaj się już tego nie dowiemy.

Bastian powoli rozpląwał się w powietrzu. Damien przetarł oczy, lecz to nie pomogło. Mdliło go. Zaczął kaszleć, powoli tracił kontakt z rzeczywistością. Krew zaczęła zalegać mu w ustach. Wypluł grudę na kamień, którą momentalnie zmył rześisty deszcz.

– Zabiję cię! – wykrzyczał ostatkiem sił.

– Niestety, nie będzie ci to dane – mówił Bastian. – Jestem wielkim inkwizytorem, światłem i ciemnością jednocześnie. Jestem tym, którego ze strachu będą nienawidzić i kochać, chcąc wkupić się w me łaski. Kiedy ty wykonasz krok, ja przekroczę horyzont. Zawsze jestem i będę przed wszystkimi. Chciałbym rzec, że jestem na równi z Bogiem, lecz ja, Bastian z Nimes, wyprzedzam nawet jego. To ja wytyczam drogę!

– Pamiętaj – wymamrotał Damien – że ci, którzy wyznaczają ścieżki, krocą samotnie.

Niczego niespodziewający się Bastian zawył z bólu. Nie był to jednak ból fizyczny. Nadeszła porażka, której bał się całe życie. Źrenice rozszerzyły się na myśl o końcu żywota i o tym, co nieznane. O tym, czy warto było porzucić Boga i czy ten przyjmie go do siebie, mimo iż zawsze z niego drwił i był dla niego tylko mostem do władzy. Bastian wygiął się nienaturalnie na ostrzu miecza, jaki zatopił w nim Jacob. Raz jeszcze spojrzął w oczy Damiena i runął bezwładnie na ziemię. I była to ostatnia rzecz, jaką ujrzał Damien.

Epilog

Kiedy się zbudził, jego oczom ukazało się słońce z trudem przebijające się przez korony drzew. Jacob dyskutował o czymś z synem, podczas gdy Karol opatrywał jego rany.

– Dobrze cię widzieć – odezwał się Jacob, zauważając odzyskującego świadomość Damiena. – Wróciłeś z zaświatów.

– Na to wygląda – odparł z grymasem na twarzy.

– Jak tam jest? – spytał, wlepiając wzrok w niebo.

– Dowiem się, jak mi nie pomożesz.

– Zmartwię cię przyjacielu – wtrącił się Karol. – To jeszcze nie ten czas.

– Jakież to zmartwienie? – Damien objął Karola, który pomógł mu wstać.

– Nie wiem, jak pięknie musi być po tamtej stronie, by dorównać widokom, jakie świat maluje przed nami.

Ze wzgórza rozpościerał się widok na mieniącą się w wielu odcieniach tęczę obejmującą swym półkolem cały papieski pałac. Chmury przybrały kolor purpury, okrywając majestatycznie cały Awinion. I tylko gdzieś w oddali słycać było grzmoty, a niebo raz po raz przyozdabiały pajęczyny żółtych błyskawic.

– Na ziemi możemy mieć swój Eden – powiedział. – I tylko od nas zależy, jak on będzie wyglądać.

Coś zaszeleściło za ich plecami. Pospiesznie odwrócili głowy. Ujrzeni klęczącego Jacques'a podpierającego się jedną dłonią o wystający konar. Jacob wyciągnął miecz z pochwy i poszedł w kierunku inkwizytora.

– Zostaw – zatrzymał go Damien. – Nie warto.

– Jeśli to zrobisz – odezwał się przemoczony do cna inkwizytor. – Będę zmuszony cię ścigać.

– Powodzenia, przyjacielu – odparł z dobrotliwym uśmiechem. – Nic mi nie zawiniłeś, tylko od ciebie zależy, czy chcesz kontynuować tę jatkę.

Zostawili zranionego inkwizytora na wzgórzu i dosiedli koni stojących w samotności nad truchłami swoich panów. Damien nie miał pojęcia, jakim

cudem jego przyjaciółom udało się zabić blisko dziesięciu żołnierzy, i nawet nie miał zamiaru o to pytać. Bynajmniej nie teraz.

– On jeszcze żył – odezwał się Jacob.

– O kim mówisz? – próbował zrozumieć przyjaciela Damien.

– Bastian – wyjaśnił. – Kiedy odpłynąłeś, on jeszcze żył. Powiedział, że nie byłeś jedynym.

– Co? – uniósł brwi. – Co konkretnie powiedział?

– Powiedział, że nie byłeś jedynym dzieckiem. Rozumiesz coś z tego?

Rozumiał, jednak prawdziwą rodzinę miał teraz przy sobie i czas na szukanie pozostałych członków dopiero nadejdzie w bardziej sprzyjającej chwili.

Ruszyli w kierunku Lyonu, najpierw do Piwosznika, by przesiąść się na swoje wierzchowce. Stamtąd zamierzali udać się do kryjówki, do której drogę nakreśliła Veronica. Pędząc na huculskim koniu, głowił się tylko, jak przekazać tragiczne wieści o zabitym łuczniku. A w zasadzie, jak Piwosznik zniesie tę smutną nowinę o swoim synu. Jednak najbardziej głowę zaprzętała mu myśl o gorącej Veronice. Uśmiechnął się po szelmowsku na samą myśl o nadchodzących pieszczotach i, nie mogąc się ich doczekać, uderzył konia w zad, przyspieszając jego kroku.

Podziękowania

Dziękuję żonie za wsparcie i wiarę, jaką obdarowała mnie na każdym etapie powstawania książki. „Upór, fantazję, ikrę i waleczność okryłaś aksamitną płachtą zmysłowości, która nie jest sztuczna, lecz wypływa z wewnątrz. Skryta, wrażliwa, delikatna, czuła, otwarta i krucha, a jednakowoż towarzyska, harda, zawzięta i pełna pasji”. Stać w Twoim cieniu to przywilej...

Podziękowania dla Radka, pierwszego recenzenta mej powieści. Mimo różnic wierzę, że podobnie patrzymy na świat. Dziękuję za pomoc i bycie przykładem, z którego zawsze czerpię.

Podziękowania dla Moniki i Radka za wsparcie i wiarę na każdym etapie powstawania książki.

Spis treści

Rozdział I

Rozdział II

Rozdział III

Rozdział IV

Rozdział V

Rozdział VI

Rozdział VII

Rozdział VIII

Rozdział IX

Rozdział X

Rozdział XI

Rozdział XII

Rozdział XIII

Rozdział XIV

Rozdział XV

Rozdział XVI

Rozdział XVII

Rozdział XVIII

Epilog

Podziękowania